WYDANIE SPECJALNE „ODGŁOSÓW" NA TRZYDZIESTOLECIE ODDZIAŁU ŁÓDZKIEGO ZLP
STR. I – VIII

ORCHIDEE WE KRWI
Str. 1, 5

POŻEGNANIE MARSJAN
CZWARTY MĄŻ DRUGIEJ ŻONY
Str. 8, 10

MAGAZYN
Str. 12

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 46 (936) 13 LISTOPADA 1975 ROKU CENA 4 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Numer „Odgłosów", który dziś oddajemy do rąk Czytelników, jest wydaniem wyjątkowym. Boda; po raz pierwszy „Odgłosy" mają 20 stron i właśnie dlatego kosztują o złotówkę drożej. W bieżącym numerze mieści się bowiem 8-stronicowe wydanie specjalne z okazji 30-lecia Oddziału Związku Literatów Polskich.

Wydanie specjalne zawiera omówienia problemów środowiska literackiego w Łodzi, przypomnienie tradycji pisarskich miasta oraz wspomnienia sprzed 30 lat. Wydanie otwiera artykuł prezesa Oddziału ZLP, Jerzego Wawrzaka, dalej mamy szkic krytyczny Tadeusza Błażejewskiego, krótkie monografie czasopism literackich ukazujących się w Łodzi w minionych latach, wspomnienia Mariana Piechala, Jana Koprowskiego, Wiesława Jażdżyńskiego, Tadeusza Papiera i Władysława Rymkiewicza.

Ponadto „Odgłosy" zawierają zestaw materiałów publicystycznych i reporterskich. Szczególnie polecamy refleksje Jerzego Wawrzaka z obrad Łódzkiej Konferencji PZPR oraz refleksje Wandy Karczewskiej ze spotkania Edwarda Gierka z łódzkimi kobietami.

Drukujemy też kolumnę reportaży zagranicznych: Jacka Indelaka z radzieckiej Karelii oraz Jerzego Szelewickiego z Paryża. Reportaż krajowy z dziedziny obyczaju reprezentuje Ryszard Binkowski ciekawym tekstem pt. „Czwarty mąż drugiej żony".

Andrzej Blajer kontynuuje swój pasjonujący cykl „Centrum tajnego frontu", mówiący o walce wywiadów w czasie drugiej wojny światowej.

W bieżącym numerze „Odgłosów" drukujemy także wszystkie stałe pozycje — felietony, informacje książkowe, program telewizyjny, recenzje i propozycje płytowe.

ŁÓDŹ–75

WOJEWÓDZKA KONFERENCJA PARTYJNA

CZYTAJ STR. 3

REPORTAŻ

JACEK INDELAK

ORCHIDEE WE KRWI

— Ogniem i żelazem wypalili im na czole i policzkach trzy litery: „WOZ". Od słowa „wozmutitiel" — buntownik. Okaleczonych i zmaltretowanych w czasie wielodniowych tortur — powieźli łodziami po jeziorze. Płynęli całymi godzinami, lawirując między wyspami, aż dotarli do miasta. Na placu, na którym dziś stoi dom towarowy „Karelia", odbyła się egzekucja. Nie umierali od razu, zabijano ich powoli w okrutnych męczarniach...

Głos Wiery Sołonien drży ze wzruszenia, zielone jej oczy szklą się łzami. Snuje swoją opowieść tak, jakby ta tragiczna historia wydarzyła się przed kilkoma laty. A przecież od tych dni minęło już przeszło dwieście lat.

Wiera jednak — w swym wielkim umiłowaniu wyspy, na której mieszka — zdaje się o tym nie pamiętać. Teraźniejszość wywodzi się dla niej wprost z przeszłości, nawet tej — bardzo odległej. Opowiada dzieje wyspy w sposób tak sugestywny, że jej nastrój udziela się nam wszystkim. Stoimy w przedsionku cerkwi Pierieobrażeńskiej. Niewielkimi okienkami sączy się jesienne światło, ledwie rozświetlające mrok u wejścia do głównej nawy świątyni.

Wzdłuż ścian ciągną się wokół przedsionka szerokie drewniane ławy. Można przysiąść na nich na chwilę, tak, jak przed dwoma wiekami siedzieli zebrani tu uczestnicy powstania, skierowanego przeciwko caratowi i feudalizmowi. Napłynęli na tę wyspę ze stu trzydziestu siedmiu mniejszych wysp i wysepek, wchodzących w skład jednego „pogosta" — powiatu.

1.

Dziś na wyspę Kiżi przepłynąć można spacerowym statkiem w trzy godziny. Tyle bowiem czasu trzeba na pokonanie sześćdziesięciokilometrowej odległości, dzielącej wyspę od najbliższego brzegu jeziora Onega. Czas przejazdu można skrócić bez mała trzykrotnie, wsiadając na pokład jednego z kursujących tu regularnie wodolotów.

Granatowe fale jeziora i mglista linia uciekającego szybko horyzontu. Oszałamiający pęd powietrza. Pieniste bryzgi zimnej wody. I nagle wodolot zwalnia bieg.

— Kiżi!

Trudno powstrzymać się od okrzyku. Widok tej wyspy musi zachwycić każdego.

Dalszy ciąg na str. 5

PROBLEMY

WANDA KARCZEWSKA

SŁOWIKI TEŻ SĄ OKREŚLONE HISTORIĄ

Nie jestem członkiem partii, moje książki nie są utworami politycznymi. Przynależą do gatunku prozy psychologicznej, co dziś jest nazwą nie oddającą istoty rzeczy; nasza współczesna proza „psychologiczna" przeszła swoje wielkie przemiany i ukazuje losy i konflikty jednostki w powiązaniu z życiem społecznym, politycznym, z historią dnia wczorajszego i dzisiejszego. Jest po prostu prozą psychologizującą, która żywi się pełnią ludzkiego żywota. I musi się nią żywić. Ale też dlatego od lat czuję sama brak bardziej żywych i szerszych związków ze współczesnością, z tym wszystkim, co tworzy naszą rzeczywistość. Mówię też i piszę, że wielu z nas, pisarzy, żyje w odosobnieniu od życia społeczeństwa, od uczestniczenia w życiu narodu. Że nasze przelotne kontakty na spotkaniach autorskich w świetlicach fabrycznych, nasze wycieczki po zakładach pracy dają właściwie znikomą wiedzę o tym, kim są, jak żyją, co myślą, jak pracują nasi budowniczy wielkiego przemysłu wykonawcy wielkich inwestycji np. Zalewu Sulejowskiego, Zagłębia Bełchatowskiego; górnicy, inżynierowie, archeolodzy; nie mamy też na ogół pełnego pojęcia o pracy, życiu naukowców, lekarzy, pracowników wielkich szpitali, kombinatów zdrowia

Mówię o tym, tłumacząc, że my, pisarze starszego pokolenia, dźwigający bagaż doświadczeń lat międzywojennych, potem „zarażeni śmiercią" pod okupacją hitlerowską, pełni wiedzy o tamtych udrękach przeżytych na własnej skórze, wiedzy o obozach zagłady, przerażeni tym „co człowiek zgotował człowiekowi", do czego jest zdolny — piszemy własnym doświadczeniem przeżytych już swoich lat sześćdziesięciu i siedemdziesięciu, w których bieżąca, współczesna jest tylko cząstka nakładająca się na nasze dzieciństwo, na naszą młodość — przeżyte w innej epoce historycznej, na nasz wiek „męski" z przełomu epok. I im mniej żywszego kontaktu z obecnym życiem narodu, tym ta cząstka jest uboższa. Ale dochodzimy znowu do wniosku, nieraz przez wielu z nas powtarzanego, czy powieści np. o klasie robotniczej najlepiej nie zrobi pisarz z niej się wywodzący, posiadający zasób autentycznych przeżyć i doświadczeń począwszy od dzieciństwa aż po dzień dzisiejszy i nie wyobcowujący się z tej klasy? Kwestią talentu jest, czy będzie to powieść na miarę Szołochowa, Bułhakowa czy naszych pisarzy — Żeromskiego, Struga. Nie będzie też od rzeczy zastanowić się chwilę na tym, czy przypadkiem nie było łatwiej pisać pisarzowi zaangażowanemu w przemiany rewolucyjne i społeczne dawniej, w okresie, gdy przemiany te były utopiami, marzeniami — niż teraz, gdy utopie zmieniają się w rzeczywistość, a na marzeniu spełnionym zawsze obok blasku leży smuga cienia wynikająca z niedoskonałości ludzkiej. Gdy nie marzenia, ale codzienne fakty i zdarzenia dziejące się na naszych oczach, trud ludzki błędy człowiecze trzeba przekształcać w dzieło sztuki, w którym spoza akcji powieściowej, spoza obrazu literackiego i formowanych zdań może wychylić się gęba taniej dydaktyki, zużyty i wytarty slogan, natrętna propagandowość.

Przy tych wszystkich obawach i zarazem pragnieniach stworzenia dzieła w pełni artystycznego właśnie tym bardziej trzeba wchodzić w konkretne życie konkretnych ludzi, aby w ich życiu znaleźć tworzywo; pod codziennym językiem, fachowym, produkcyjnym, pod przyjętymi hasłami, które mają to do siebie, że często powtarzane przestają działać na wyobraźnię. Myślę, że pisarze partyjni, parający się powieścią polityczną, posiadają tę przewagę nad nami, bezpartyjnymi, że mają dostęp do pełnego życia wszystkich warstw, do ludzi władnych przemieniać świat, mogą lepiej poznawać ważkie fakty w ich urodzie, w ich dramatyczności, we wzniosłości i bolesnych powikłaniach. To są konkrety, którymi się żywi każda sztuka, zwłaszcza dzisiejsza, przechodząca od okresu abstrakcyjnego do figuratywności (w malarstwie), od przypowieści (w literaturze), od ponawiania mitu, od neosymbolizmu — do wzbogaconego o zdobycze „nowej powieści" realizmu, jakim nas zachwyca proza iberoamerykańska, Maraqueza czy Vargasa. To jest proza gęsta od konkretów.

Obejrzyjmy się za siebie: właśnie pisarze związani blisko z życiem społeczno-politycznym, współtworzący piórem i działaniem czas dzisiejszy, a w pewnym okresie nawet znajdujący się w dystansie i odwrocie od współtworzenia — dziś niektórzy nieraz prawie apolityczni — stworzyli dzięki swemu uczestnictwu w ruchu politycznym i nawet dzięki późniejszym rozczarowaniom i goryczom — swoje znaczące dzieła, swoje popioły i diamenty, matki królów, obrony Grenady i poematy dla dorosłych.

Pluję sobie w brodę, że pod nosem powstawały wielkie przedsięwzięcia, Zalew Sulejowski, Bełchatów, że — Poddębice, że Bieszczady, a tu u mnie ani zdrowia ani siły, aby znaleźć się w lawie życia i patrzeć jak z tej kaszy codzienności, jak mimo nieraz kisnącego ślamazarstwa wyrasta w końcu miasto jedno i drugie, jak przeobraża się kraj. Jak zmienia się człowiek. Czego nie zauważają chyba tylko ślepi i głupi, albo tak zapchani nosem w miskę własnej kaszy — owszem ostatnio zbyt często pozbawionej mięsa — że nie dostrzegają drugiej Warszawy wyrosłej na gruzach starej, drugiej Łodzi, Poznania i Lublina obrastających stare śródmieścia, że nie widzą, nie starają się zobaczyć na własne oczy pałaców pracy, jakimi są nowo budowane fabryki.

Przecież jednak — mimo siwego włosa i już nie tych lat od latania po świecie i jego okolicach, wielu z nas podchwytuje istniejące możliwości zobaczenia na własne oczy tego, co rodzi się nowe, lepsze. Dlatego skwapliwie skorzystałam z okazji, aby zwiedzić z wycieczką pisarzy najnowsze zakłady pracy — na Teofilowie i Dąbrowie. Byliśmy zdumieni tymi pałacami pracy, umieszczonymi w szerokich plenerach, ze znakomitymi rzeźbami przestrzennymi przed frontonami. Byliśmy zaskoczeni ich wystrojem ze szlachetnego kamienia, parkietami wnętrz, boazeriami, palmami, bibliotekami, klimatyzacją, salami teatralnymi na 500—600 miejsc, dyskotekami, salami gier. Ktoś nawet szepnął, czy nie za dużo tego luksusu, czy nie warto było za tę cenę wybudować kilkuset mieszkań więcej ktoś zadumał się: a czy miejsce pracy nie jest miejscem życia, czy fabryka nie może być dla robotnika tym czym gabinet dla adwokata, pokój do własnej pracy dla dziennikarza, dla pisarza? Podpytywaliśmy: czy nie oprowadzają nas po fabrykach budowanych na pokaz? Podano cyfry: w tych zakładach pracuje już dwie trzecie łódzkich robotników.

Obie z Zofią Lorentz patrzyłyśmy też na robotnice i w duchu zaśmiewałyśmy się z siebie, z dwóch starych kobiet o „nie zrobionych" twarzach, ubranych w nie bardzo modne kapelutki na nie uczesanych włosach, podczas gdy przy niejednym krośnie i warsztacie krojczym stały dziewczyny w zalotnych fryzurach, z twarzami w maquillage'u, z niebiesko pomalowanymi powiekami, przyjmującymi ciepłe refleksy od górnego światła wpadającego przez szklane dachy. To są inne kobiety, inni ludzie niż te z czasów „Ziemi obiecanej" Reymonta, przypomniane i pokazane na filmie przez Wajdę. Ich inność, ich poczucie własnej godności, świadomość siły, jaką przedstawiają, zwłaszcza w naszym mieście 260 tysięcy pracujących niewiast, zobaczyłam jeszcze przy innej okazji — na spotkaniu aktywu kobiecego z przedstawicielami partii i rządu, gdzie byłam jako sprawozdawczyni prasowa „Odgłosów" i — u licha — chyba po trosze jako „aktywistka", bo czyż nie jest społeczną aktywnością uprawianie trudnego zawodu pisarskiego, czyż nasz wkład, pisarzy wprawdzie nie politycznych, ale autorów książek o ładunku humanistycznym, patriotycznym, o konieczności przebudowy postaw moralnych, o potrzebie uczciwości, prawości, przyjaźni i miłości człowieka do człowieka — nie jest kamieniem węgielnym pod budowę lepszego świata, a w nim czulszego na podstawowe wartości człowieka współczesnego?

Ucieszyły mnie łódzkie włókniarki, ich sposób przemawiania — nie mówię tu o zawodowych oratorkach, ale właśnie o robotnicach, ich wygląd i postawa kobiet śmiało mówiących o, prawda w sposób wielce wyważony — tak o zdobyczach jak i o drastycznych jeszcze brakach o marnotrawstwie, o chamstwie, jakie jeszcze nieraz pokutuje wśród ludzi, o młodzieży dobrej, ale i młodzieży tej, która wchodząc ledwo w życie, od razu mieć chce wszystko, co kiedyś osiągały w rodzinach trzy następujące po sobie pokolenia. O braku informacji, o potrzebach, jakie muszą być jeszcze zaspokojone w pałacach, np. przy wysłudze lat, w organizacji handlu, usług i rynku żywnościowego.

Zebranie trwało trzy i pół godziny, relacja telewizyjna, mieszcząca się z konieczności w półgodzinnym odcinku, nie daje pełnego pojęcia o treści spotkania, o atmosferze, o kolorycie sylwetek kobiecych. Przy których artystka, „nasza Jadzia", dziecko robotniczej Łodzi, dlatego predysponowana do zabrania głosu w tej naradzie łódzkich kobiet, Andrzejewska, wyglądała jak szara, niepozorna myszka. Ale ta „nasza Jadzia" zabiła mi klina. Wnosząc swoje własne akcenty, mówiła o marzeniach, o tym, że grała już matkę Courage w sztuce niemieckiego autora, ale chciałaby zagrać rolę matki współczesnej, polskiej matki, robotnicy, no — włókniarki. I z tym apelem publicznie zwróciła się do literatów łódzkich, patrząc wymownie z estrady w moim kierunku.

Odpowiadam: nie, Pani Jadwigo, ja tej sztuki nie napiszę. Nie dlatego, że nie jestem dramatopisarką, że moje zdarte nerwy, zwłaszcza chore nerwy słuchowe, rozsadza mi grzmot krosien. Nie dlatego boję się wziąć do produkcyjnej powieści, aby, jak kiedyś Wilhelm Mach, z dobrej obywatelskiej woli nie napisać swej powieści najsłabszej, jaką jest w jego twórczości „Agnieszka", ale że, jak wielu pisarzy, wywodzę się z innej sfery, napoły chłopskiej i że swoją powieść o pracy wpisałam już w „Głębokie źródła", w prozę filozofującą, w której saga o przemianach warstwy chłopskiej w naszym wieku ukazana jest w losach chłopskich dzieci: Wiktorii, dziś bibliotekarki i kustoszki muzeum, Marii — dziś pisarki, Filipa — dziś nauczyciela i jego dzieci, dziś studentów filozofii i innych wyższych uczelni. Ale powieści o włókniarskiej Łodzi piszą moi młodsi koledzy, a kiedyś przecież nasz dzisiejszy senior, świetny pisarz Leon Gomolicki, po dwuletniej pracy u „Marchlewskiego" dał Łodzi swoją obywatelską powieść „Białe runo", nie wyrzekając się troski o wartości formalne nowatorskiej prozy.

Scenariusze telewizyjne, filmowe, ukazujące nasze miasto i pracę ludzi w naszym mieście powstają w warsztatach naszych pisarzy jako twory oryginalne i jako adaptacje współczesnych powieści. Niektóre z nich były grane, inne będą wystawione w naszym własnym teatrze Związku Literatów, bo stał się znowu taki dziwny fenomen, jedyny chyba w Polsce, że dostaliśmy własny teatr (pomieszczony w sali teatralnej na Teofilowie przy zakładach „Elta"). Oby nie zmarnować tej szansy.

Inna rzecz, czy robotnik chce oglądać w kinie i teatrze swoje własne życie, zakłady pracy, czy nie woli przez dwie, trzy godziny pożyć innym życiem? I jak trzeba uskrzydlić, jak napisać taką rzecz, aby tchnęła autentycznym przeżyciem, nie fałszowała rzeczywistości i dała widowni tchnienie prawdziwie wielkiej sztuki? Ale to już pytania, temat w ogóle do innego artykułu.

I na zakończenie: czy wobec trudów jeżących się na drodze pisarza społecznika, pisarza politycznego — nie łatwiej pisać — mówiąc umownie — o słowikach? Ba, kiedy słowiki naszego czasu też są inne niż bywały dawniej. Rozwój cywilizacji niszczy siedliska ich gniazd, drzewa umierają pod siekierami wycinającymi nowe drogi, kasztany schną od spalin, ptaki znikają z miast. Co się stało z bliskim mi parkiem Poniatowskiego? „Powieść o słowikach", powieść o miłości nie może nie nosić znamion współczesności, rodzi się w określonej epoce, wśród określonych historią ludzi.

TELEWIZJA

PROPOZYCJE PROGRAMOWE

Czwartek 13. XI. — program II

17.20 PORTRET SZTYGARA — kolejny program z cyklu „Partia w działaniu" prezentujący sylwetkę człowieka czynu, górnika, aktywistę — sztygara kopalni „Zabrze" — Mirosława Gęborka.
17.45 DOKUMENTACJA — film dok. o powstawaniu filmu. Realizator towarzyszy z kamerą radzieckiemu scenarzyście filmowemu Grigorijowi Kurbatowowi.

Piątek 14. XI. — program I

21.45 PRÓBA — „Czym jest czas i czy można nim podróżować". W programie zaprezentowana będzie marksistowska koncepcja czasu, jako forma bytu materii.

Program II

17.20 KŁOPOTY Z KOMPUTEREM — kolejny program z cyklu „Bomba I" — mowa w nim będzie o przygotowaniu odpowiednich fachowców obsługujących komputery.

Sobota 15. XI. — program I

20.20 GODZINY ROZPACZY — kolejna pozycja z retrospektywnego cyklu filmów z Humphreyem Bogartem.
22.45 HUMOR NAD MODRYM DUNAJEM — rozrywkowy film austriacki z cyklu „Róże Montreux".

Program II

17.55 GODZINA Z EDWARDEM FIJAŁKOWSKIM — prezesem Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, znanej powszechnie w kraju z wzorowej realizacji zobowiązań wobec swoich członków.
21.45 A JEDNAK MI ŻAL — program poetycko-muzyczny, zrealizowany w Starej Prochowni w Warszawie, w którym recytowane będą wiersze Bułata Okudżawy.

Niedziela 16. XI. — program I

O 14.40, 18, 20.20 i 21.35 kolejne wejścia Banku Miast.
22.05 WIECZORNY GOŚĆ — Mieczysław Czechowicz — program słowno-muzyczny.

Program II

17.00 INSPEKCJA PANA ANATOLA — komedia polska w reżyserii Jana Rybkowskiego.
21.15 ZDOBYWCY PAMIRU — program studyjno-filmowy z cyklu „Pasja, przygoda, ryzyko". Wystąpi jeden z uczestników wyprawy w góry Pamiru w roku 1972 — operator Szymon Wdowiak.
22.00 TONY CHRISTI I INNI — program muzyczny z udziałem znanego piosenkarza angielskiego.

Poniedziałek 17. XI. — program I

20.20 STARA CEGIELNIA — Jarosława Iwaszkiewicza. Kolejna premiera Teatru TV, ukazująca postawy etyczno-moralne ludzi, którzy znaleźli się w zagrożeniu wojennym. Reżyserem jest Irena Babel.

Program II

20.20 W KRAJU BASKÓW — program z cyklu „Świat, Obyczaje, Polityka" przedstawiający pochodzenie i historię Basków.
21.50 PARYŻ CHOPINA — kolejny program z cyklu „Muzyka w zaułkach starej Europy.

Wtorek 18. XI. — program I

18.40 MIGRACJE — program z cyklu „Fakty, Opinie, Hipotezy" o przyczynach sezonowych wędrówek zwierząt.

Program II

17.15 CANALETTO I BACCIARELLI — program z cyklu „Malarstwo i film", o najważniejszych kierunkach polskiego malarstwa.

Środa 19. XI. — program I

20.20 REGUŁY GRY — w Filmotece Arcydzieł wyświetlony zostanie melodramat francuski w reż: Jean Renoira.

NAD NIEMNEM

Zacznijmy od drobiazgów. Niesławność TVP zawsze była jej cechą notoryczną, ale niekiedy przybiera formy szczególnie drażniące. Oto któregoś wieczoru, niestety dokładnej daty nie pomnę, lecz nie jest ona istotna, spikerka telewizji warszawskiej obiecała nam, że za kilka dni, powiedzmy w piątek o 20.20, obejrzymy film Krzysztofa Kieślowskiego „Personel" świeżo nagrodzony na festiwalu w Manheim. O święta naiwności tego, który niepomny wielu przykrych doświadczeń potraktowałby tę obietnicę na serio — zapowiedzianego filmu oczywiście nie obejrzy! Inny przykład: oto „Warszawski Informator Kulturalny" zapowiada na 26 października premierę głośnego i już w okresie realizacji szeroko reklamowanego sześcioodcinkowego serialu „Dyrektorzy" w reżyserii Zbigniewa Chmielewskiego. Oglądając miast pierwszego odcinka „Dyrektorów" podrzędny western — zapchajdziurę telewidz zachodzi w głowę nad przyczynami tej zmiany i zżyma się na lekceważenie jego oczekiwań.

Wróćmy jednakże do rzeczy właściwej, czyli do audycji, która odbyła się zgodnie z zapowiedziami i co więcej była już drugą z nowego telewizyjnego cyklu „100 pytań do..." Pierwszej z cyklu setki pytań adresowanych do Witolda Fillera nie oglądałem, natomiast program z Niemenem obejrzałem, o czym za chwilę.

Już taka jest Midasowa natura telewizji, że wszystko czego się dotknie zmienia w widowisko. W naszej telewizji już dość dawno odkryto tę elementarną prawdę, że najbardziej spektakularny w telewizji jest człowiek. Niestety, prawdę tę odkryto na tyle dawno, że obecnie całkiem zapomniano do czego ona winna służyć. Z formuły „spotkanie z interesującym człowiekiem" w TVP wyciska się ostatnie soki i sprzedaje się ją pod różnymi, niekiedy istotnie ciekawymi postaciami. A więc mamy „Sam na sam", „Wszystko za wszystko" czy „Wieczory autorskie" by wspomnieć programy najważniejsze. Teraz doszło „100 pytań do..." Przesłuchania Fillera, jak się rzekło, nie oglądałem, czego zresztą zupełnie nie żałuję, gdyż wydaje mi się, że tego nader często pojawiającego się na małym ekranie sprawozdawcę telewizyjnego znam na wylot. I jeśli czegoś jeszcze o nim nie wiem, to chyba tylko tego jak potrafi pogodzić swoją pracę dla telewizji z posadą telewizyjnego recenzenta w „Perspektywach". Chętnie bym go właśnie o to zapytał!

Jednakże nie czas żałować róż, gdy płoną lasy! Przesłuchanie Czesława Niemena przeszło moje najśmielsze oczekiwania. O Niemenie do tej pory wiedziałem sporo, a najwięcej dowiedziałem się z głośnego w swoim czasie filmu Marka Piwowskiego „Sukces". Film ten, przypominam, był onegdaj powodem skandalu, jak wszystko zresztą co robi Piwowski. Poszła nawet plotka o procesie... Jednakże „Sukces" potwierdził mi moje podejrzenia na temat tego zjawiska w naszej kulturze masowej, które nosi kryptonim „Niemen". „Sukces" w sposób podstępny i perfidny nie pozostawił na sławnym idolu suchej nitki, ośmieszył go i skompromitował doszczętnie. Piwowski dokonał chytrego montażu fragmentów wypowiedzi Mistrza z fragmentami śpiewanych przezeń piosenek. Ta mistyfikacja dała efekt piorunujący i zawstydzający zarazem. Jednakże, ten, kto wtedy wątpił w skuteczność i czystość zaproponowanej przez Piwowskiego metody poznawczej ten ostatecznie przekonał się o jej trafności po telewizyjnym spotkaniu z Niemenem.

Było to widowisko, które wbrew(?) intencjom aranżerów zamieniło się w żałosną farsę. Nie będę charakteryzował tutaj Czesława Niemena, który z całym dobrodziejstwem umysłowego inwentarza objawił się przed przesłuchującym go aeropagiem i telewidzami — nie będę tego robił, bo ja nie mam zamiaru włóczyć się po sądach. Zresztą — Niemen jaki jest każdy widział. Zastanawiam się tylko ile było w tym wszystkim winy samego czcigodnego miłośnika Norwida, a ile autorów programu, którzy efekt końcowy mogli przewidzieć. A może przewidzieli go, a ja naiwny nie poznałem się na tym. Ale jeśli nawet wszystko przewidzieli, bijąc w ten sposób rekord złośliwości Piwowskiego, to jest to zabawa — samograj, która w ostatecznym rezultacie piosenkarza krzywdzi. A może krzywdzi słusznie, skoro sam piosenkarz pragnie być również ideologiem? Czekam na „100 pytań do Jerzego Połomskiego".

T. Sz.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny) WIESŁAW JAZDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

JUTRO TWORZYMY DZISIAJ

(KOMENTARZ OSOBISTY)

Nie byłem na łódzkiej konferencji partyjnej, która zatwierdzała program kończącej się obecnie pięciolatki. Dopiero od trzech lat jestem członkiem Komitetu Łódzkiego, a mój staż łodzianina jest jeszcze krótszy. Jeśli jednak jest się w partii piętnaście lat i uprawia tak dziwny zawód jak pisarstwo, nietrudno sobie wyobrazić tamtą atmosferę: nadziei, lecz jednocześnie wielu sprzecznych uczuć — czy podołamy, czy ten ilościowy i jakościowy skok we wszystkich dziedzinach życia społecznego jest możliwy? Były to zrozumiałe obawy, ludzka skądinąd rzecz, ale i niedowiarków nie brakowało.

Włączyłem się w łódzkie sprawy w okolicy półmetka. Chłonąłem miasto i jego sprawy, uczyłem się go szybko i przyglądałem mu się dokładnie z ostrością spojrzenia, jakie daje widzenie po raz pierwszy czegoś dotychczas nieznanego. Nie była to ciekawość kibica, ale wewnętrzny przymus i obowiązek wynikający z redaktorskiej funkcji. Wraz z redakcyjnym zespołem i grupą współpracowników — wszyscy znający na pamięć historię i dzień dzisiejszy Łodzi — staraliśmy się na swój sposób tym przemianom towarzyszyć. Powiedziałbym wspomagać, czy wspomagać piórem, gdyby nie brzmiało to zarozumiale. Więc powiem skromniej: staraliśmy się zrozumieć to, co dokonuje się na naszych oczach, sens tych zmian i wewnętrzne przyczyny, działanie owej siły motorycznej ludzi pracy, której w przeszłości nie docenialiśmy wszyscy.

Konferencja partyjna, to najwyższe forum już nie samej łódzkiej organizacji lecz województwa miejskiego łódzkiego, spięła te dwa momenty czasowe symboliczną klamrą. Wygraliśmy ten czas. Pięć lat w dziejach miasta to epizod, w sensie kalendarzowym. Ale będziemy o nim pamiętać, bo był początkiem, startem w czasy — jak już nikt nie wątpi — świetności naszego miasta. Początki zazwyczaj są niełatwe. Ten nasz łódzki, był szczególnie trudny. Nie wykonaliśmy przecież tylko planu, ale dokonaliśmy milowego s k o k u. Przypomina mi się pewne przysłowie. Sądzę, że już nieaktualna jest jego mądrość: wyżej siebie nie przeszkoczysz; co zapewne miało być przestrogą przed przekraczaniem własnych możliwości. Cały nasz kraj dokonał tego skoku, bez uciekania się do magicznych sposobów. Dzięki mądrej polityce, zaufaniu do Edwarda Gierka przywódcy narodu i partii, i ofiarnej pracy. Łódź jest szczególnie wyrazistym przykładem tego awansu.

Powinienem teraz przytoczyć liczby. Tych 48 miliardów złotych zainwestowanych w przemysł i miasto, zamiast planowanych 37, tych 60 tysięcy rodzin, które przeprowadziły się do nowych mieszkań; 30 nowych i 100 zmodernizowanych zakładów o światowym poziomie techniki i technologii. Nie uczynię tego, bo są to fakty powszechnie znane, będące niejako własnością społeczeństwa. Nie wstydźmy się dumy z tego powodu, bo to przecież efekt naszej ciężkiej pracy.

Towarzysz Ludwik Spruch, stary komunista, Budowniczy Polski Ludowej, powiedział na Konferencji bardzo prosto i pięknie: widzę tu same rozjaśnione uśmiechem twarze. Dodam od siebie: członkowie partii wiedzą jak niebezpieczne jest samozadowolenie, ale... w taki dzień, który jest jak oddech przed następnym wysiłkiem, nasze twarze nie mogłyby być inne. Ale jednak...

Kilka dni przed konferencją oglądałem w telewizji nadany po dzienniku program o Łodzi. Przyjechał dziennikarz z Warszawy uzbrojony w kamerę i helikopter i zrobił piękny reportaż. Pewnie chciał dobrze, jak najlepiej. Ale tak nie trzeba, tak nie wolno. Łódź nam wypiękniała, owszem, robimy tu rewolucję w przemyśle, prawda. Ale tu jeszcze mamy wiele trudnych orzechów do zgryzienia, wiele spraw których nie rozwiążemy ani dziś ani jutro, a trzeba się z nimi brać za bary przez wiele lat. Nie jesteśmy tym bajkowym miastem z reportażu. Delegaci na wojewódzką konferencję wiedzieli o tym najlepiej, mówiąc o sukcesach lecz i nie zapominając o potrzebach czy istniejących brakach. Właśnie tak trzeba, obiektywizować nasze dokonania, uwzględniać kontekst czasowy, mierzyć je w skali światowej. Mówił o tym w referacie tow. Bolesław Koperski, minister Kunicki, wielu delegatów reprezentujących wszystkie środowiska; w skali krajowej przedstawił te sprawy (obok łódzkich, oczywiście) tow. Jan Szydlak. Właśnie... Wybraliśmy towarzysza Szydlaka delegatem na VII Zjazd partii. Pamiętam go sprzed chyba 18 lat, kiedy na jakiejś naradzie natarł mi uszu w podsumowaniu. Byłem wtedy dwudziestoletnim studentem o lewackich ciągotach i ta lekcja bardzo mi była potrzebna. Towarzysz Szydlak od pięciu lat jest przez Biuro Polityczne przypisany Łodzi. Był wśród nas w chwilach trudnych, dzielił je razem z łódzkim aktywem, podobnie jak przez kolejne lata radość z odniesionych sukcesów. Nie mnie oceniać jego zasługi, ale chcę wyrazić tylko odczucie delegatów, że towarzysz Szydlak dobrze się przysłużył naszej łódzkiej sprawie.

Po konferencji szybko pojechałem do domu, usiadłem przed telewizorem, żeby zobaczyć spotkanie towarzysza Edwarda Gierka z łódzkimi kobietami... Jakież mamy kobiety w naszym mieście! Chyba ich trochę nie doceniamy na co dzień. I nawet trudno mi się było zagniewać na Jadwigę Andrzejewską, która łódzkich literatów przed całą Polską wywołała do tablicy, dopominając się o sztukę o łódzkiej włókniarce. Bo jakże się gniewać, kiedy racja po jej stronie. Przed VII Zjazdem partii rozliczamy się sami z sobą i — wierzcie mi — coś dobrego musi z tych rozliczeń wyniknąć.

JERZY WAWRZAK

WOJEWODZTWO MIEJSKIE ŁÓDZKIE

KONCENTRUJE W SKALI KRAJU:

— 3,1 proc. ludności
— 4,6 proc. pracujących w gospodarce uspołecznionej
— 3,3 proc. nakładów inwestycyjnych
— 3,4 proc. zakładów przemysłowych
— 4,9 proc. przedsiębiorstw budowlano-montażowych
— 2,6 proc. krajowej sieci sklepów detalicznych i zakładów gastronomicznych
— 3,3 proc. zasobów mieszkaniowych
— 3,4 proc. miejsc w kinach, teatrach i placówkach muzycznych
— 2,7 proc. uczniów szkół podstawowych, średnich i studentów
— 5,5 proc. personelu służby zdrowia
— 5,3 proc. miejsc w szpitalach, żłobkach i domach opieki społecznej

WYTWARZA W SKALI KRAJU:

— 4,8 proc, produkcji globalnej przemysłu
— 4,6 proc. produkcji budowlano-montażowej
— 59,9 proc. wyrobów pończoszniczych
— 31,3 proc. tkanin wełnianych i wełnopodobnych
— 46,0 proc. tkanin bawełnianych
— 33,3 proc. tkanin jedwabnych
— 8,2 proc. obuwia łącznie z obuwiem gumowym i tekstylno-gumowym
— 23,9 proc. odzieży
— 10,7 proc. obrabiarek skrawających do metali
— 26,5 proc. maszyn włókienniczych
— 44,4 proc. transformatorów elektrycznych o mocy powyżej 20 kVA
— 46,0 proc. żarówek

Fot. A. WACH

CENTRUM TAJNEGO FRONTU (VI)

ANDRZEJ BLAJER

CZAS PRÓBY

Rankiem 22 czerwca 1941 roku Rado, jak zwykle, włączył radio, aby posłuchać wiadomości dziennika. Nagle, podczas strojenia aparatu usłyszał, jak niemiecka rozgłośnia nadaje oświadczenie Hitlera o inwazji wojsk Rzeszy na terytorium ZSRR.

Rado natychmiast skontaktował się telefonicznie z „Jimem", „Sissy" i „Pakbo". Wszyscy oni, choć spodziewali się, że wiadomość ta niebawem nadejdzie, teraz byli nią porażeni. Zadania, jakie każdy miał wypełniać od tej chwili, zostały ustalone już znacznie wcześniej. Mimo to, Rado postanowił odwiedzić każdego z nich, celem ostatecznego omówienia zaistniałej sytuacji. Jeszcze tego samego dnia odwiedził „Sissy" i Boettchera, a także „Edwarda" i „Maud", tak, jak on, mieszkających w Genewie. Pojechał również do Lozanny, do „Jima". (Znajdowała się tam druga radiostacja siatki wywiadowczej). Jego mieszkanie w pełni odpowiadało wymogom konspiracji, a osoba „Jima", obywatela brytyjskiego, przebywającego na dłuższej kuracji zdrowotnej, nie budziła żadnych podejrzeń władz szwajcarskich. Następnego dnia Rado spotkał się w Bernie z „Pakbo", który przekazał mu najświeższe doniesienia.

Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali instrukcji z Centrali. Nadeszły zresztą niebawem. „Dyrektor" zalecał przede wszystkim skupienie uwagi na informacjach dotyczących armii niemieckiej, zalecał też obserwację przerzutów wojsk niemieckich z Zachodu na Wschód oraz w miarę możliwości, wciąganie do współpracy nowych ludzi, mających dostęp do interesujących Centralę źródeł informacji.

Pierwszym, do którego w związku z tym uśmiechnęło się szczęście, był „Pakbo". Udało mu się nawiązać kontakt z człowiekiem, pracującym jeszcze do niedawna w charakterze attaché prasowego we francuskim poselstwie w Bernie. Zwolniono go, bowiem okazał się być stronnikiem linii politycznej gen. de Gaulle'a. Ów bezrobotny dyplomata stał się niezwykle cennym nabytkiem dla grupy „Dory". Miał szeroko rozgałęzione kontakty, zwłaszcza w Berlinie, gdzie do wybuchu wojny pracował jako dziennikarz. Ustalono, że uzyskane informacje „Salter" (bo taki właśnie miał pseudonim), będzie przekazywał „Pakbo" i od niego będzie otrzymywał zadania.

Tymczasem sytuacja na froncie radziecko-niemieckim była wówczas, jak wiadomo, bardzo trudna dla Armii Czerwonej. Wojska hitlerowskie, mimo zaciętego oporu, stawianego im przez żołnierzy radzieckich, wciąż posuwały się w głąb terytorium ZSRR. W lipcu i sierpniu zajęta została Mołdawia, Białoruś, republiki nadbałtyckie, znaczna część Ukrainy i Karelii. Ciężkie walki toczyły się w okolicach Leningradu, w rejonach Smoleńska, Briańska, Dniepropietrowska i Chersonia. Wróg ponosił wprawdzie ogromne straty w ludziach i sprzęcie, mając jednakże inicjatywę strategiczną, nieustannie parł do przodu. Dowództwo niemieckie uważało, że cała kampania potrwa tylko kilka tygodni. Liczono jednak na pomoc ze strony silnego sojusznika na Dalekim Wschodzie — Japonii. W Mandżurii stacjonowała bowiem armia kwantuńska, stanowiąca bardzo poważne zagrożenie dla wschodnich granic ZSRR, a przez to wiążąca duże siły radzieckie, tak potrzebne w tych dniach na froncie z Niemcami. Chociaż między Związkiem Radzieckim a Japonią obowiązywał pakt o nieagresji, należało dokładnie śledzić i analizować zamiary potencjalnego przeciwnika. Ludziom „Dory" udało się zebrać w związku z tym pewne informacje pochodzące z kręgów dyplomatycznych w szwajcarskiej stolicy. Kwintesencją ich była następująca depesza, wysłana do Centrali:

7. 8. 41. Dla „Dyrektora".

„Japoński poseł w Szwajcarii oświadczył, że nie może być mowy o japońskim ataku na ZSRR do tego momentu, dopóki Niemcy nie osiągną decydujących zwycięstw na swoim froncie".

„Dora"

Podobne informacje przekazał, jak wiadomo, także inny, wybitny radziecki wywiadowca — Richard Sorge, pracujący wówczas w Japonii. Należało więc robić wszystko, aby do tych zwycięstw nie doszło.

W miarę rozwoju sytuacji na froncie radziecko-niemieckim, obie radiostacje — genewska i lozańska — wciąż wysyłały w eter meldunki, tak potrzebne wówczas Centrali: o przygotowaniach do natarcia na Moskwę, o formowaniu nowych dywizji, o planach zdobycia Murmańska, celem odcięcia drogi morskiej z Anglią i USA itp. Łączność była dobra, mimo odległości dzielącej Szwajcarię od Moskwy. Centrala dysponowała bowiem silną radiostacją oraz sprawną i doświadczoną obsługą.

Tymczasem wróg zaczął kierować natarcie swych wojsk ku stolicy Związku Radzieckiego. 30 września silna grupa armii „Centrum" rozpoczęła decydujące natarcie na Moskwę. W połowie października dywizje pancerne i zmotoryzowane przeciwnika przerwały na szeregu odcinkach obronę wojsk radzieckich i znalazły się niedaleko od stolicy.

Szwajcarska grupa Rado z rosnącym niepokojem obserwowała rozwój sytuacji na Wschodzie, jej radiostacje ledwie nadążały z przekazywaniem meldunków. Wciąż poszukiwano coraz to lepszych źródeł informacji. I znowu Otto Pünterowi, tym razem z pomocą „Saltera", udało się nawiązać kontakt z odpowiednim człowiekiem. Był nim znajomy tego ostatniego, podobnie, jak on, Francuz i zawodowy oficer wywiadu. „Long" pracował przed wojną dla Deuxième Bureau (Oddział Drugi Sztabu Generalnego — Kontrwywiad) na placówce w Berlinie. Tak, jak „Salter", „Long" był korespondentem czołowych dzienników francuskich w stolicy III Rzeszy. Będąc również sympatykiem gen. de Gaulle'a, wykorzystywał swój pobyt w Bernie na zbieranie informacji dla londyńskiego komitetu Wolnej Francji. „Long", wykorzystując swe ścisłe kontakty z wywiadem szwajcarskim, niemieckimi kręgami emigracyjnymi oraz dawnymi znajomymi z Berlina, zdobywał dla Centrali wiele niezwykle cennych informacji. Dzięki obu Francuzom, działalność sekcji Sandora Rado przebiegała coraz sprawniej.

Nagle, w pracy siatki zaszło coś dziwnego. Pewnej październikowej nocy 1941 roku w eterze zamilkły sygnały radiostacji Centrali. Dotąd łączność była bez zarzutu. „Jim", „Edward" i „Maud" bez przerwy dyżurowali przy swoich nadajnikach. Na próżno. Mijały następne noce, a łączności z Moskwą nie było. Wszyscy zastanawiali się, co się wydarzyło. Czy zbombardowano budynek radiostacji, czy może zostały zmienione — czas i zakres częstotliwości nadawania, ale wówczas „Dyrektor" prawdopodobnie uprzedziłby ich wcześniej. W eter płynęły radiogramy z pytaniami o powód przerwy w nadawaniu, wszystkie pozostały jednak bez odpowiedzi. Zaczęto przypuszczać, że być może węzeł łączności ze względów bezpieczeństwa został ewakuowany poza Moskwę. (Tak zresztą było istotnie, co potwierdza generał armii S. Sztemienko w swej książce „Sztab generalny w latach wojny", pracujący wówczas w oddziale operacyjnym sztabu).

Wreszcie, w końcu listopada, gdy wojska niemieckie gotowały się do przeprowadzenia końcowego natarcia na stolicę Kraju Rad, w eterze znowu pojawił się silny sygnał radiostacji Centrali. Łączność została przywrócona. W eter popłynął strumień informacji, tak długo nie przekazywanych. Pochodziły one głównie ze źródeł „Longa" — od niemieckiego dziennikarza, Ernsta Lemmera („Agnes") i oficera szwajcarskiego wywiadu o pseudonimie „Luiza". Właśnie dzięki temu ostatniemu Centrala była informowana o najświeższych zamiarach niemieckiego dowództwa.

Nadszedł grudzień 1941 roku, a w bitwie pod Moskwą dokonywał się przełom. Pewnych informacji na ten temat dostarczył siatce „Dory" pułkownik, lekarz armii szwajcarskiej, Eugen Bircher z Zurychu, który wrócił właśnie z kolejnej delegacji ze Smoleńska, gdzie kierował pracami specjalnej komisji wojskowej. Wbrew swoim dotychczasowym poglądom odnośnie szybkiego zwycięstwa Niemiec, tym razem Bircher nie był już tego zbyt pewien. Rozmowy, jakie przeprowadził z czołowymi oficerami sztabu OKH w Berlinie wydawały się potwierdzać fakt, iż nadszedł krytyczny moment w kampanii przeciw ZSRR. Adiutant feldmarszałka von Brauchitscha — naczelnego dowódcy wojsk lądowych, powiedział Bircherowi, że jego szef i naczelni dowódcy armii uważają, że od tego momentu wojna jest już przegrana. Żołnierze są wyczerpani, bojowy duch słabnie. Co się tyczy siły uderzeniowej Wehrmachtu, to tylko do końca października na froncie radzieckim zostało rozgromionych szesnaście dywizji pancernych. Oczywiście, wszystkie te wiadomości uzyskane od Birchera, Rado natychmiast przekazał Centrali. Potwierdzały je zresztą całkowicie informacje uzyskiwane również z innych źródeł.

Bitwa pod Moskwą była pierwszą wielką porażką armii niemieckiej. Straty były ogromne: 38 dywizji zostało rozbitych, zginęło 55 tysięcy żołnierzy, a ponad 100 tysięcy było rannych. Jednocześnie powstały dogodne warunki do przechwycenia przez Armię Czerwoną inicjatywy strategicznej. Z początkiem grudnia rozpoczęło się jej kontrnatarcie. Odzyskano Rostów, Tychwin i szereg innych miast. Jednak w tym czasie armia radziecka nie posiadała jeszcze odpowiednich sił i środków do pełnego wykorzystania osiągniętych sukcesów, wskutek czego nie udało się zamknąć wielkiego kotła, w którym miała się znaleźć grupa armii „Centrum". Z kolei po stronie niemieckiej porażka pod Moskwą wywołała kryzys na wysokich szczeblach dowodzenia, co doprowadziło do usunięcia ze stanowisk większości dowódców wojsk lądowych na froncie wschodnim wraz z szefem OKH feldmarszałkiem von Brauchitschem. 19 grudnia dowództwo nad wojskami tego frontu objął sam Hitler. Prawda była jednak gorzka. Plan pokonania ZSRR drogą wojny błyskawicznej legł w gruzach.

Do genewskiej kwatery Rado wciąż napływały nowe meldunki na temat sytuacji w armii niemieckiej. Wehrmacht mimo poniesionej porażki był jeszcze silny i niedocenianie tego faktu mogło mieć zgubne konsekwencje. Dlatego pracowano pełną parą i wkrótce okazało się, że przepustowość informacji do Centrali jest już zbyt mała. „Dyrektor" polecił więc poszukać jeszcze jednego radiotelegrafisty w charakterze rezerwy. Wkrótce grupie „Dory" udało się pozskać do pracy odpowiednią osobę. Wybór padł na młodą, 22-letnią Margrit Bolli, córkę włoskiego emigranta, znanego ze swych antyfaszystowskich przekonań. Dziewczyna chętnie zgodziła się na współpracę. Początkowo spełniała rolę kuriera, później, po odpowiednim przeszkoleniu u „Jima" w posługiwaniu się radiostacją, rozpoczęła pracę w Genewie. Wyszukano tam dla niej odpowiedni lokal, aparat nadawczo-odbiorczy oraz zaopatrzono ją w fałszywe dokumenty, z których wynikało, że jest studentką języka francuskiego.

Tak, jak pozostali radiotelegrafiści, „Róża" nadawała głównie nocą, kontakty zaś utrzymywała tylko z „Dorą", „Leną", „Pakbo" i „Jimem". Tym sposobem już na jesieni 1942 roku sekcja Sandora Rado dysponowała trzema radiostacjami: „Jima" — w Lozannie, „Edwarda" — „Maud" i „Róży" — w Genewie.

Jednocześnie z wdrażaniem do pracy czwartego radiotelegrafisty, czyniono starania na rzecz pozyskania nowych ludzi mających dostęp do źródeł informacji, dotyczących Rzeszy. I znów dzięki „Longowi" i „Salterowi", a także „Sissy", nawiązano kontakty z interesującymi osobami, jak „Grau" — emigrant z Austrii, mający znajomych w kręgach dyplomatycznych, „Mariusz" — reprezentant interesów rządów Vichy w Międzynarodowym Biurze Pracy, znający osobiście premiera Lavala oraz tamtejszego ambasadora niemieckiego, Otto Abetza, czy „Taylor" (Christian Schneider), pracujący jako tłumacz w Międzynarodowym Biurze Pracy. Dzięki nim wszystkim, Centrala uzyskała wiele cennych informacji, które Armia Czerwona mogła później z pożytkiem wykorzystać w letniej i jesiennej kampanii 1942 roku.

HISTORIA NAJNOWSZA

PUŁK WARSZAWY

Polski Rewolucyjny Pułk Warszawy był pierwszą większą jednostką bojową, utworzoną z samych Polaków, która w pamiętnych dniach Rewolucji Październikowej opowiedziała się po stronie młodej republiki radzieckiej.

Najpierw był Biełgorod... 26 lutego 1918 r.

Przedtem jeszcze łódzki nauczyciel **Piotr Borewicz** w końcu stycznia 1918 r. z 600 biełgorodczyków — kawalerzystów utworzył pierwszy Moskiewski Oddział Partyzancki. Oddział ten przez czas dłuższy walczył przeciwko Niemcom na Podolu, zagradzając im drogę w głąb urodzajnych terenów Ukrainy.

W lutym 1918 r. został uformowany nowy polski pułk rewolucyjny. Dowódcą jego został Stefan Żbikowski, a komisarzem wojennym Stanisław Bobiński. Protokół wiecu został przez delegację pułkową przedstawiony dowódcy Moskiewskiego Wojskowego Okręgu — Murałowowi. Po konsultacji z Ministerstwem Obrony, wydał on w dniu 9 marca 1918 r. formalny rozkaz, zatwierdzający utworzenie nowej polskiej jednostki rewolucyjnej.

„Już jako pułk biełgorodzki — wspomina Henryk Augustyniak — **pierwsze potyczki mieliśmy na Ukrainie z bandami Korniłowa. Następnie rozbiliśmy pod Kurskiem armię Denikina. W marcu 1918 r. pułk biełgorodzki zostaje przemianowany na Czerwony Pułk Warszawy. Wyjechaliśmy do Moskwy. Tu zostajemy zakwaterowani w koszarach Aleksandrowskich przy Sierpuchowskiej Zastawie. Pułk nasz miał za zadanie umocnienie władzy radzieckiej w Moskwie".**

Od tego czasu Polski Rewolucyjny Pułk Warszawy przebywał w Moskwie. Niektóre oddziały warszawskiego pułku odznaczały się już w walce podczas powstania lewicowych eserowców w Jarosławiu. W końcu lipca mówiło się powszechnie, że lada dzień warszawski pułk wyruszy do boju z bandami kontrrewolucyjnych oddziałów partyzanckich, działających na Kaukazie i na Krymie.

2 sierpnia 1918 r. w Instytucie Politechniki na Zamoskworieczu w Moskwie, odbył się pożegnalny wiec polskiej jednostki. Obiecał wziąć w nim udział również Włodzimierz Lenin.

„Wiec wyznaczono na godzinę 11. Mąż obiecał wstąpić po mnie — wspomina żona komisarza pułku Helena Bobińska. — **O godzinie 10 rozpętała się kolejna tego lata burza. Ubrana już do drogi, stałam przy oknie, markotnie obserwując strugi deszczu, spływające po szybach.**

Wpadł Stasiek.

— Gotowa jesteś? Naciągnij kaptur, bo zmokniesz. Musimy jeszcze jechać na Kreml po Marchlewskiego, a robi się późno.

Kiedyśmy już wleźli pod ociekającą deszczem budę kocza i mokre siwki ruszyły żwawym kłusem, Bobiński szepnął mi, że na wiecu będzie Lenin. (...)

Lenina zastaliśmy w gabinecie obok wielkiej sali. Dopiero co przyjechał i rozmawiał, otoczony całą grupą towarzyszy. Był tam Żbikowski, Budzyński, Próchniak i Ścibor. Dołączyliśmy się do nich. Marchlewski skorzystał z chwili, kiedy Lenin zdejmował palto, żeby mu coś opowiedzieć. Lenin roześmiał się głośno.

Ogromna sala wypełniona była po brzegi. Wejście Lenina przywitał grzmot oklasków. Orkiestra zagrała „Międzynarodówkę". Sztandary zalśniły czerwienią i złotem.

Od drzwi do estrady ulani polscy utworzyli szpaler. Zaledwie Lenin zrobił pierwszy krok, błysnęły ostrza szabel, krzyżując się nad jego głową. Lenin drgnął, nieznacznie zerknął ku górze — i spokojnie poszedł dalej.

Doszedłszy do estrady odwrócił się i powiedział z żartobliwym wyrzutem:

— Ech, tawariszczi Paliaki, biez efiekta nikak nie możetie...

Uśmiech przeleciał po setkach młodych twarzy. Szmer zachwytu, zdziwienia, radości wybuchnął w żywiołowym okrzyku:

— Niech żyje Lenin!

Kiedy wszedł na trybunę i zaczął mówić, był to znowu inny Lenin.

Spojrzenie wąskich, nieco skośnych oczu, stawało się ostre, przenikające, ruchy — sprężyste i młode.

Słowa biły celnie, jak pociski. Mówił o końcu wojny, o zwycięstwie mas robotniczych...".

Polski Rewolucyjny Pułk Warszawy chlubnie zapisał się w historii Wielkiej Rewolucji Październikowej. W krytycznym czasie, gdy interwenci razem z białogwardzistami ze wszystkich stron napierali na słabo jeszcze uzbrojone i organizowane oddziały rewolucyjne Czerwonej Armii, polska jednostka bojowa pomagała im bić wroga i utrwalać na zdobytych i opanowanych ziemiach władzę radziecką.

Oprac. F. L.

LITERATURA PRZYJACIÓŁ

Jedna z niebagatelnych szans dla literatury pięknej, zwłaszcza zaś dla prozy, polega na odkrywaniu losów pojedynczego człowieka. Jest to typowa szansa z kategorii wiecznych, zawsze aktualna, ważna w każdym czasie i na każdym kontynencie literackim. Wydaje mi się, że tę szansę wykorzystuje z dużym powodzeniem proza radziecka, a może nie tylko proza. To przesunięcie akcentu na pojedynczego człowieka, zwrot w stronę jego osobistego, niejako prywatnego, czy też intymnego losu, rozumiem jako naturalny proces rozwojowy tej literatury, bardzo widoczny w ostatnich latach.

Zbiorowość, masy ludzkie, poddane żelaznym prawom historii, były na początku głównymi bohaterami radzieckiej prozy, pojedynczy człowiek, świat jego osobniczych i niepowtarzalnych przeżyć pojawiał się rzadko i raczej w postaci znakomitego niekiedy, ale z reguły tylko epizodu. Ów pojedynczy bohater, wtopiony zresztą w wielkie społeczności, zaświadczał jedynie o bezwzględnym działaniu historycznych praw, ilustrował je, występował więc raczej w roli załącznika niż samodzielnej siły sprawczej. Stąd właśnie wielkie, panoramiczne obrazy w twórczości Aleksieja Tołstoja ich rewolucyjny makrokosmos, rozstrzygający o losie ludzkim niejako poza wolą człowieka, lub też z minimalnym jej udziałem. Stąd wiele pozycji powieściowych z okresu Rewolucji Październikowej, czy wielkiej wojny przeciw faszyzmowi, angażujących tysiące samolotów, dział, pułki, dywizje i armie idące patetycznie do wielkiego szturmu, a dopiero gdzieś w tyle pojawia się prosty ordynans, który pamięta, że jego porucznik czy major to człowiek, musi jeść, położyć gdzieś zmęczoną głowę, znaleźć rzadką chwilę ciszy, aby rozliczyć się przed samym sobą, tęsknić za sadem, który kwitnie za domem ojców, do dziewczyny westchnąć, ocenić przebieg walki na maleńkim i jemu powierzonym odcinku, właśnie jemu.

Pasjonowałem się tą literaturą, któż w końcu mógłby pomijać rolę zbiorowego wysiłku w „Drodze przez mękę" Aleksieja Tołstoja czy w pokojowym „Cemencie" Gładkowa, poświęconym pierwszym budowom socjalizmu. Brakowało jednak czegoś, właśnie pojedynczego człowieka, świata jego osobistych przeżyć tym bardziej ciekawych i dramatycznych im mocniej chce się po nich przejechać walec historii. Brak ten uzupełnia znakomicie proza radziecka ostatnich lat, która — jak sądzę — odwróciła proporcje. Na pierwszym miejscu, jako główny podmiot doznający — postawiła człowieka i z perspektywy jego niepowtarzalnych przeżyć każe czytelnikowi odkrywać prawdę o świecie.

To przesunięcie akcentu najbardziej jest widoczne w literaturze poświęconej wojnie. Bohater Daniiła Granina z opowiadania — „Mój dowódca", jeszcze po wielu latach pragnie dociec prawdy o sobie samym z czasów wojny; stawia

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

SIŁA LOSU OSOBISTEGO

problem moralny o szerszym znaczeniu, nie dający się sprowadzić wyłącznie do tamtych groźnych lat, chce wiedzieć, czy dobrze pokierował swoimi ludźmi na maleńkim odcinku obrony Leningradu. Maleńka to była operacja z punktu widzenia wielkiego sztabu, najważniejsza jednak z punktu widzenia stosunku człowieka do człowieka. Stara to prawda — wojna ujawnia wszystkie właściwości człowieka, ujawnia cechy jego charakteru w szczególnej scenerii, kiedy kierują się przeciw niemu nowoczesne środki niszczenia, kiedy pojedynczy człowiek zdaje się nic nie znaczyć, znaczą tylko masy uzbrojone po zęby. W takiej sytuacji nieustannego zagrożenia sprawdza się bogactwo natury człowieka — jego męstwo i strach, poświęcenie i skrajny egoizm, wiara w sens słusznej walki i zwątpienie w jakąkolwiek dobrą wolę ludzi, beztroska w szafowaniu życiem drugiego człowieka i pełna za to życie odpowiedzialność, zazdrosne chowanie i sprawiedliwe dzielenie ostatniego bochenka chleba między wszystkich.

Los pojedynczego człowieka — żołnierza to specjalność Wasyla Bykowa, najbardziej może przejmująco ukazana w tomie pt.: „Doczekać świtu". Znaleźć tam można opowiadanie — „Kruhlański most". Ten właśnie most próbuje wysadzić samotna i niewielka grupa partyzantów. Opowiadanie Bykowa stanowi jedyne w swoim rodzaju, głęboko humanistyczne, studium charakterów ludzi o obszarpanych mundurach, kiepsko uzbrojonych, zmęczonych i głodnych. Nie można oprzeć się wrażeniu, że ten krwawy epizod w ich życiu wydoskonali ich osobiste cechy, wyostrzy je i w wyraźniejszym kształcie przekaże czasom pokoju i odbudowy.

Trudno — rzecz prosta — przypominać w krótkim felietonie dziesiątki i setki książek — Surkowa, Bondariewa, Zakrutkina, całą plejadę pisarzy białoruskich — Bryla, Adamowicza, czy Kardtkiewicza. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na tom opowiadań białoruskich, które wyszły przed rokiem nakładem Wydawnictwa Łódzkiego. Nie mogłem spokojnie czytać prozy Kuźmy Czornego, zatytułowanej — „Maleńka kobieta". Jest to opowieść o dziewczynce, dziecku prawie, które ucieka wraz z rówieśnikami z płonącego Mińska Białoruskiego na wschód, ucieka przed bombami nie rozumiejąc istoty faszyzmu i śmierci w nadziei, że spotka znowu łąki pełne kwiatów i spokojne, grzybne lasy, usłyszy dobry, pouczający głos matki, trafia jednak na walkę z hitlerowskimi skoczkami. Okazuje się, że w losie zagubionej dziewczynki, ufnej i śmiertelnie przestraszonej, można odczytać niejeden dramat świata, dostrzec pojedynczym to, co jest ogólne, w losie jednostkowym losy zbiorowe.

Przesunięcie akcentu na losy poszczególnych bohaterów stanowi także jedną z charakterystycznych cech prozy radzieckiej czasu pokoju, czy może lepiej będzie powiedzieć — budownictwa socjalistycznego. Na ekrany naszych kin wszedł właśnie film radziecki — „Kalina czerwona", zrealizowany przez Wasyla Szukszyna. Film współczesny, kreujący postać bohatera, dalekiego od solennego, usztywnionego modelu bardzo świętego z nie bardzo wielkimi grzeszkami. Jegor Prokudin, były złodziej, to człowiek z gatunku niespokojnych, poszukujących miejsca dla siebie, którego zresztą nie znajduje. Cóż to w takim razie za bohater? A jednak trudno zaprzeczyć, że każdemu, wielkiemu i małemu, więcej i mniej doświadczonemu dana jest możliwość rzetelnego wartościowania, oceny własnego życia. Prokudin takiej oceny dokonuje i właśnie ten ludzki, wysoce humanistyczny walor ocala go w oczach widza, pozwala sądzić, że wszystko może obrócić się na dobre, jeżeli ów mechanizm samooceny funkcjonuje.

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem także opowieść Jurija Skopa pt: „Tej zimy zapłakało jezioro". Ta właśnie książka, niewielkich zresztą rozmiarów, ma w sobie coś z epopei. Oto wspaniały, ale i posępny pejzaż tajgi — bezkresne ponure, lasy bez końca i bagna bez końca, mordercze zmiany temperatury i trudności na każdym kroku, z transportem, żywnością, narzędziami do pracy, lekarstwami, a przede wszystkim trudności we wzajemnym porozumiewaniu się ludzi, którzy stanęli do walki z tajgą. Delikatny, zakochany chłopiec, który uciekł przed miłością, ojciec wierzący, że dzieciom pomoże ponieważ dobrze płacą, były kryminalista, myśliwy mruk, cwaniaki z wielkich miast i zapaleńcy, zachwyceni wizją ziemi obfitości. Co człowiek, to inny zespół doświadczeń, cech charakteru, inny los. Skop znakomicie maluje owo zróżnicowanie i konflikty, przez które pionierzy przejść muszą. Maluje z wyraźną wiarą w wielką ideę przebudowy, która te sprzeczne losy pogodzi, stępi konflikty, wyznaczy wspólne zadania i każdy dla swoich indywidualnych pragnień znajdzie właściwe ujście. Ten charakterystyczny dla Skopa i innych punkt wyjścia wydaje mi się w literaturze radzieckiej cenny nie tylko dlatego, że jest nośny, pozwala atrakcyjnie budować, fabułę, ten punkt widzenia najlepiej pozwala realizować główny cel literatury, która zajmuje się człowiekiem i sferą jego wewnętrznych przeżyć.

KSIĄŻKA POSZUKIWANA

CZŁOWIEK, ŚWIAT, POLITYKA

20 listopada 1975 roku rozpoczyna się kolejna dekada poświęcona książce społeczno-politycznej. Trwać ona będzie do 30 listopada 1975 r.

Tegoroczne dni książki społeczno-politycznej odbywają się w szczególnym okresie, zbiegają się bowiem z przygotowaniami do VII Zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej a co za tym idzie, odbywają się w okresie zwiększonej aktywności politycznej, kiedy rośnie zainteresowanie społeczeństwa problemami gospodarki, polityki wewnętrznej i zagranicznej partii i państwa, kiedy rośnie zainteresowanie problemami społecznymi. W takim okresie ludzie sięgają częściej po książki o tych właśnie sprawach traktujących. I w tym okresie wydawnictwa powinny postarać się dostarczyć czytelnikom książek, które trafiałyby w ich zainteresowania.

Powtarzana co roku dekada poświęcona książce społeczno-politycznej, a odbywająca się pod hasłem: **„CZŁOWIEK — ŚWIAT — POLITYKA"**, pomyślana jest przede wszystkim jako działanie na rzecz popularyzacji książek, które zajmują się sprawami filozofii marksistowskiej, historii myśli ludzkiej, problemami gospodarki socjalistycznej i oceną procesów dokonujących się nieustannie w świecie kapitalistycznym, sprawami gospodarczymi oraz procesami integracji w obozie socjalistycznym, a także pokazywania tego wszystkiego, co dzieje się we współczesnym świecie, i co powinno interesować każdego człowieka, któremu sprawy współczesności nie są obce.

Wydany w tym roku katalog książek, które znajdują się w kręgu tematyki zawartej w haśle: **CZŁOWIEK — ŚWIAT — POLITYKA**, zawiera kilka tysięcy pozycji. Niektóre z nich są już wyczerpane, a znalazły się w katalogu, gdyż obejmuje on wszystkie pozycje, jakie były wydane w latach 1971—1974, a także znalazły się tam pozycje, które ukażą się w najbliższym czasie. Katalog ten pokazuje ogrom publikacji związanych z tematyką zawartą w haśle **CZŁOWIEK — ŚWIAT — POLITYKA**, a jednocześnie jest ilustracją społecznego niewątpliwie faktu, który dowodzi o zainteresowaniu tego rodzaju książką.

Cechą naszego społeczeństwa — na którą ostatnio zbyt mało zwraca się uwagi — jest wielkie zainteresowanie nauką. Jesteśmy społeczeństwem stale uczącym się, pogłębiającym swoją wiedzę, doskonalącym ją. Nie dotyczy to oczywiście wszystkich, ale nie zmienia istoty zjawiska. Ludzie coraz powszechniej rozumieją, że podstawową cechą współczesności jest rewolucja naukowo-techniczna, że wiedza, rozumienie tego, co dzieje się w poszczególnych dziedzinach życia, decydować będą o indywidualnym powodzeniu każdego z nas. Pogłębiająca się specjalizacja powoduje wprawdzie, że ludzie nawet jednej dyscypliny naukowej czy technicznej nie bardzo się rozumieją w swoich zawodowych sprawach, ale z drugiej strony dążą oni do zrozumienia zjawisk społecznych, warunków, w jakich dokonuje się postęp. Ludzie dążą też do zrozumienia przemian jakie dokonują się w technice i nauce, szukają publikacji popularnych, które by im te sprawy i problemy zbliżały, wyjaśniały, odpowiadały na ich niepokoje i zainteresowania. Stąd taki popyt na książki popularnonaukowe, na książki o tematyce społecznej, politycznej, gospodarczej.

Od dłuższego czasu na łamach **„ODGŁOSÓW"**, w ramach stałej pozycji popularyzującej książki, w **„Ex librisie „ODGŁOSÓW"** prezentujemy nie tylko beletrystykę, książki o literaturze, ale też książki poświęcone problemom gospodarczym, politycznym, społecznym, historii, a także technice czy nauce. I będziemy nadal tak postępować, proponując Czytelnikom naszego pisma nie tylko najciekawsze książki z dziedziny beletrystyki, ale też książki naukowe, społeczne, polityczne, gospodarcze, wybierając najciekawsze pozycje, proponując to wszystko, co interesującego będzie się ukazywało na rynku księgarskim. Nie chcemy przy tym rezygnować z literatury lekkiej i przyjemnej, która stanowi znakomitą rozrywkę nie tylko na długie, zimowe wieczory.

Wspólnie z księgarnią **„WSPÓŁCZESNĄ"** zorganizujemy w dniach od **27 do 4 grudnia 1975 roku TYDZIEŃ KSIĄŻKI POSZUKIWANEJ.** Naszym zadaniem będzie popularyzacja tej imprezy. Zadaniem księgarni **„WSPÓŁCZESNA"** będzie sprezentowanie czytelnikom i klientom książek, które mogą i powinny ich zainteresować, a które były, są i będą książkami poszukiwanymi. **TYDZIEŃ KSIĄŻKI POSZUKIWANEJ** będzie niejako przedłużeniem dekady książki społeczno-politycznej, a na półkach księgarni **„WSPÓŁCZESNA"** oraz na specjalnych stoiskach obok książek o różnej tematyce pojawią się również książki z cyklu **CZŁOWIEK — ŚWIAT — POLITYKA.**

Znajdą się tam te pozycje, które z różnych powodów spóźnią się z dotarciem do księgarni w pierwszych dniach dekady poświęconej książce społeczno-politycznej, a które będą nadal poszukiwane ze względu na rosnącą aktywność polityczną społeczeństwa przed VII Zjazdem PZPR.

W tym czasie, poczynając już od **20 listopada 1975 roku,** księgarnia **„WSPÓŁCZESNA"** prezentować będzie najciekawsze książki w swoich witrynach, sięgając również do innych środków popularyzacji tego rodzaju książki. Zorganizuje też wystawę książki społeczno-politycznej, a od **27 listopada 1975 roku** — wystawę książek innego typu, o szerszej problematyce, nie rezygnując przy tym z problematyki wchodzącej w zakres cyklu **CZŁOWIEK — ŚWIAT — POLITYKA.**

„ODGŁOSY" w tym czasie sprezentują w numerze, który ukaże się **20 listopada 1975 r.** 10 różnych pozycji książek społeczno-politycznych, a następnie w numerze pisma, który ukaże się **27 listopada 1975 roku** — omówią książki, jakie znajdują się w księgarni **„WSPÓŁCZESNA"** w TYGODNIU KSIĄŻKI POSZUKIWANEJ.

L. W.

MUZYKA

„JJ 75"

PROLOG

Ubiegłotygodniowe wieczorne imprezy w Filharmonii Łódzkiej były zaiste tylko reminiscencjami z warszawskiego **„Jazu Jamboree-75"** Złożyło się na to kilka przyczyn: pomijając fakt nieobecności niektórych gwiazd jazzu ze znakomitą Sarah Vanghan na czele (żałuję także, że nie mogłem zobaczyć i usłyszeć „na żywo" zespołu OM ze Szwajcarii, który ponoć w Warszawie, w konfrontacji z innymi grupami, wypadł bardzo dobrze), zabrakło chyba również tej swoistej atmosfery, jaka towarzyszy warszawskim koncertom. No, ale cóż się dziwić — wszak jest to inicjatywa po raz pierwszy realizowana, a przecież dla uzyskania odpowiedniego klimatu, dla sprowokowania sympatyków jazzu do „życia imprezą", trzeba najpierw „wychować" sobie publiczność. A to — jeśli idea organizacji łódzkich edycji Międzynarodowych Festiwali Muzyki Jazzowej zostanie podtrzymana — mogą organizatorzy osiągnąć dopiero za dwa, trzy lata. Ale ze względu na unikalność handlową jazzu, gra jest — moim zdaniem — warta świeczki.

WIECZÓR PIERWSZY

Na pierwszy koncert, rozpoczęty — podobnie, jak i w dniach następnych — krótkim wystąpieniem informacyjno-programowym przez **Andrzeja Kossowicza,** złożyły się trzy osobne bloki programowe trzech różnych wykonawców. Jako pierwszy wystąpił czeski **Jazz Q** z Pragi — kwintet kierowany przez pianistę **Martina Kratochvila.** Grupa przedstawiła zestaw utworów z gatunku muzyki jazz-rockowej. Niestety, **Jazz Q** nie wypadł najlepiej, że grano na nie rozgrzanej aparaturze, a i widownia zachowywała się dość fatalnie.

Bardziej natomiast podobał się jej, również jazz-rockowy, zespół z Niemieckiej Republiki Demokratycznej **— Fez,** grający muzykę bardzo przystępną nawet dla laika, który bardziej interesuje się beatem.

Wreszcie — **Jerome Van Jones,** były akompaniator grupy wokalnej **„Stars of Faith".** Ten amerykański pianista spróbował ostatnio swych sił także jako wokalista, ale trudno powiedzieć, żeby śpiewał on z pełnym powodzeniem. Dobrze przynajmniej, iż jest on niezłym instrumentalistą.

WIECZÓR DRUGI

Nie wdając się w szczegóły estetyki wyglądu członków tria **SBB,** można stwierdzić na podstawie ich łódzkiego występu, że grupa ta przeżywa poważny kryzys; szereg utworów, połączonych w jeden, zapowiedziany przez **Józefa Skrzeka,** jako suita, strawny był jedynie przez pierwsze pół godziny. Wydaje się, iż jedynie perkusista **Jerzy Piotrowski** utrzymał status doskonałego instrumentalisty; pozostali dwaj wyraźnie obniżyli loty. (Gwoli informacji — w czasie warszawskiego **„Jamboree",** zespół **SBB** wziął udział w imprezie towarzyszącej).

WIECZÓR TRZECI

Pierwszą część koncertu wypełnił wrocławski big band, złożony — jak powiedziano — z absolwentów i studentów Wyższej Szkoły Muzycznej. Zespół (w tradycyjnie szerokim składzie) powstał niedawno, ale już poczyna sobie zupełnie nieźle: gra poprawnie i z werwą. Nieco gorzej wypadło jednak „małżeństwo" tego zespołu z duńskim wokalistą — **Erlingiem Kronerem.** Bodaj trzy utwory, śpiewane przez tego ostatniego, brzmiały niezbyt przekonywająco.

Pozostając przy Wrocławiu, przedstawiono publiczności (miast zapowiadanego zespołu **Jazz Cariers)** pochodzący z tego miasta **„Spisek sześciu",** który jednak nie był chyba w nadzwyczajnej formie, stąd też ci przypadkowi (nie grali — zdaje się — w stolicy) goście raczej zawiedli.

Na zakończenie rodzynek; **NOVI Singers** w sensacyjnym składzie: **Ewa Wanat, Janusz Mych, Waldemar Parzyński** i **Tomasz Ochalski,** grający także na Fender pianie (oraz, oczywiście, sekcja rytmiczna). W programie, w sporej części znanym słuchaczom, **NOVI** wypadli świetnie, jak zwykle śpiewając ze swobodą, i zostali gorąco przyjęci przez naszą publiczność. Był to miły akcent na zakończenie łódzkiego **„Jamboree".**

EPILOG

Patronem cyklu imprez w Filharmonii Łódzkiej było, oczywiście, **Polskie Stowarzyszenie Jazzowe** w Warszawie, które przygotowało **XVIII Międzynarodowy Festiwal Jazzowy,** ale ciężar bezpośredniej organizacji przejęło na swoje barki powstałe w lutym br. miejscowe **Studenckie Stowarzyszenie Jazzowe** w Łodzi (dofinansowywane w tym przypadku przez Zarząd Łódzki SZSP i Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe — Zakład Ośrodek Gier i Klubów Rozrywki). Chyba jednak z organizacją coś szwankowało, skoro tak mały procent wykonawców z afisza faktycznie wystąpił na estradzie. Jednak ze względu na premierowy charakter — jak to nazwano — **„łódzkiej edycji"** — trzeba tę błędy w zapowiedziach i anonsach wybaczyć. Miejmy nadzieję, że na przyszłorocznym spotkaniu z jazzem przy tej samej okazji będzie więcej powodów do zadowolenia. I w stołecznej Sali Kongresowej PKiN, i w naszej filharmonii.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

JACEK INDELAK

ORCHIDEE WE KRWI

Dalszy ciąg ze str. 1

Kiżi — wyspa rozciągająca się na dwu i półkilometrową długość — jest jednym z największych i najcenniejszych skansenów północnej części Związku Radzieckiego. Na wyspę tę — począwszy od lat trzydziestych — przenoszono drewniane zabytki karelskiej ciesiółki i architektury. Zgromadzono na niej kilkanaście niepowtarzalnych budowli, z których najstarszą jest maleńka cerkiewka Łazarza Muromskiego, wzniesiona w 1390 roku.

Za najpiękniejszy jednak i najcenniejszy zabytek na Kiżi uważany jest powszechnie cerkiewny zespół, składający się z zimowej cerkwi Pierieobrażeńskiej, czyli Przemienienia Pańskiego, letniej cerkwi Pokrowskiej, czyli Orędowniczej oraz drewnianej dzwonnicy.

— Kiedy obchodzisz wokół cerkiew Przemienienia Pańskiego, nie potrafisz oprzeć się uczuciu, że stamtąd, z wysokości spływają na ciebie potoki pięknej i łagodnej muzyki. Kiżi — to muzyka — tak powiada Jurij Linnik, jeszcze jeden z tych, których Kiżi zauroczyły bez reszty.

2.

Cerkiew Przemienienia powstała w 1714 roku, następną wybudowano w 1764, dzwonnicę wreszcie — — w 1874 roku. Półtora wieku różnicy między pierwszą a ostatnią. Mimo to jednak — zadziwiająca harmonia i rytm. Współcześni architekci wymierzyli wszystkie trzy budowle na wszystkie strony. Nie udało im się do niczego przyczepić. Ustalili proporcje: znaleźli w nich i antyczny „złoty środek", i ściśle przestrzegane prawidła perspektywy, i algebraicznie dokładne poczucie architektonicznego rytmu. Tak, jakby cały zespół budowano według projektu, który wyszedł spod ręki jednego architekta.

Projekt taki nie istniał. Ośmiościenny trzon cerkwi Przemienienia, do którego przylegają skierowane na cztery strony świata prostokątne przybudówki, wznoszony był w oparciu o proste, ciesielskie wyliczenia. Podobnie, jak i dwadzieścia dwie cebulaste kopułki, tworzące baśniowe schody smukłej piramidy. Kopułki pokryte w sumie czterdziestoma tysiącami miniaturowych klepek z osinowego drzewa, które przytwierdzone zostały jedna do drugiej bez użycia gwoździa.

Osina — przedziwny materiał ciesielski. W słońcu klepki przelewają się najszczerszym złotem, w deszcz — zdaja się być pokryte miękkim i puszystym zielonkawym mchem. Po mchu tym i po złocie wzrok wspina się bezwiednie, niczym po kunsztownych schodach, wprost do nieba. Cerkiew widać dobrze w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Mieszkańcy okolicznych wysp nie musieli przyjeżdżać tu na nabożeństwa: modlili się, patrząc tylko na te schody, wiodące do nieba.

Kiżi — znaczy „radość" i „zadowolenie". Znaczy też „miejsce religijnego kultu". Na wyspie tej przed wiekami zbudowano pogański chram. Od dwunastego stulecia w Karelii — poprzez księstwo nowogrodzkie — szerzyć się zaczęły wpływy chrześcijańskie. Chram zburzono. Wyspa cywilizowała się powoli, przejmując coraz wyraźniejszy prymat nad okolicą, aby w siedemnastym stuleciu stać się stolicą powiatu.

W pierwszych latach osiemnastego stulecia na Kiżi odbył się wiec przedstawicieli wysp, wchodzących w skład „pogosta". Jego uczestnicy powzięli decyzję o budowie prawosławnej świątyni. Na wyspę ściągnięto siedemdziesięciu pięciu najlepszych cieśli, którzy w 1706 roku zbudowali u ujścia rzeki Regi piękną, 24-kopułową cerkiew. Na ikonostasie wyryli swoje nazwiska. Grupą tą — w której działało dwanaście kobiet — kierowało kilku osiemdziesięcioletnich starców.

W styczniu, kiedy w Karelii mrozy najsroższe, mieszkańcy okolicznych wsi wybierają się na brzegi jeziora Onega po budulec. Drzewo ze ściętymi mrozem sokami nie wypacza się, nie imają się go szkodniki. Dzięki temu, spreparowane belki można ściśle łączyć.

— Spróbuj tylko wsunąć między belki ostrze brzytwy — mówi Wiera Sołonien. — **Nie uda ci się. Są tak mocno spojone, że trudno wepchnąć między nie nawet żyletkę...**

Robota jest znakomita. Niemniej konieczne są odpowiednie zabiegi konserwatorskie. Od dwóch lat przeprowadza się restaurację cerkwi Orędowniczej, obstawionej teraz ze wszystkich stron rusztowaniami. Między spojenia belek, pod klepki, w każdą najmniejszą szparę wstrzykiwany jest specjalny płyn, który zespoli drzewo jeszcze mocniej, niczym cementem, zapobiegając przedostawaniu się wody, chroniąc drewno przed szkodnikami i uniemożliwiając jego gnicie.

Z cerkwią Przemienienia nie jest taka prosta sprawa. Grunt pod nią — a zbudowana została bez fundamentów, wprost na ziemi — obsuwa się, grożąc uszkodzeniem całej budowli. Dr Siergiej Gorszyn, który kieruje pracami konserwatorskimi, zdradził tajemnicę ratowania cerkwi:

— Cerkiew otoczona zostanie trzydziestoma sześcioma precyzyjnymi dźwigami, które uniosą do góry cały dach z dwudziestoma dwiema kopułkami. Każda belka, każda deska zostanie z osobna dokładnie zakonserwowana. Po całej zaś operacji, która potrwa wiele miesięcy, całość zostanie opuszczona na solidny fundament, jaki zostanie wybudowany pod cerkwią. Przedsięwzięcie to jest chyba pierwszym tego typu zamierzeniem w świecie. Wbrew pozorom, jest to znacznie trudniejsze niż rozebranie i poskładanie od nowa całego budynku, czy nawet jego przesunięcię bez rozbierania...

Konserwatorzy są już prawie stałymi mieszkańcami wyspy, na której potrzeby przeznaczono kilka milionów rubli. Ale tak całkiem stałych mieszkańców wyspy Kiżi jest dwudziestu pięciu — w tym tylko dwójka rdzennych kiżan. Staruszek mieszka w jednej wsi, babcia — w drugiej. Reszta — to obsługa przystani, pracownicy nawodnej restauracji, a także kustosze i przewodnicy skansenu.

3.

Ludność wyspy była ongiś bez porównania liczniejsza. Mieszkali tu spokojni chłopi, trudniący się rolnictwem, rybołówstwem i myśliwstwem. Na ich wyspie rosły przed wiekami północne orchidee, których w Karelii można jeszcze dziś naliczyć przeszło dwadzieścia gatunków. Najpiękniejsze są białe.

Orchidee wyspy Kiżi, po dziesiątkach lat ciszy i spokoju spłynęły krwią.

Już w czasach rozkwitu carskiego feudalizmu, karelscy chłopi nie mieli łatwego życia. W czasach jednak Piotra I sytuacja tutejszego ludu uległa pogorszeniu. W ramach pańszczyzny musieli oni odpracowywać wiele godzin w metalurgicznych manufakturach, pozakładanych na brzegach jeziora Onega na mocy rozkazu cara. Jego następczyni — Katarzyna II była jeszcze bardziej okrutna w stosunku do karelskiego ludu. Raz po raz zwiększała wymiar fabrycznej pańszczyzny.

Kiedy w 1769 roku ukazem carycy podwojono ilość godzin, jakie mieli odpracowywać w zakładach metalurgicznych okoliczni chłopi, powiedzieli oni: nie! W przedsionku cerkwi Przemienienia zebrali się znów przedstawiciele stu trzydziestu siedmiu wysp, wchodzących w skład „kiżskiego pogosta". Postanowili od tego dnia nie wychodzić już więcej do spełniania pańszczyźnianych powinności, postanowili nie wysyłać swoich żon i dzieci do morderczej pracy w hutach żelaza i fabrykach broni. Przywódcy rebelii złożyli przysięgę na wierność ludowi.

Przez dwa lata udawało im się wytrwać przy swoim postanowieniu. Wreszcie rozwścieczona caryca wysłała na wyspę Kiżi ekspedycję karną. Cała ludność wyspy schroniła się w cerkwi Przemienienia. Carscy żołdacy nie zważali na to, że podejmują walkę nie tylko z mężczyznami, lecz i ze starcami, kobietami i dziećmi. Caryca przykazała ukarać co dwudziestego mieszkańca wyspy. Wykonawcy jej rozkazu posunęli się dalej: co piąty z kiżan poniósł śmierć. Egzekucje odbywały się przy ogrodzeniu zespołu cerkiewnego. Przywódcy buntu straceni zostali w Pietrozawodsku. Od tego czasu wyspa Kiżi nie zdołała już wrócić do swej dawnej świetności.

O przedrewolucyjnych warunkach ich życia najlepsze pojęcie daje jeden z zabytków: kurna chata biedniaka Jelizarowa, wybudowana w zeszłym stuleciu, a przeniesiona tu z typowej karelskiej wsi. W takich chatach mieszkali kiżanie, jeszcze w początkach naszego stulecia.

Rodzina Jelizarowa liczyła sobie osiemnaście osób, żyjących obok siebie w jednej izbie o powierzchni dwudziestu paru metrów kwadratowych. W izbie tej trzymano drobniejsze zwierzęta domowe, które w czasie ostrej zimy pozdychałyby z zimna, a także drób — ulokowany pod stołem, na którym kroiło się chleb: ani jedna okruszynka nie mogła się zmarnować...

4.

Kiżi — znaczy „radość". Kiżi — znaczy też tragiczne dzieje. Wiera Sołonien pokazuje nam wystający z brzegu Onegi nagrobkowy, skromny kamień: to mogiła partyzantów, którzy polegli na wyspie w czasie ostatniej wojny. Bronili swojej wyspy przed fińskimi okupantami, którzy nierzadko bywali niemniej okrutni od swoich hitlerowskich sojuszników. Kiżi — to lekcja karelskiej historii. Historii, w której przepiękne północne orchidee nie jeden raz spłynęły krwią.

Karelia — przez wiele wieków ziemia niczyja — stała się od XIII w. przedmiotem międzynarodowych przetargów i wojen. Na przełomie trzynastego i czternastego stulecia opanowana przez księstwo nowogrodzkie, nękana była nieustannie przez feudałów szwedzkich, którzy starali się orężem rozszerzyć sferę swoich wpływów. W latach czterdziestych XIII wieku Szwedzi podbijają Finlandię, a przy okazji i zachodnią część Karelii. Pod koniec tego stulecia budują na zdobytym terenie warowne miasto Wyborg. Chcąc odciąć Ruś od morza, próbują zagarnąć Newę i w tym celu nad rzeką Ochtą budują twierdzę — Landskronę.

Oddziały ruskie rozbijają jednak zaborców, równają z ziemią Wyborg i Landskronę, a nad jeziorem Ładoga wznoszą w 1310 roku karelską twierdzę Korelę (Kexholm, obecnie Prioziersk), a w dwanaście lat później u ujścia Newy budują murowane miasto Oriechow (Pietrokriepost).

W Oriechowie w 1323 roku podpisany został pokój ze Szwecją, na mocy którego nowogrodzianie zatrzymują ujście Newy i mają prawo do przeprawiania swych okrętów w morze. Szwedzi jednak raz po raz ponawiają swoje zakusy, aby latem 1611 roku po wielomiesięcznym oblężeniu miasta Korela, zająć je wraz z całym okręgiem korelskim.

Rosyjsko-szwedzki traktat pokojowy, podpisany 23 lutego 1617 roku we wsi Stołbowo, potwierdza ten stan rzeczy: Karelia podzielona jest na dwie części. Karelowie, pozostający pod zaborem, odpowiadają na ten traktat masową emigracją do ruskiej części swej ojczyzny.

Dopiero w sto lat później — na mocy traktatu z Nystad — cała Karelia wraca do Rosji. W tym też czasie staje się ona ważnym ośrodkiem przemysłowym: powstaje w niej kilka fabryk metalurgicznych. Równocześnie leżąca na terenie Karelii gubernia ołoniecka, jako najdalej wysunięta na północ część Rosji, staje się miejscem zsyłek. Przez wiele dziesiątków lat trafiać tu będą zesłańcy polityczni z całej Rosji i pozostających pod jej zaborem krajów.

Staje się też Karelia jednym z ośrodków chłopskich i proletariackich powstań i buntów. Jednym z największych powstań jest rebelia kiżskiego powiatu. Krwawymi literami w dziejach carskiej Rosji zapisuje się też wystąpienie pietrozawodskiego proletariatu przeciwko carskiemu reżimowi w 1875 roku. Wiele ofiar przynosi rewolucja 1905 roku, która doprowadza do utworzenia w 1907 roku w Pietrozawodsku Rady Delegatów Robotniczych. Tragiczny jest też przebieg rewolucji i wojny domowej na terenie Karelii, która od 1921 roku — jako Karelska Komuna Pracy — staje się jednym z rewolucyjnych obwodów autonomicznych republiki rosyjskiej. Wreszcie ostatnia wojna przynosi tysiące ofiar hitlerowskiej okupacji i poległych bohaterów ruchu oporu...

— Ale karelskie orchidee nigdy już więcej nie będą splamione krwią — mówi Wiera Sołonien.

ZDJĘCIE AUTORA

JERZY SZELEWICKI

PAMIĄTKI

MUZEUM MICKIEWICZOWSKIE w Paryżu jest częścią składową paryskiej Biblioteki Polskiej na Wyspie św. Ludwika, powstałej w 1838 roku na apel Juliana Ursyna Niemcewicza. Do jej założycieli zalicza się wielu znamienitych członków Towarzystwa Historyczno-Literackiego (wśród nich Czartoryskiego). Słynne „Wezwanie do narodów cywilizowanych" o pomoc dla przyszłej placówki polskiej kultury na obczyźnie wyszło spod pióra samego autora „Pana Tadeusza", jednym z pierwszych, którzy pośpieszyli z datkami na zakup obecnego domu Biblioteki Polskiej, był Zygmunt Krasiński.

W 1893 roku Biblioteka została przekazana Akademii Umiejętności w Krakowie.

„...kiedy **(po II wojnie światowej — j. sz.)** Polska Akademia Nauk przejęła majątek i agendy Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie — **pisze w „Paryskim ABC" August Grodzicki** — powstał spór co do tego, czy Biblioteka jest ekspozyturą PAN. Spór ciągnął się przez różne francuskie instancje sądowe i jeszcze nie jest zakończony".

W Bibliotece Polskiej byłem tego lata trzykrotnie. Każde spotkanie z tą nieoszacowaną skarbnicą wiedzy o sprawach Polaków dostarczyło mi niekłamanych wzruszeń. Jak zresztą wiele innych śladów naszej historii znajdując dowody pamięci o wielkich rodakach.

Kilkadziesiąt kroków od Biblioteki Polskiej, na wybrzeżu Bethune pod numerem 36, skromna tablica na ścianie kamienicy, przypominająca, że w latach 1912—1934 mieszkała tu Maria Skłodowska-Curie. Pośród gmachów Sorbony wznosi się Instytut Radowy i Pawilon Curie. Nie opodal, na rogu, tabliczka z nazwą ulicy: rue Pierre Curie przekreślona białym iksem i obok druga tabliczka: rue Pierre et Marie Curie. Przy rue de la Seine pod 63, niedaleko „Odeonu", Mickiewicz pisał podobno „Pana Tadeusza". Ale niezupełnie jest to ścisłe. — W rzeczywistości robił tu tylko korektę dzieła. Ale przy okazji warto wiedzieć, że w Paryżu poeta zmieniał mieszkanie około dwudziestu razy.

Mniej więcej w połowie drogi, na przepysznym zielonym szlaku wiodącym zakolem Sekwany od Concorde do Trocadero — blisko placu Alma wznosi się okazały pomnik Adama Mickiewicza. Słynny rzeźbiarz, Antoine Bourdelle, przedstawił go jako pielgrzyma z kosturem. Komitet budowy pomnika powstał w 1909 roku, a jego członkami byli nie tylko wybitni Polacy, jak Paderewski, Sienkiewicz, ks. Poniatowski, ks. Czartoryski, lecz także Anatol France, August Rodin, Andre Gide, ks. Bonaparte. Pomnik odsłonięto w 1928 roku, a w uroczystości wziął udział Andrzej Strug. Jeszcze niedawno Adam Mickiewicz stał na środku placu Alma, dopiero na skutek przebudowy przeniesiono go do alei. Nie mam pewności czy teraz jakaś budowla, której fundamenty tuż obok oglądałem w lipcu, nie stanie się przyczyną kolejnej podróży poety — tułacza.

Na placu Gwiazdy, obok płyty Grobu Nieznanego Żołnierza, odczytać można znajome nazwiska i nazwy. Wśród 558 nazwisk wielkich dowódców są i Polacy: Poniatowski, Dąbrowski, Kniaziewicz, Chłopicki, Sułkowski, Zajączek. Wśród nazw upamiętnionych w kampaniach napoleońskich — Gdańsk, Pułtusk, Ostrołęka. Wprawdzie w niektórych wypadkach trzeba borykać się z francuską pisownią tych nazw, ale serce podpowiada, na czym zatrzymać oko.

Miałbym ochotę rozpisać mały konkurs: kto zgadnie, jak na Łuku Triumfalnym wygląda nazwisko Zajączek? Trafne odpowiedzi nagrodzone zostaną paryskim adresem restauracji, w której można zjeść taką pasztetową, jakiej nie pamiętają najstarsi Czytelnicy.

W tym obcym mieście są setki bliskich nam pamiątek. Rue Copernic, niedaleko Champs Elysées i boulevard Poniatowski na wschodzie Paryża — nie opodal Lasku Wincennes, aleja Polski, plac Chopina, ulica Wisły, ulica Stanisława (Leszczyńskiego), skwer Marii Curie. Przy place de Varsovie nie ma ani jednego domu, a przecież jest to jedno z najpiękniejszych miejsc w Paryżu. W pierwszym obwodzie miasta, jeśli pojechać metrem do przystanku przy Palais-Royal można zobaczyć niewielką rue Radziwill, przy której wszystkie domy były kiedyś własnością tej rodziny.

Na placu Trocadero konny pomnik Focha: przyjemnie jest przeczytać, że był marszałkiem Francji, Wielkiej Brytanii i Polski. W Ogrodzie Luksemburskim pomnik Chopina dłuta Dubois, drugi pomnik wielkiego kompozytora w Parku Monceau — Chopin, zgodnie z życzeniem rzeźbiarza Froment-Meurice'a gra na fortepianie, przy nim zasłuchana kobieta, skrzydlaty anioł sypie kwiatki.

Chwila zadumy na paryskich cmentarzach. Na Montparnasse, wśród 80 grobów polskich, grób Mierosławskiego. Na Montmartre, gdzie z wielkich Francuzów spoczywają m. in. Berlioz i Offenbach, Dumas, Stendhal i Zola, Degas i Franonard — grób Lelewela, a przy alei Carrieres (jest tu zresztą także aleja Polaków) „Jules Słowacki — GRAND poete polonais". Medalion z wizerunkiem poety, sowa rzeźbiona w kamieniu, lira, księgi; „Balladyna", „Lilla Weneda". A u dołu płyty nagrobnej napis: „Pomnik odnowiono staraniem Komisyi Opieki nad Grobami Polskimi w Paryżu — 1894".

I największy z paryskich cmentarzy — Pere Lachaise — ogromne, prawie 50-hektarowe miasto umarłych. Historia Francji z ostatnich dwóch wieków, a także część historii wielu innych krajów. Politycy, myśliciele, pisarze, artyści, marszałkowie, bogacze. Beaumarchais, Auguste Comte, Proust, Oscar Wilde, Delacroix, de Musset, Gericault, Apollinaire, Balzak, Colette, Sarah Bernhardt, Rotszyld. Komunardzi i Garibaldczycy, czescy i belgijscy żołnierze z I wojny, pomniki więźniów Oświęcimia, Mauthausen i Neuengamme. W najnowszej części cmentarza grób Maurice Thoreza i Edith Giovanny Gassion, znanej pod pseudonimem Piaf.

Polacy, przeszło 60 grobów: generał Wróblewski, generał Wysocki, wielka miłość Balzaka — pani Hańska... A w jedenastej kwaterze Fryderyk Chopin: medalion, nad nim postać płaczącej kobiety z lirą. Jasny grobowiec, dłuta Clesingera (zięcia George Sand), był surowo krytykowany przez Norwida. Dziś zapomniano już o jego cierpkich uwagach, choć był on w tej mierze uznanym fachowcem — autorem wielu nagrobków — nie zapomiano jednak o Chopinie: przed pomnikiem zawsze są świeże kwiaty, a każdy polski turysta w Paryżu jest zdania, że tutaj trzeba przyjść przede wszystkim.

Błądząc śladami Chopina, trafiliśmy kiedyś z żoną na jeden z najbardziej klasycznych paryskich pałaców — Vendome. Pod numerem 12, na drugim piętrze, było jego ostatnie mieszkanie. Zmarł tu w trzy tygodnie potem jak się wprowadził — nawet nie zdążył się urządzić. Przeczytaliśmy tablicę pamiątkową, upewniliśmy się — jeszcze u portiera, które to okna, a następnie udaliśmy się obejrzeć wnętrza „Ritza" — po przeciwnej stronie placu. I dopiero wychodząc z jednego z najsławniejszych hoteli świata, skojarzyliśmy sobie obydwa adresy z pewnym znanym obrazem filmowym. Ależ tak, to chyba właśnie stamtąd detektyw musiał podglądać prześliczną wiolonczelistkę, Audrey Hepburn przekradającą się do „Ritza" na „Miłość po południu" z Gary Cooperem!

Innym razem szukaliśmy pierwszego mieszkania Chopina w Paryżu (1831—32) przy bulwarze Poissonniere. Zmęczeni długą wędrówką po Wielkich Bulwarach przystanęliśmy przed niewielą dymiącą fryterią i jedząc frytki z ostrą musztardą rozglądaliśmy się dookoła. Spojrzeliśmy w górę i okazało się, że to właśnie tu: złote litery dokładnie pośrodku nad fryterią. Po prawej było wielkie kino „Le Richelieu" i roznegliżowane girlaski na fotosach, po lewej kino „L,Argos" — z reklamy Charles Bronson i Alain Delon mówili sobie „Adieu l'ami" — zaś między tym drugim kinem a bramą domu Chopina była... dyskoteka.

O, Fryderyku!

TEATR STUDENCKI

MAREK MILLER

WE WROCŁAWIU TEATR NA ULICY

1.

Ulica Świdnicka, centrum Wrocławia. Idzie niski człowiek, z małą walizeczką. Zatrzymuje się, kładzie walizeczkę na ziemi, wyciąga z niej kawałek kredy i rysuje czworokąt. Po środku napis: **Mario Valdez, mim z Peru**. Powoli rozbiera się, zostając w czarnym obcisłym dresie. Zatrzymują się przechodnie.

Po kilku pantomimicznych scenkach, mim podchodzi do swojej walizeczki i wyciąga napis: **„OGRÓD DZIECI — CHILDREN GARDEN"**. Zaprasza do współpracy widzów. Są chętni. Dwie osoby kręcą umowną skakanką, trzecia przez nią skacze. W zgromadzonym już sporym tłumie gapiów salwy śmiechu, rozradowane dzieci klaszczą w ręce, wybiegają na środek ośmielane przez mima, który już właściwie tylko inspiruje, widzowie bawią się sami. Tłum z minuty na minutę rośnie coraz bardziej.

Za moimi plecami ktoś krzyczy do mima:

— Ty mały, wyjdź na środek, bo cię nie widzę.

Ktoś zastanawia się:

— To chyba nie chłop, to kobita.

— Ludzie, co tu się dzieje?

— Jak to, pani nie wie? Studenci z całego świata przyjechali.

2.

Południe, siąpi zimny deszcz. Ta sama **ulica Świdnicka** — witryny sklepu meblowego. Nagle z wewnętrznej strony wystawy pojawia się dwóch młodych ludzi z aparatami fotograficznymi w ręku, odkładają je na bok i siadają na maleńkich stołeczkach. Do szyby wystawowej przyklejają zdjęcia, które tworzą napis: **„FOTO TEATR" — Jerzy Olek, Kazimierz Helebrandt**. Przed wystawą zatrzymują się przechodnie. Wielu z nich trzyma w ręku parasole. Wystawę pokrywają zdjęcia — symbole: lądowanie ludzi na Księżycu, śmiejący się Charlie Chaplin, płonący wietnamski mnich...

Śmietnik cywilizacji obrazkowej? Collage naszych czasów? W pozostałych jeszcze dwóch wolnych miejscach na zdjęciach pojawiają się twarze autorów zdarzenia — robią nam, widzom, zdjęcia, błyskają flesze. W chwilę później są już na ulicy, rozdają wszystkim ulotki, rozmawiają z przechodniami. Jedni gratulują pomysłu, inni pytają, czy będzie to sklep Foto-Optyki? Deszcz pada bezustannie.

3.

Godzina 23.00, wrocławski „Pałacyk". Dwóch klaunów. Jeden ponury, otyły, z długim szpiczastym nosem, ubrany w czarny frak. Drugi, szelmowsko uśmiechnięty, w podartych łachmanach. Pan i sługa. Grają historię odwieczną, ale dla nich jest to teraźniejszość. Dowcip, przemyślność, radość życia przeciw głupocie, tyranii i przemocy. Sługa bawi się dwoma kolorowymi balonikami. Podrzuca je na patykach, śmieje się, tańczy, śpiewa sobie pod nosem. Przychodzi pan, szpilką przekłuwa balonik, chichocząc ze śmiechu. Na twarzy sługi widać łzy bezsilności. Po chwili w jego oczach tlą się już iskierki wesołości. Pochyla się, podnosi z ziemi strzępek gumy, nadmuchuje ją w maleńki balonik i zabawa trwa dalej. Ale oto pan zjawia się po raz wtóry. W wyciągniętej do sługi ręce trzyma prawdziwy duży balon. Sługa nie rozumie, o co chodzi, nauczony doświadczeniem — węszy podstęp. Ale ośmielany gestami pana, podchodzi bliżej i bierze z jego ręki balonik. Cieszy się, że zyskał nie tylko przedmiot zabawy — także przyjaciela. Nagle, balon wypuszczony na chwilę z ręki, unosi się wysoko w powietrze. Słychać szatański śmiech pana. Doprowadzony do ostateczności sługa zaczyna walczyć z panem i pokonuje go. Nad nimi wschodzi wielkie czerwone słońce.

Obydwaj aktorzy kłaniają się i zaczynają wspólnie śpiewać prościutką melodię. Widzowie dołączają się, wszyscy biorą się za ręce — śpiewają. Tak kończy się występ zespołu **COMUNA** z Portugalii.

4.

Grup w ten sposób inicjujących działania było oczywiście o wiele więcej, że wspomnę tylko **teatr Dagol** z Berlina Zachodniego, czy angielską grupę **Welfer State**. Tym, co łączyło te wszystkie zespoły, była ujmująca skromność, radość z gry wśród ludzi i dla ludzi. Rozjaśnić uśmiechem twarz przechodnia, podarować mu chwilę relaksu, czasem refleksji, przebić się przez nude dnia codziennego — oto cel tych przedsięwzięć. Specyficzna poetyka pantomimicznych scenek, siła gestu, mimiki, ruchu przekraczała bariery kulturowe i językowe, czyniła ludzi z wielu kontynentów bliskimi sobie. Siła tego teatru pozwala wierzyć, że to, co ludzi łączy, jest o wiele bardziej istotne i trwalsze od tego, co nas dzieli. Były to tak zwane imprezy towarzyszące — margines festiwalu.

Oprócz wielkich festiwalowych spektakli przebojów w rodzaju **Comuna** Baires z Argentyny, **Theatr National** z Islandii oraz **Comuna** z Portugalii, jeszcze jedno zjawisko zasługuje na specjalną uwagę. Był to także, a może przede wszystkim, festiwal ludzi dobrej woli, zarówno ze strony organizatorów, jak i uczestników. **„Kurier"** — biuletyn prasowy festiwalu, codziennie zamieszczał podziękowania za wypożyczone reflektory, wzmacniacze, a nawet miejsca noclegowe. Od ręki załatwiano sprawy, które w codziennej życiowej praktyce są nie do załatwienia. Dzięki umowie z wrocławskim MPK karty uczestnictwa uprawniały do bezpłatnych przejazdów po mieście.

Fot. Jan Wróbel

W miejskich chłodniach zamrażało się kilka ton lodu, na imprezę przygotowaną przez angielską grupę Welfare State. Ogromna pomoc miasta, a także prężność organizacyjna studentów były warunkami niezbędnymi, aby ta gigantyczna impreza (ponad dwadzieścia zespołów teatralnych z pięciu kontynentów) mogła w ogóle dojść do skutku. Nie sposób było obejrzeć wszystkiego — nie próbowałem nawet.

5.

Biegając pośpiesznie po Wrocławiu, aby zobaczyć jak najwięcej, często wracałem myślą do Łodzi. Myślałem o jej nie wykorzystanych placach, skwerach, o pasażach przy ulicy Piotrkowskiej, o studenckich klubach i świetlicach, w których nigdy nic się nie dzieje. **Myślałem o teatralnym ruchu studenckim, o spektaklach, robionych przez znajomych dla znajomych, o kłopotach z finansami, z wydrukowaniem plakatu, o rozmowach o teatrze, jak o świątyni, o pryncypialnych interesach każdej z grup, czyli o kulturalnym odosobnieniu studenckiego środowiska.**

Ale dlaczego tak się dzieje? Przecież zanim powstał wrocławski **„Kalambur"** — źródło i baza dzisiejszych festiwali — w Łodzi istniały już **„Pstrąg"** i **„Cytryna"**. **Gdzie zatem tkwi błąd i przyczyna bezwładu i nijakości studenckiej kultury?**

FILM

TY i JA

Corocznie obchodzone „Dni Filmu Radzieckiego" stwarzają okazję do kolejnego potwierdzenia takiej oto refleksji: kino radzieckie płynie dwoma nurtami. Jeden z nich tworzą filmy, które powstają zgodnie z kalendarzem, pozycje jubileuszowe zrodzone na zlecenie. Formuła „kina na zlecenie" nie jest sama w sobie grzechem — pod warunkiem, że intencje zleceniodawcy spotkają się z talentem i autentyczną pasją wykonawcy. Wystarczy powołać się w tym miejscu na znakomity przykład wyjęty właśnie z historii filmu radzieckiego — „Pancernik Potiomkin" Sergiusza Eisensteina, najgłośniejszy i najwybitniejszy film w dziejach kinematografii światowej powstał na zamówienie dla uświetnienia 20 rocznicy Rewolucji 1905 roku. Tymczasem monumentalne inscenizacje i rekonstrukcje historyczne skądinąd zadziwiają nas ogromnym rozmachem i olbrzymimi nakładami środków finansowych, ale nużą jednocześnie niemiłosiernie. Myślę też, że filmy te, a ich zasadniczy kanon sformułował się w poprzednim okresie, narobiły wiele niezasłużonej szkody w wyobrażeniach polskiego kinomana o kinematografii radzieckiej. Dzięki nim właśnie filmy tak interesujące i godne głębokiego namysłu jak „Kalina czerwona", „Monolog" czy utwory Gleba Panfiłowa, a można by tu jeszcze dorzucić kilkanaście tytułów, są wyświetlane przy prawie pustej widowni i praktycznie nieuchwytne po kilku dniach schodzą z ekranów peryferyjnych kin.

One to bowiem należą do nurtu drugiego, który decyduje o artystycznej randze radzieckiego filmu, tworzą sól jego filmowej, a może i kulturowej ziemi, przynoszą obraz powszedni i nie skłamany człowieka na tej ziemi żyjącego. Filmy z tego kręgu, którego współczesną mutację można wywieść z „Dziewięciu dni jednego roku" Michaiła Romma miały jeden podstawowy walor: określały moralne fundamenty egzystencji współczesnego człowieka. Filmy Chucijewa, Panfiłowa, Awerbacha czy Szukszyna stawiały na pierwszym planie problem jednostki w warunkach socjalistycznego społeczeństwa. Stawiały pytania najprostsze, najbardziej elementarne na temat ludzkiej godności i odpowiedzialności, ukazywały trudności ludzkiego współżycia oraz podkreślały wartość ludzkiej miłości i solidarności. Słowem — próbowały odbudować utracony w latach minionych etos człowieka, wyzbyty z gorsetu propagandowych haseł i frazesów socrealizmu, zakorzeniony natomiast w kulturowym doświadczeniu. Filmy te niosły z sobą nie spotykaną intensywność przeżycia, ich charakterystyczny „duszszczipatielnyj" liryzm splatał się z żywiołowym poczuciem humoru.

„Ty i ja" Larissy Szepitko można z całą pewnością zaliczyć do tego drugiego nurtu radzieckiej kinematografii. Jest to również utwór współczesny, kameralny i skupiony nad zasadniczymi wyborami życia. Centralną postacią filmu i bohaterem organizującym jego problematykę jest młody, uzdolniony lekarz, który gnany „jaskółczym niepokojem" opuszcza ustabilizowaną pracę w klinice i wyjeżdża na wielką budowę syberyjską. Piotr jest naturą romantyczną, dręczoną poczuciem niespełnienia i nieokreśloną tęsknotą za życiem szerokim, intensywnym i bujnym. W imię tej nostalgii porzuca żonę i doskonale zapowiadającą się karierę medyczną.

Postawa Piotra i jego postępowanie jest kontrapunktowo skontrastowane z życiem jego opuszczonej żony i adorującego ją skrycie jego przyjaciela. Przyjaciel Piotra jest typem osobowości doskonale pogodzonej z sytuacją życiową, w której funkcjonuje. Ma wprawdzie autoironiczny dystans do konwenansu, któremu podlega, ale nie ma zamiaru go naruszyć. Krótka chwila szaleństwa (scena w cyrku) nie przynosi mu zamierzonego efektu, lecz naraża go na śmieszność. Więc jest konformistą — świadomym, ale uczciwym. Bowiem jego konformizm idzie w parze z życzliwością dla innych i poczuciem odpowiedzialności za cudzy los. Kobieta w tym filmie jest uczuciowym medium i katalizatorem ujawniającym dwie odmienne postawy wobec życia. Zestawiając z sobą te dwie wersje egzystencji pełną, lecz kaleką, bo za wolność płaci się cudzą krzywdą i monotonną, lecz wartościową, bo otwartą ku innym, autorka filmu opowiada się za drugą postawą. Piotr nie znajduje ukojenia w rozległych przestrzeniach stepowych — zamykające film zbliżenie smutnych oczu chorej kobiety trwa w nim jak wieczny wyrzut sumienia.

Larissa Szepitko opowiedziała swój film na dwóch planach narracyjnych. Historia dwojga przyjaciół ma wspólne źródło fabularne, ale później ich losy już nie przecinają się, stanowią jedynie kontrapunktowe zestawienie ujawniające intencje autorki. W historii Piotra dochodzi do głosu rzeczywistość surowa nie ufryzowana, pałubiasta i siermiężna. Natomiast w opowieści o jego przyjacielu zmontowanej równolegle świat jest laboratoryjnie sterylny i gładki. Szepitko doskonale opanowała repertuar narracyjnych chwytów wypracowanych przez nowe kino, opanowała do tego stopnia, że niekiedy, zwłaszcza w partiach retrospekcyjnych, popada w stylistyczną przesadę i manierę, co odbywa się z wyraźną szkodą dla czytelności jej filmu.

Nie przekreśla to wszakże wartości tego utworu, który do moralnego dyskursu, który toczy się w kinie radzieckim od szeregu lat, wnosi nowy, szlachetny ton.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

MUZYKA

KOCHAM ŚPIEW

Z RENATĄ TEBALDI rozmawia Waldemar Pawłowski

„Głos anioła" – tak Arturo Toscanini nazwał Signorinę Tebaldi, gdy ją usłyszał po raz pierwszy w 1946 r., angażując od razu do La Scali. I oto primadonna pierwszej wielkości ostatnich 30 lat, a zarazem jedna z największych śpiewaczek XX w. wystąpiła 5 października br. po raz pierwszy w Polsce, w recitalu pieśni, w Filharmonii Narodowej. Korzystając z zaszczytnej znajomości z wielką śpiewaczką, w czasie moich kilku lat pobytu artystycznego we Włoszech, udało mi się, poza konferencją prasową, spotkać trzykrotnie z Renatą Tebaldi. Pierwsze nasze spotkanie miało miejsce w Hotelu Europejskim, drugie po recitalu w Filharmonii, no i po raz ostatni przed odlotem, na Okęciu.

— Mieliśmy prawdziwą radość i niecodzienną satysfakcję podziwiać Panią i jej piękny głos w wieczorze pieśni w Filharmonii Narodowej. Jak Pani ocenia publiczność polską?

— Publiczność polska należy niewątpliwie do tej, która da się polubić od pierwszego kontaktu. Jest wrażliwa, ma wyrobiony smak artystyczny, a przy tym wdzięczna i gromnie naturalna. U nas np. przyjęło się, że uroczyste koncerty czy przedstawienia można odbierać tylko we frakach i bogatej biżuterii, siedząc wygodnie w loży. Wasza publiczność potwierdziła fakt, że nie jest to miara kultury odbioru prawdziwej sztuki. Pełna uznania byłam dla tych wdzięcznych słuchaczy, którzy z braku miejsc siedzących tłumnie „podpierali" ściany sali koncertowej, czy też zwyczajnie usiedli na podłodze. To ma swój urok i byłam tym zachwycona.

— Dała Pani temu wyraz, śpiewając wszystkie bisy tyłem do widowni „normalnej", a przodem do tej drugiej „widowni" na estradzie.

— Jestem po prostu zachwycona publicznością Warszawy.

— Wśród największych znakomitości świata operowego, do których Pani jest zaliczana, rzadkością jest uprawianie pieśni recitalowej. Pani zaś zdobywa od lat triumfalnie sukcesy zarówno na scenie jak i na estradzie.

— Tutaj, moim zdaniem, oprócz umiejętności czysto wokalnej, trzeba zdobyć tę drugą, to znaczy umiejętność przestawiania się na odpowiedni sposób śpiewania, bądź na scenie operowej, bądź to pieśni w sali koncertowej. Nie zrezygnowałam z udziału w spektaklach operowych, choć przyznam, że coraz bardziej „zdradzam" operę dla koncertowych form spotkań z publicznością. Nie chodzi tu o wygodniejszy dla mnie sposób występów, ale po prostu w tym okresie uprawiania swojej kariery polubiłam to.

— Czy występ recitalowy jest łatwiejszy od operowego?

— Na pewno nie. Powiedziałabym, że nawet trudniejszy, boć przecież cała odpowiedzialność spada tylko na jednego wykonawcę i osobę towarzyszącą. Choć w operze znowu występują inne dodatkowe trudności jak: akcja na scenie, czy zależność od współwykonawców. Osobiście kocham jedną i drugą formę spotkań z publicznością.

— Powiedziała Pani: „kocham" i to chyba tłumaczy wybitne osiągnięcia w umiłowanym zawodzie.

— Wydaje mi się, że jeśli człowiek cokolwiek robi w życiu, chcąc przy tym mieć osiągnięcia choćby trochę większe od przeciętnych, musi to robić „con amore".

— Dała nam Pani wspaniały pokaz sztuki wokalnej w pieśni artystycznej. Wiele z tych pieśni, choć tak popularnych kompozytorów jak Bellini, Donizetti czy Verdii, są u nas prawie nie znane.

— Istotnie. Znakomite dzieła operowe tych kompozytorów całkowicie przyćmiły ich drobne formy twórczości, jak pieśni czy muzykę kameralną, a przecież i one są piękne i dają wykonawcy duże pole do popisu. Któż zatem ma je popularyzować, jak nie my, Włosi?

— Wracając do oper, które Pani śpiewa najchętniej?

— Lubię kontrasty. Obok łagodnej Desdemony czy Liu kocham śpiewać Giocondę czy Toscę, jak również lubię „pomuzykować" sobie w „Adriannie Lecouvreur" czy „Luizie"...

W 1969 roku miałem wielką przyjemność oglądać Panią nie w Operze, nie na estradzie, lecz... w filmie. Nietrudno się domyślić, że w filmowej wersji którejś z oper, lecz znacznie trudniej byłoby odgadnąć, że w operze... Wagnera, mianowicie w partii Elzy w „Lohengrinie".

— Brałam także udział we włoskiej, filmowej wersji „Aidy" Verdiego, którą to partię wyjątkowo lubię. Wracając do Wagnera, jest to jedyna opera tego kompozytora, którą śpiewam.

— Czy przez brak sentymentu do kompozytora?

— Nie, bynajmniej. Uważam tylko, że moje warunki głosowe odpowiadają jedynie tej operze Wagnera, choć bardzo cenię tego kompozytora. Widzi Pan, u nas segreguje się śpiewaków bardzo często nie tylko pod względem umiejętności. Zupełnie inne wymagania stawia Verdi sopranom w swoich młodzieńczych operach i inne w późniejszych. Jak różne w wymaganiach i stylu są np. partie Abigaille w „Nabucco" czy Lenory w „L'Hernanim", od Desdemony czy pani Ford.

— Jaki jest Pani stosunek do muzyki współczesnej?

— No, cóż, muzycy każdej epoki są w ciągłych poszukiwaniach. Ale okres poszukiwań nie jest sprzyjający dla wokalistów. Słuchając najlepszych dzieł naszych współczesnych kompozytorów, mogę o nich powiedzieć, że są ciekawe, inne, wyjątkowe, ale mnie osobiście nie dają tak głębokich i wielkich przeżyć, jak dzieła najwybitniejszych klasyków.

— A jeśli chodzi o śpiew?

— Niestety, współcześni kompozytorzy piszą z myślą o orkiestrze i instrumentach, a utwory wokalne czy partie wokalne w większych formach muzycznych są rzadko ciekawe a jeszcze rzadziej wskazane dla samego głosu. Choć głos ludzki jest instrumentem, jednakże wyjątkowym, a o tym nasi kompozytorzy nie pamiętają.

— Ze względu na ciągłe nowe poszukiwania kompozytorów, wokaliści dzisiejsi muszą uprawiać również muzykę współczesną, jakie zatem widzi Pani wyjście?

— Bardzo proste. Podobnie jak sama publiczność dzieli się na zwolenników muzyki współczesnej i klasycznej uważam, że również i śpiewacy winni dzielić się na wykonawców muzyki klasycznej i współczesnej. Tego rodzaju najogólniejszy podział wokalistów współczesnych jest konieczny.

— Jakie rady miałaby Pani dla młodych, początkujących śpiewaków?

— Zaczynać od małych, skromnych utworów, nie od wielkich arii. Ćwiczyć umiarkowanie lecz rozsądnie. Zwracać uwagę nie tylko na stronę czysto wokalną, ale i na dykcję i interpretację wykonywanego utworu.

— Których dyrygentów, z którymi Pani współpracowała, ceni pani najbardziej?

— Jeśli pominę wyjątkowy sentyment do wielkiego Toscaniniego, to najbardziej cenię sobie współpracę z Tulio Serafinem, Molinari—Pradellim i Karajanem.

— W przyszłym roku mija trzydziesta rocznica, kiedy Arturo Toscanini przedstawił Panią publiczności La Scali. Co to była za opera?

— Był to koncert galowy na otwarcie sezonu La Scali. Ten pierwszy szczęśliwy dzień w mojej karierze wspominam zawsze z wielkim sentymentem i wzruszeniem.

— A którego z kolegów — śpiewaków darzy Pani największą sympatią?

— Chyba Mario del Monaco, z którym śpiewałam wszystkie moje ulubione opery.

— Czy pani codziennie ćwiczy?

— Często, lecz bez przesady. Gdy mam kilka dni wolnych, to czasem odpoczywam „głosowo", co dobrze wpływa na „zdrowotność" głosu.

— Czy może nam Pani zdradzić tajemnicę jej zachowania się przed występem?

— Odpoczywam: spaceruję, milczę. Ostatni konkretny, lecz lekki posiłek zjadam na 4—5 godzin przed śpiewem. Rozśpiewuję się na 1,5 godziny przed występem, zaczynając delikatnie od mormoranda.

— Najbliższe Pani tournée?

— Nietrudno się domyślić, że do Związku Radzieckiego, jako że żegnamy się na lotnisku przy okienku odprawy celnej z napisem „Kiev". A więc najpierw Kijów, potem Leningrad, Moskwa. Cieszę się ze spotkania z muzykalną publicznością Związku Radzieckiego. Następnie rodzinna Italia i kilka innych krajów Europy, po czym tournée po Stanach Zjednoczonych.

— Jakie wrażenia z pobytu w Polsce?

— Polubiłam Warszawę i pokochałam publiczność polską.

Waldemar Pawłowski — tenor, uczeń Ady Sari, absolwent PWSM w Warszawie, stypendysta Accademia Musicale Chigiana w Sienie, Teatru Wielkiego w Palermo i Fundacji Rzymskiej, w latach 1972—1973 solista Teatru Wielkiego w Łodzi. Obecnie — po występach w Austrii – wyjeżdża na kontrakt do Ankary.

OPINIE

JAK WKRĘCAĆ ŻARÓWKI

Sprawa dotyczy żarówek, a więc już z góry wiadomo, że nie mogą to być problemy wielkiej wagi, życie nasze jednak składa się właśnie z tysiąca takich drobnych problemów, które jakże skutecznie potrafią nam dokuczyć.

Jak powszechnie wiadomo, żarówki jako produkt masowy od wielu już lat, w olbrzymiej większości krajów świata podlegają znormalizowaniu, dzięki czemu można je wkręcić do każdej znormalizowanej oprawki. Część metalowa (blaszana) żarówki posiada ściśle określony wymiar, gwint, długość itp. i to oczywiście dla wszystkich jest zupełnie normalne i zrozumiałe, gdyż tak właśnie ma być. Od pewnego jednak czasu, za każdym razem, gdy muszę dokonać zakupu żarówek dla potrzeb własnych, mam obawy, czy uda mi się wkręcić je do oprawek lamp jakie posiadam w domu. Dla porządku mogę przysiąc, że wszystkie lampy jakie znajdują się u mnie są produkcji krajowej, a więc również ich oprawki (teoretycznie) są znormalizowane.

Miałem już kilkakrotnie przykre doświadczenie, kiedy przy próbie wkręcania żarówki, pękła mi w rękach jej szklana bańka, obsypując mnie licznymi drobnymi odłamkami szkła, proszę mi wierzyć, nie należy to do przyjemności. Zasadniczy problem nie polega tu oczywiście na konieczność kupna następnej żarówki, lecz na jej wadliwej produkcji, a w związku z tym, na trudności jakie powstają przy jej wkręceniu.

Zdarzyło mi się, że po którymś z rzędu pęknięciu żarówki, którą wkręcałem wysoko nad głową, gdy musiałem z włosów i koszuli wybierać drobne odłamki szkła, tak się zawziąłem, że następnego dnia zatelefonowałem do dyrektora „Polamu" w Pabianicach i w kulturalnych, acz nieco ostrych słowach wyraziłem dezaprobatę dla pracy jego zakładów. Dowiedziałem się wówczas, że „Polam" słyszał o podobnych wypadkach, nie wynikają one jednak z winy „Polamu", a podobno z powodu brakoróbstwa jego kooperantów, którzy wykonują metalowe części do żarówek, wobec czego „Polam" nie poczuwa się w ogóle do jakiejkolwiek winy. Dziwne i nieco oryginalne wydało mi się stanowisko pabianickiego „Polamu", chociaż nie tak znów rzadkie.

Wydaje mi się, że mnie jako klienta i użytkownika żarówek nie powinno obchodzić, z jakich elementów kooperacyjnych one się składają i czy odpowiadają, czy też nie odpowiadają określonym normom. Jestem natomiast pewien, że producent, który świadomie sprzedaje żarówki, które nie odpowiadają normom, a w konsekwencji naraża kupujących na kłopoty i przykrości, jest delikatnie mówiąc nie w porządku. Wydaje mi się również, że ktoś wreszcie powinien się tym poważniej zainteresować i ustalić kto tu zawinił.

Z moich obserwacji wynika, że żarówki mają następujące wady:

1. brak wspólnej osi dla bańki szklanej i części metalowej z gwintem,

2. większą niż normalnie średnicę zewnętrzną gwintu,

3. krótszą niż normalnie długość części gwintowej,

4. niechlujne lutowanie (z boku części gwintowanej tuż przy bańce szklanej zbyt dużo lutu), co uniemożliwia wkręcenie prawidłowe żarówki w oprawkę.

To są te wady, które jako niefachowiec mogłem zaobserwować w kolejno kupowanych ok. 50 żarówkach.

Muszę jednak dodać, że jakość żarówek w ogóle zeszła na tzw. psy, nierzadko zdarzają się przypadki, że po 2, 3 dniach żarówka kończy swój żywot, przepala się włókno i cześć. Ale problemów takich nie spotkałem, kiedy kupowałem tzw. żarówki fasonowe, produkowane również przez zakłady podległe zjednoczeniu „Polam". Sprawa może byłaby nieistotna, gdyby nie jedno, a mianowicie to, że cena żarówek fasonowych jest znacznie wyższa niż zwykłych. Poza tym powszechne stosowanie żarówek fasonowych nie jest w pełni uzasadnione, przecież nie wszędzie one pasują w sensie kompozycyjnym, nie nadają się do wszystkich lamp, kloszy i żyrandoli. Być może zjednoczenie „Polam" doszło do przekonania, że nie jest w stanie poprawić jakości produkowanych żarówek zwykłych i wobec tego, nie zamierza nic robić dla poprawy sytuacji na rynku, dając w zamian żarówki fasonowe. Przyznaję, że takie rozumowanie nie jest pozbawione elementów logiki, sam bowiem doszedłem do przekonania, że jeżeli nie chcę mieć kłopotów z wkręcaniem żarówek i zaoszczędzić nerwy muszę kupować żarówki fasonowe, mimo iż są wielokrotnie droższe. Boję się tylko, co to będzie jeśli inni producenci dowiedzą się o oryginalnej strategii ekonomicznej lansowanej przez zakłady podległe zjednoczeniu „Polam"? Los użytkowników tysięcy różnych wyrobów naszego przemysłu będzie nie do pozazdroszczenia.

KAZIMIERZ SKIBICKI

KOSMOS

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

POŻEGNANIE MARSJAN

Ludzie od dawna zastanawiali się nad tym, czy są sami w Kosmosie i mieli nadzieję, że najbliższa nam, starsza i bardziej rozwinięta cywilizacja znajduje się na... Marsie. To hipotetyczne przekonanie utwierdziły odkryte w 1877 roku przez włoskiego uczonego G. V. Schiaperelli marsjańskie kanały. Naliczył on w sumie 113 kanałów, sporządził ich mapę i stwierdził, że kanały te mają długość od 500 do 1 000 km, a niektóre sięgają i 6 tys. km. Początkowo uważano wprawdzie, że kanały te są naturalnymi formacjami planety, a później uznano, że są to twory sztuczne, dzieło rozumnych istot. Uważano, że są to pasy roślinności, która rozwija się latem w pobliżu nawadniających kanałów, inni byli zdania, że są to gigantyczne konstrukcje stworzone przez marsjańską cywilizację.

Dziś na podstawie zdjęć powierzchni planety, dokonanych przez sondy kosmiczne **„Mars"** i **„Mariner"** — wiemy, że było to po prostu optyczne złudzenie. Dziś — na podstawie tych zdjęć — wiemy, że powierzchnia Marsa bardziej przypomina powierzchnię Księżyca niż planety, na której mogłoby istnieć życie. A mimo to, ludzie nie tracą jeszcze nadziei.

1.

MARS jest czwartą planetą Układu Słonecznego. Obiega ona Słońce w 1,88 roku ziemskiego, czyli przez 686 dni, 23 godziny i 31 minut. Kiedy jest po tej samej stronie Słońca, co Ziemia, odległość między naszą planetą a **MARSEM** wynosi 55,8 miliona km, kiedy jest po przeciwnej stronie Słońca — 398,9 miliona km.

Średnica **MARSA** wynosi 0,52 średnicy Ziemi . Masa — 0,108 masy Ziemi. Posiada dwa księżyce: Phobos i Deimos. Siła ciążenia na **MARSIE** jest 2,6 razy mniejsza niż na Ziemi. **MARS** obraca się wokół własnej osi w ciągu 24 godzin, 37 minut i 23 sekund. Marsjańska doba trwa zatem dłużej od ziemskiej o 41 minut 19 sekund. Oś obrotu planety jest pochylona podobnie, jak oś Ziemi, występują tam więc pory roku podobne do pór roku na Ziemi (z tym tylko, że trwają one dwukrotnie dłużej.

2.

Powierzchnia **MARSA** oglądana przez teleskop jest kolorowa. Przy czym kolory **MARSA** zmieniają się w zależności od pór roku. W drugiej połowie XIX wieku włoski astronom G. V. Schiaperelli sporządził pierwszą mapę **MARSA**, zaznaczając na niej „lądy" i „morza" i nadając im nazwy, zapożyczone z dziejów starożytnych i z mitologii. Te „lądy" i „morza" nie mają nic wspólnego z lądami i morzami w naszym, ziemskim rozumieniu. Są to ciemniejsze i jaśniejsze obszary, obserwowane przez teleskopy na powierzchni **„Czerwonej planety"**.

Ciemniejsze obszary, czyli „morza" uznano jeszcze w ubiegłym stuleciu za obszary pokryte marsjańską roślinnością, która analogicznie do ziemskiej, zmienia barwę wraz z porami roku i zamiera na okres marsjańskiej zimy. Rosyjski astronom Gawrił A. Tichow prowadził długie badania nad roślinami, żyjącymi u nas w warunkach surowego klimatu arktycznego, usiłując w ten sposób udowodnić możliwość istnienia życia roślinnego na **MARSIE**.

Przeciwnicy tej hipotezy zwracają uwagę na to, że atmosfera **MARSA** jest 100 razy rzadsza od ziemskiej i zawiera znikomą ilość wody. Pamiętali oni co prawda, że atmosfera ta składa się przede wszystkim z dwutlenku węgla, ale przypominali, że temperatura na powierzchni planety waha się w granicach od —100 do +15, 20, a nawet 50 stopni Celsjusza. Inni znów podkreślali, że warunki klimatyczne, panujące na **MARSIE** zbliżone są do warunków panujących w Himalajach, a żyje tam przecież około 200 gatunków roślin.

Okresowe zmiany w kolorystyce planety tłumaczy się też burzami pyłowymi. W wyniku tych burz powstają gęste, wysoko sięgające chmury pyłu, które uniemożliwiają nawet obserwację powierzchni planety przez teleskopy.

Ale ludzie nadal nie tracą nadziei. Skoro nie ma warunków dla życia rozumnych istot, skoro wyklucza się możliwość istnienia marsjańskiej roślinności, to mogą na tej planecie występować najbardziej prymitywne formy życia biologicznego. Przecież — myślą ludzie — w śniegach Arktyki, Antarktydy i w Andach żyją mikroskopijne glony. Czyż życie jest tylko przypadkiem, jaki jedynie zdarzył się na Ziemi?

3.

Obserwacje **MARSA** przez teleskopy wykazały, że na jego biegunach pojawiają się i znikają białe plamy. Po raz pierwszy zauważył takie plamy astronom holenderski Christian Huygens. Stało się to w połowie... XVII wieku. Zjawisko to usiłowano tłumaczyć analogicznie do podobnego zjawiska ziemskiego. Uznano, że są to masy lodu i śniegu, jakie gromadzą się w okolicach bieguna w czasie marsjańskiej zimy. Pogląd ten utrzymywał się przez wieki i do niedawna podzielało go wielu współczesnych astronomów.

Dopiero niedawno francuski uczony — A. Dollfus stwierdził, że grubość białych czap biegunowych **MARSA** nie przekracza kilku centymetrów i nie może być ani lodem, ani śniegiem, a co najwyżej wodnym szronem lub zestalonym dwutlenkiem węgla. Wielu uczonych przychyla się bardziej do poglądu, że jest to zestalony dwutlenek węgla, gdyż w okolicach biegunów **„Czerwonej planety"** temperatura nawet latem nie podnosi się powyżej 0 stopni, a zatem, gdyby był to lód, to nie topniałby latem. Natomiast fakt, że białe czapy znikają w czasie marsjańskiego lata, przemawiałby za tym, że jest to zestalony dwutlenek węgla, gdyż już w —79 stopniach Celsjusza gaz ten zamienia się w biały proszek, przypominający śnieg.

Inni jednak utrzymują nadal, że jeśli woda występuje na **MARSIE**, to właśnie białe, polarne czapy, są jej jedynym źródłem.

4.

Do lipca 1965 roku **„Czerwoną planetę"** badano przy pomocy teleskopów. W nocy z **14 na 15 lipca 1965 roku** w odległości 9 846 km od powierzchni **MARSA**, przeleciała amerykańska sonda kosmiczna **„Mariner-4"**, która przekazała na Ziemię 21 fotografii powierzchni **MARSA**. Wyniki osiągnięte przez sondy kosmiczne zmusiły uczonych do krytycznej oceny tego wszystkiego, co do tej pory wydawało się nam, że wiemy o **MARSIE**.

„Historia badań marsjańskich — napisał amerykański biolog, Norman H. Horowitz — **była przede wszystkim zdumiewającą historią błędów"**.

Aby Norman H. Horowitz mógł napisać takie stwierdzenie, trzeba było podjąć wysiłek skunstruowania, wystrzelenia i doprowadzenia sond kosmicznych do **„Czerwonej planety"**. Trud ten rozpoczęli Rosjanie, którzy **1 listopada 1962 roku** wystrzelili w Kosmos sondę **„Mars-1"**. W dwa lata później, **5 listopada 1964 roku**, w tym samym kierunku Amerykanie wystrzelili **„Marinera-3"**. Jednakże dopiero **„Mariner-4"** wykonał 21 pierwszych fotografii powierzchni planety, jako, że obie pierwsze sondy, radziecka i amerykańska, nie dotarły do celu. **„Mars-1"** na skutek niemożliwości dokonania korekty lotu, przeleciał w odległości 193 tys. kilometrów od powierzchni planety.

„Mariner-4" przeleciał w odległości 9 846 km od powierzchni **MARSA**.

„Mariner-6" minął planetę w odległości 3 400 km i przekazał na Ziemię 76 zdjęć powierzchni **MARSA**. Było to **31 lipca 1969 roku**.

„Mariner-7" minął **MARSA** w nocy z **4 na 5 sierpnia 1969 roku** i przekazał na Ziemię 126 dalszych fotografii powierzchni planety. Zdjęcia te były robione z odległości 3 400 km.

„Mars-2" 27 listopada 1971 roku stał się sztucznym satelitą **MARSA** i zbliżył się do powierzchni planety na odległość 1 380 km.

„Mars-3" stał się sztucznym satelitą **MARSA 2 grudnia 1971 roku**, a od sondy oddzielił się zespół lądujący i łagodnie spadł na powierzchnię planety. Tuż po wylądowaniu kamera telewizyjna zaczęła przekazywać za pośrednictwem marsjańskiego satelity **„Mars-3"** obraz płaskiego terenu. Przekazywanie sygnałów telewizyjnych z **Marsa** zostało nagle przerwane. Natomiast sygnały radiowe zespół lądujący przekazywał jeszcze do 5 grudnia 1971 roku.

„Mariner-8" — próba wystrzelenia tej sondy zakończyła się niepowodzeniem 8 maja 1971 roku.

„Mariner-9" stał się sztucznym satelitą **MARSA 14 listopada 1971 roku.** Sonda, okrążając planetę w ciągu 12,5 godziny, zbliżała się do jej powierzchni na odległość 1 397 km i przekazała na Ziemię tysiące fotografii **„Czerwonej planety"**.

„Mars-4" miał być kolejnym radzieckim sztucznym satelitą **MARSA**, ale na skutek awarii urządzeń pokładowych minął powierzchnię planety w odległości 2 200 km.

„Mars-5" — kolejny radziecki sztuczny satelita **MARSA** osiągnął cel **12 lutego 1974 roku** i przekazał na Ziemię barwne zdjęcia powierzchni planety.

„Mars-6" — sonda przetransportowała w pobliże planety lądownik, który **12 marca 1974 roku** łagodnie osiadł na powierzchni **MARSA**.

„Mars-7" — kolejna próba przetransportowania na powierzchnię **MARSA** lądownika z aparaturą badawczą. Próba ta nie powiodła się, gdyż sonda kosmiczna minęła planetę w odległości 1 300 km od jej powierzchni.

„Viking-1", „Viking-2" — dwie amerykańskie sondy kosmiczne, które zbliżają się do **MARSA** i osiągną jego powierzchnię latem przyszłego roku. Ich celem jest stwierdzenie śladów życia biologicznego na tej planecie.

5.

Co dziś wiemy o **MARSIE** w wyniku penetracji planety przez sondy kosmiczne.

Potwierdziła się hipoteza, że atmosfera **„Czerwonej planety"** składa się w 98 procentach z dwutlenku węgla, a pozostałe 2 procent stanowi metan, para wodna, amoniak. Tak więc również czapy biegunowe są niczym innym jak tylko zestalonym dwutlenkiem węgla. Nie wyklucza się jednak, że mogą też zawierać niewielkie ilości szronu wodnego. Taki skład atmosfery **MARSA** oraz brak wody, wyklucza raczej możliwość istnienia tam życia. Ale ludzie mimo to nie tracą nadziei, zdając sobie sprawę, że nasza wiedza o **„Czerwonej planecie"** jest jeszcze minimalna.

Na **MARSIE** płynęły kiedyś rzeki. Do takiego wniosku doszli uczeni amerykańscy, analizując zdjęcia planety, wykonane przez **„Marinera-9"**. Stwierdzili oni również, że na **MARSIE** góry pochodzenia wulkanicznego są wyższe od ziemskich wulkanów.

Zdjęcia powierzchni **MARSA** przekreśliły wszelkie hipotezy o kanałach i o marsjańskiej roślinności. Okazało się, że jaśniejsze i ciemniejsze plamy, widziane przez teleskopy, nie pokrywają się z występującymi na fotografiach wyżynami i dolinami. Przypuszcza się zatem, że plamy te są wynikiem różnej budowy geologicznej planety, że jedne skały odbijają silniej światło, inne słabiej. Na podstawie fotografii powierzchni **MARSA** stwierdzono, że przypomina ona bardziej krajobraz księżycowy niż krajobraz planety, pokrytej roślinnością, jak to bardzo dawno temu przypuszczano.

6.

Carl Sagan opublikował wyniki interesującego eksperymentu amerykańskich uczonych. Postanowili oni spojrzeć na Ziemię oczyma przybyszów z Kosmosu, a konkretnie hipotetycznych Marsjan, mając do dyspozycji takie same środki, jakimi my dysponujemy przy badaniu powierzchni **MARSA**. Twierdzi on w oparciu o wyniki tego eksperymentu, że przy pomocy superpotężnego teleskopu, który pozwala rozróżniać kształty rzędu 1 km, nie da się zupełnie stwierdzić na Ziemi śladów działalności człowieka. Niektóre formy, które zdawałoby się, są sztucznego pochodzenia, okazały się przy konfrontacji z ziemską rzeczywistością wytworem natury. Przy zdolności rozdzielczej 1 km nie udało się uczonym amerykańskim znaleźć oznak działalności człowieka w miejscach, gdzie znajdują się miasta: Boston, Nowy Jork, Moskwa, Pekin, Paryż, Berlin, Londyn.

„Mariner-9" wykonał zdjęcia powierzchni **MARSA** o zdolności rozdzielczej ponad 100 m. Zebrano więc 1 800 kolorowych fotografii, wykonanych przez kosmonautów z „Apolla" i „Gemini" i przy analizie tych zdjęć wykryto dziesiątki prawidłowych form geometrycznych. Sześćdziesiąt spośród nich okazało się pochodzenia geologicznego, a 20 — były to fotografie zjawisk atmosferycznych. Przy rozszyfrowywaniu zdjęć powierzchni Ziemi, posiadających zdolność rozdzielczą 100 m i przy znajomości życia na planecie udaje się rozróżnić pewne szczegóły, ale nie zrobiliby tego przybysze, którzy swoje doświadczenie życiowe kształtowali w innych niż na Ziemi warunkach. Dopiero przy zdolności rozdzielczej od 1 do 10 m, zakładając przy tym, że istoty żywe, typu np. ziemskiej krowy, mogą poruszać się, a więc zmieniają miejsce, można je odróżnić od przedmiotów martwych, np. od głazu, podobnie, jak można wyodrębnić duże drzewa.

Zdaniem Carla Sagana „Mariner-9" **„po raz pierwszy dostarczył możliwość sprawdzenia dawnego przypuszczenia o istnieniu na Marsie istot rozumnych"**. Ale ta hipoteza, jak pisze: **„została — wedle wszelkich danych obalona"**. Nadal jednak aktualne pozostało pytanie: „czy **Mars może być schronieniem dla najprostszych form życia"**? Na to pytanie mają odpowiedzieć po wylądowaniu na **„Czerwonej planecie"** obie amerykańskie sondy: **„Viking-1"** i **„Viking-2"**.

7.

Aparatury obu amerykańskich sond — **„Viking-1"** i **„Viking-2"** przystosowane zostały do stwierdzenia śladów życia nawet najdrobniejszych organizmów. Jednakże aparatury te skonstruowano w oparciu o doświadczenia przeprowadzone w warunkach Ziemi i może to się okazać zupełnie nieprzydatne dla badań tego typu w warunkach marsjańskich.

Miejsca lądowania wybrano na podstawie analizy zdjęć powierzchni **MARSA**, a jedno z nich znajduje się prawie na skraju czapy północnego bieguna. Aparatura obu sond może działać do roku czasu, a najkrótszy okres trwania badań wynosi 3 miesiące. Po pół roku, od chwili wylądowania na **MARSIE**, aparatury obu sond przestaną przesyłać na Ziemię sygnały, gdyż w tym czasie **MARS** znajdzie się po drugiej stronie Słońca i szumy radiowe gwiazdy będą przeszkadzały w odbiorze sygnałów wysyłanych z powierzchni **„Czerwonej planety"**.

Jeśli wszystko dobrze pójdzie, oba **„Vikingi"** powinny rozszerzyć naszą wiedzę o **MARSIE**. Ponowna okazja do powtórzenia takiej wyprawy nadarzy się dopiero w latach 1979—1981. Rozważa się obecnie możliwość wysłania wówczas na **„Czerwoną planetę"** pojazdów samobieżnych, które mogłyby penetrować powierzchnię **MARSA** na znacznie większej przestrzeni. Pod uwagę bierze się modele pojazdów, które mogłyby oddalać się od sondy od 50 metrów do 10 km. W dalszej przyszłości byłoby możliwe wysłanie na **MARSA** pojazdu automatycznego, nazwanego już „Auto-Rover", który mógłby samodzielnie oddalać się od bazy do 450 km.

Wszystkie te przedsięwzięcia stanowią przygotowanie do wyprawy człowieka na **MARSA**. Wtedy poznamy więcej tajemnic tej planety i wtedy spełni się marzenie ludzi o podróżach do innych planet. Ale do lądowania Ziemian na **MARSIE** jeszcze dość daleko.

ŚWIAT • POLITYKA • WYDARZENIA • KOMENTARZE

U PRZYJACIÓŁ

Na ekrany kin Moskwy wszedł nowy film dokumentalny „Wielki Dzień Europy" — poświęcony Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Helsinkach. Film ukazuje przebieg posiedzeń plenarnych konferencji w sali „Finlandia" oraz spotkania czołowych mężów stanów krajów — uczestników konferencji z radziecką delegacją partyjno-rządową.

* * *

Od września czynny jest w mieście Kecskemet, w którym urodził się słynny węgierski muzyk Zoltan Kodaly, Instytut Pedagogiki Muzycznej jego imienia. W centrum miasta, przed siedzibą nowej uczelni, odsłonięto pomnik Kodaly'ego.

* * *

Kubańska Narodowa Rada Kultury organizuje już po raz drugi Panoramę Teatralną. Weźmie w niej udział dwadzieścia zawodowych i amatorskich teatrów, które zaprezentują 38 utworów scenicznych. Zadaniem kubańskiego festiwalu jest przedstawienie nowych zjawisk i tendencji w życiu teatralnym.

* * *

Wydawnictwo „Słowacki Pisarz" w ciągu 25 lat swej działalności wydało ponad 2 tysiące tytułów książek w języku słowackim, w łącznym nakładzie 25 milionów egzemplarzy. Do najważniejszych serii wydawniczych należą: „Biblioteka Słowackiego Pisarza", „Słowacka Proza", „Słowacka Poezja". Klub czytelników wydawnictwa liczy ok. stu tysięcy członków.

* * *

W Riazaniu — miejscu urodzenia Sergiusza Jesienina — powstaje pomnik poświęcony pamięci wielkiego poety. Równocześnie w Baku — gdzie Jesienin mieszkał — przygotowuje się otwarcie muzeum. Ekspozycja obejmie portrety, rzeźby, listy i pamiątki związane z życiem i twórczością Jesienina.

* * *

Orderem Przyjaźni Narodów odznaczone zostało muzeum Tarasa Szewczenki w Kaniowie. Muzeum istnieje już 50 lat i w tym czasie odwiedziło je ponad 7,5 miliona osób, w tym wielu gości z całego świata.

* * *

Nakładem wydawnictwa „Donbass" ukazał się almanach poezji i prozy, którego autorami jest czterdziestu robotników, górników i hutników Doniecka zrzeszonych w klubach literackich. W przeszłości z klubów tych wyszło wielu znanych dziś pisarzy jak Borys Gorbatów, Aleksander Awdiejenko i wielu innych.

* * *

Według najnowszych informacji UNESCO — Związek Radziecki od wielu lat znajduje się w ścisłej czołówce światowej pod względem rozwoju ruchu wydawniczego. 250 radzieckich wydawnictw w ciągu 4 lat obecnej pięciolatki opublikowało 6,5 miliarda książek i broszur, tj. o miliard więcej niż w całej poprzedniej pięciolatce. W br. opuści drukarnię ponad 1,7 mld książek. Za tymi liczbami kryją się niewymierne statystycznie wartości, jak coraz wyższy poziom ideowo-polityczny, wychowawczy i poznawczy książek oraz doskonalsza szata edytorska.

* * *

W roku bieżącym mija 40 rocznica śmierci uczonego, prekursora podróży międzyplanetarnych — Konstantego Ciołkowskiego. Z tej okazji prasa radziecka przypomina, że w zbiorach Biblioteki im. Lenina znajduje się jedyny zachowany egzemplarz, napisanej w roku 1920 przez Ciołkowskiego powieści fantastycznej p.t. „Wokół Ziemi". Książka ta została wydana w 300 egz. w Kałudze, gdzie uczony mieszkał przez długie lata.

* * *

Minęło 30 lat od śmierci jednego z wielkich kompozytorów naszej epoki — Beli Bartoka. Swe artystyczne credo zamknął niegdyś słowami: „Aby móc nasze myśli i uczucia wyrazić w muzyce, musimy wszystko odrzucić, co hamuje nasz zapał i używać środków jakimi rozporządzamy... Wszystkie nasze dążenia musimy skierować na poszukiwanie tego, co można określić genialną prostotą".

Opr. (a.b.)

LIBAN

ZA KULISAMI RELIGIJNYCH WAŚNI

Krwawe walki na ulicach Bejrutu, rozpętane przez libańską reakcję, zmierzają do rozbicia jedności postępowych i patriotycznych sił Libanu i zadania ciosu palestyńskiemu ruchowi oporu. Głównym narzędziem tej operacji jest prawicowa partia chrześcijańska Falanga Libańska (al-Katajib al-Libnanija). Katajib jest powiązana z wielką i średnią burżuazją oraz feudałami (200 wpływowych rodzin), a szeregową masę jej członków stanowi drobnomieszczaństwo.

Dewizą lidera partii — Pierre Dżemajela i jego Falangi jest: „Bóg, rodzina i ojczyzna". „Ja wiem — mówi Dżemajel — że jest to hasło faszystów, ale jest to właśnie ten ideał, do którego dążymy". Falanga Libańska dysponuje dobrze uzbrojoną i wyszkoloną tzw. milicją, w ubiegłych latach zawsze brała udział w walkach przeciwko powstańcom palestyńskim, a w tym roku wystąpiła na własną rękę w charakterze organizatora obecnych wydarzeń w Libanie. Iskrą rzuconą na beczkę z prochem było zabójstwo 27 Palestyńczyków i Libańczyków, 13 kwietnia br., jadących autobusem przez chrześcijańską dzielnicę mieszkaniową w Bejrucie. Pociągnęło to za sobą wybuch walk w całej stolicy. Starcia, początkowo między falangistami a Palestyńczykami, nabrały niebawem zabarwienia religijnego, ponieważ muzułmanie wystąpili przeciwko rządowi broniącemu chrześcijan a następnie przerodziły się w walkę biednych przeciwko bogatym. Tak więc sytuacja w Libanie jest bardzo złożona i za dymną zasłoną waśni religijnych, i innych antagonizmów, toczy się ostra walka polityczna i społeczna.

Liban, położony na skrzyżowaniu światowych szlaków komunikacyjnych, jest wielkim centrum handlowym i finansowym, ogniwem łączącym przemysłowe kraje Zachodu z rozwijającymi się krajami Bliskiego Wschodu. Przez terytorium kraju płynie tranzytem wartki strumień towarów i kapitałów z krajów zachodnich do świata arabskiego. Te wielokierunkowe operacje stworzyły w Libanie dysproporcje zarówno w płaszczyźnie strukturalnej, jak i socjalnej. Po głośnym bankructwie banku „Intra" w 1966 roku, które zachwiało wiarę krajów arabskich w bankowy system Libanu, „naftodolary" coraz szerszym korytem płyną teraz do Europy, USA, a nawet krajów Trzeciego Świata bez pośrednictwa banków bejruckich. Libańska ekonomika, będąca pod silnym naciskiem światowego systemu kapitalistycznego, jest szczególnie uczulona na wstrząsy z zewnątrz. Inflacja w uprzemysłowionych krajach Zachodu odbiła się szczególnie boleśnie na ekonomice Libanu, który importuje wszystkie towary masowego spożycia. Gwałtownie wzrosła liczba bankructw małych i średnich przedsiębiorstw. Wskaźnik wzrostu ogólnego produktu narodowego, z uwzględnieniem 15-procentowej inflacji w 1974 roku, był równy zeru. Ponadto, jak podkreśla reporter „Le Monde" w korespondencji z Libanu, rząd żywi obawy, iż wskutek sytuacji w kraju znaczna część morskiego transportu krajów bliskowschodnich zacznie teraz omijać Bejrut, kierując się na Port Said, Suez, Aleksandrię i Latakiję. Spadek stopy życiowej i socjalna polaryzacja w kraju rodzą atmosferę niezadowolenia grożącego stałym wybuchem. Burżuazja trzyma się kurczowo przywilejów, które gwarantuje jej państwo. Pomijając wpływowe rodziny feudalne, libańskie warstwy posiadające dorobiły się ogromnych majątków w okresie ostatnich dziesięcioleci, głównie na spekulacji podczas dwóch wojen światowych.

W „pasie nędzy", który obejmuje Bejrut i jego przedmieścia, wegetuje 600 tysięcy ludzi na 800 tysięcy mieszkańców stolicy. W finansowej metropolii Bliskiego Wschodu ponad 1/3 część jego mieszkańców stale głoduje. Śmiertelność jest tutaj 2—3 razy większa od przeciętnej w kraju. Mieszkańcom koszmarnych ruder i bud z blachy żyje się coraz trudniej, ponieważ ceny na artykuły żywnościowe idą niepowstrzymanie w górę. Czynsz za mieszkanie, w ciągu ostatnich dwu lat, wzrósł trzykrotnie. Dzieci nie mogą uczęszczać do szkół, biednych nie stać na opiekę lekarską. Duża część proletariatu miejskiego wegetuje bez cienia nadziei na lepszą przyszłość w beznadziejnych gettach nędzy: Burdż Hummud, Nabaa, Tel ez Zaatar, Szijach, Burdż-Baradżne, Sabra czy Szatila. W Bejrucie, gdzie koszty utrzymania są tak wysokie jak w Nowym Jorku, 72 procent robotników zarabia dwukrotnie mniej niż wymaga tego poziom życiowego minimum. Chłopi, nęceni blaskami wielkiego miasta, uciekają ze wsi, gdzie życie jest coraz cięższe i osiedlają się w Bejrucie i na jego paryferiach. Dziś w stolicy i na jej obrzeżach stłoczyło się półtora miliona ludzi, prawie połowa mieszkańców Libanu. Dramat narodu nie mąci jednak „radości życia" warstw posiadających. Kronika towarzyska miejscowych gazet zachłystuje się od barwnych opisów „nieustającego święta" burżuazji, która bez żenady wystawia na pokaz publiczny całe swoje bogactwo.

Sytuację w Libanie komplikuje fakt, że istnieje tutaj 15 oficjalnych zmilitaryzowanych organizacji, liczących w sumie 150 tysięcy ludzi uzbrojonych w 300 tysięcy sztuk broni palnej wszystkich kalibrów i systemów. Broń w Libanie sprzedaje się wszędzie. Tak było zawsze. Bejrut był i jest dziś ulubionym miejscem transakcji handlarzy bronią. Za odświętną, wychodzącą na morze fasadą stolicy, sprzedaje się i kupuje złoto, narkotyki, działa i karabiny maszynowe. „Galanterię" wojskową: pistolety, pistolety automatyczne, rewolwery itp. można kupić na rogu każdej ulicy Bejrutu.

Organizacje militarne należą do przeróżnych partii i ugrupowań politycznych. Na wpół regularne zorganizowane formacje wojskowe pozostają na usługach dwóch wiodących ugrupowań: chrześcijan (maronitów) i muzułmanów (sunnitów, szyitów i druzów). Obok nich istnieją organizacje militarne o charakterze wyłącznie religijnym, rozrzucone po całym kraju w zależności od geograficznego rozmieszczenia różnych gmin wyznaniowych. Niektóre z tych organizacji działają w podziemiu. Należy do nich m. in. „Front obrońców cedra", jeszcze bardziej prawicowy od Falangi, nazywany libańskim Ku-Klux-Klanem. Członkowie „Frontu" wyznają credo Falangi. Swoje „armie" mają także wielcy posiadacze ziemscy i feudałowie — przywódcy klanów. Ba, głowa obecnego rządu, Raszid Karami, utrzymuje oddział wojskowy we własnym majątku w okolicach Trypolisu. Osobista obrona ministra spraw wewnętrznych, Camille Szamuna, liczy kilkaset uzbrojonych ludzi. Henri Sfeir, bogaty przedsiębiorca, „niezależny" maronita, także sformował swoją własną „armię" w sile około 200 ludzi, która biwakuje opodal jego letniej rezydencji w rejonie Kesruanu. „Armią" dowodzi francuski najemnik Rene Godet, były spadochroniarz Legii Cudzoziemskiej, „zasłużony weteran" wojen w Korei, Indochinach i Algierze, a później wierny druh Czombego. Z pistoletem w ręku i granatami u pasa Godet zagrzewa do walki swoich żołnierzy, wołając z przyzwyczajenia: „Naprzód, chłopcy, tam są ciemnoskórzy!". Niezliczone obozy wojskowe są rozrzucone po całym kraju.

Oficjalnie posiadanie broni bez zezwolenia jest zabronione. Przywódcy zmilitaryzowanych organizacji zgadzają się w zasadzie z tym zarządzeniem i każdy z nich mówi o gotowości rozwiązania swojej „armii", „jeśli zaczną to robić i inni". Jednakże wszyscy uważają, że „taki krok byłby przedwczesny, a nawet niebezpieczny dopóty, dopóki w armii nie przeprowadzi się reformy". A armia wzbudza podejrzenia wszystkich. Muzułmanie uważają, że służy interesom chrześcijan, znajduje się bowiem pod kontrolą maronitów. Lewicowi działacze uważają, że jest bronią w rękach reakcji, ponieważ armii używa się do tłumienia strajków i demonstracji.

Państwowa struktura Libanu opiera się na konstytucji z 1926 roku i na Porozumieniu (tzw. „Pakt Narodowy") z 1943 roku, scalającym chrześcijan i muzułmanów w jedno państwo. Porozumienie to przekształca państwo libańskie w coś na kształt „wielkiego kolektywu", któremu poruczono pilnowanie interesów 17 oficjalnie uznanych religijnych i narodowościowych gmin. Zgodnie z warunkami tego Porozumienia wszystkie stanowiska w państwie, więc w rządzie, w parlamencie, w wojsku, administracji itd. dzieli się proporcjonalnie do liczby członków każdej gminy. Między dwie największe gminy: chrześcijańską i muzułmańską stanowiska rozdziela się, w przybliżeniu, w stosunku 6 do 5 na korzyść chrześcijan. (Według spisu ludności z 1932 roku w Libanie było 58 proc. chrześcijan i 42 proc. muzułmanów; dziś muzułmanów jest około 65 proc.). Stanowiska prezydenta i głównodowodzącego armii zajmują chrześcijanie — maroniści, a stanowiska premiera i przewodniczącego parlamentu — muzułmanie: sunnici, szyici i druzowie. Krytycy reżimu podkreślają, że wybór prezydenta republiki, ministrów, urzędników — według „wagi" wyznania religijnego, a nie według kompetencji oddaje władzę w ręce ludzi najczęściej niezdolnych do rządzenia. Parlament, którego członków wybiera się także według zasady wyznaniowej, nazwano „bezczelnym związkiem feudałów i bogaczy". Posłowie wywodzą się z reguły z możnych rodzin, plemion lub klanów od dawna rządzących w Libanie i nie przebierają w środkach podczas kampanii wyborczej. Parlament, będący forum feudałów i liderów gmin nigdy nie próbował nawet dotknąć problemów nurtujących społeczeństwo. W okresie napięć ekonomicznych, zaostrzeń socjalnych, politycznych i religijnych sprzeczności, jak ma to miejsce teraz, parlament po prostu zamyka sesję. Siły lewicowe nawołują do stworzenia „jakościowo nowego państwa", w którym zostałyby zniesione wszystkie przywileje religijne, w parlamencie zasiedliby ludzie reprezentujący interesy wszystkich warstw społecznych, rząd ponosiłby odpowiedzialność przed parlamentem, a jedynym zadaniem armii byłaby ochrona bezpieczeństwa narodowego.

Wszystko zależy od wyniku trwającej teraz walki między wieloma siłami. Jedno jest pewne: „stary, dobry" Liban odchodzi nieuchronnie w przeszłość.

JERZY CZECH

■ Liban w ogniu wojny
■ W Saharze zachodniej i Angoli
■ Co znaczą zmiany w Waszyngtonie

Liban był uważany za swoistą oazę spokoju. Dziś zdaniu temu dajemy czas przeszły, **kraj pogrążony jest bowiem w ogniu wojny domowej,** szczególnie krwawej i niszczycielskiej. Jej dwa fronty — to ludność chrześcijańska z jednej strony i muzułmańska z drugiej. Ten podział niesie jednak **elementy polityczne.** W istocie walczy faszyzująca chrześcijańska „Falanga" ze społecznością, solidaryzującą się z palestyńskim ruchem oporu. Jeden z komentatorów przedstawił linię fontową jeszcze prościej, przypominając, że „chrześcijanin" oznacza przynależność do bogatych, a „muzułmanin" do biednych. Ci ostatni zresztą w Izbie Deputowanych i na innych stanowiskach reprezentowani są skromnie — tylko szóstą częścią.

Te wewnętrzne przyczyny podziału wzmocnione zostały polityką zagraniczną Libanu. Bejrut realizował linię prozachodnią i neutralną wobec konfliktu izraelsko-arabskiego. Mimo to nie uchronił się od izraelskich aktów agresji. I to nie tylko dlatego, że stał się największym skupiskiem Palestyńczyków. Ich obecność zaś na terytorium Libanu **uaktywniła lewicę libańską** i często splatała się we wspólną walkę. Reszty dopełniła sytuacja gospodarcza Libanu, pogarszająca się wraz z kryzysami nawiedzającymi świat zachodni. Ich skutki stały się odczuwalne przede wszystkim w tej części ludności — 45—50 proc., która w podziale dochodu narodowego uczestniczy tylko 12 czy też 15 proc. Złączyły się przeto w jeden nurt niezadowolenia i sprzeczności, wyrastające na różnym tle. Rozgorzała zacięta walka, której **celem po stronie sił postępowych jest zasadnicza przebudowa państwa i jego reorientacja na arenie międzynarodowej.**

Czym zakończy się ta walka — trudno przewidzieć. Zwłaszcza że siły reakcji szukają sprzymierzeńców poza granicami kraju.

Na łamy gazet, prócz Libanu, **weszła ostatnio również Sahara zachodnia.** Dwukrotnie już na ten temat debatowała Rada Bezpieczeństwa. Co więc dzieje się w niewielkiej ludnościowo krainie, której krajobraz podobny jest do księżycowego?

Sahara zachodnia kolonizowana była przez Hiszpanię już pod koniec ub. stulecia. 17 lat temu rząd frankistowski dekretem przekształcił Saharę w swą prowincję. Ale **80-tysięczny naród Sahary zachodniej nie pogodził się z tym ani przez chwilę,** domaga się prawa do samostanowienia. Z żądaniem wznowienia rozmów na temat przekazania suwerenności na Saharę wystąpiło ostatnio sąsiadujące Maroko. Zorganizowano nawet marsze marokańskie na Saharę, a Hiszpania zapowiedziała, że użyje wszelkich sił, w tym również zbrojnych, aby powstrzymać Marokańczyków.

Sprawę przyszłości kraju powinna rozstrzygnąć sama ludność tego obszaru. Ma do tego prawo w myśl Deklaracji ONZ o przyznawaniu niepodległości krajom i narodom kolonialnym.

Ten blok uzupełnia temat trzeci — **o walkach w Angoli.** Pisaliśmy o tym, podkreślmy tylko, iż wewnętrzny konflikt umiędzynarodawia się i niektórzy komentatorzy piszą już o Angoli jako „ewentualnym drugim Wietnamie". Dzieje się to głównie za sprawą wojsk południowo-afrykańskich i najemników belgijskich i brazylijskich, korzystających z materialnego wsparcia imperialistycznych kół zza oceanu. Ale front walki patriotów angolskich jest rozległy i coraz mocniejszy, ingerujące siły zewnętrzne nie mogą więc liczyć na powodzenie.

Piszemy o wydarzeniach geograficznie oddalonych. W tym miejscu skomentujmy więc jeszcze **dwa fakty z życia publicznego w Stanach Zjednoczonych.** Są to: **zmiany w administracji prez. Forda,** polegające na odwołaniu ministra obrony — Schlesingera i pozbawieniu Kissingera stanowiska szefa Krajowej Rady Bezpieczeństwa oraz **oświadczenie wiceprezydenta Rockefellera,** że w nadchodzącej kampanii wyborczej nie będzie kandydował.

Komentatorów najżywiej interesuje odwołanie Schlesingera. Przewija się opinia, że jego odejście ułatwi rokowania SALT, ponieważ upierał się on przy „przewadze nuklearnej", umocni pozycję Kissingera w walce o władzę (pozbawienie go szefostwa w Krajowej Radzie Bezpieczeństwa uważa się za formalną cenę, jaką płaci za pozbycie się rywala), a także ułatwi Fordowi dialog z Kongresem, gdyż Schlesinger był swoistym rekordzistą w niezręcznych wystąpieniach przed jego komisjami.

Zmiany te są uważane za pozostające w ścisłym związku z kampanią wyborczą.

A jaki jest powód wycofania się Rockefellera?

Aparat Partii Republikańskiej uważa go za reprezentanta liberalnego skrzydła i z tego powodu często krytykował. Aby uniknąć wewnętrznego konfliktu i nie utrudniać sytuacji Fordowi — Rockefeller wolał z góry zapowiedzieć, że nie będzie kandydował. Kto zajmie jego miejsce w tandemie wyborczym? Na to pytanie odpowiedź padnie w najbliższym okresie, chociaż oficjalnie kampania wyborcza rozpocznie się dopiero w roku przyszłym.

WITOLD SŁAWSKI

SPORT

JUBILEUSZ PODKOSZEM

Jubileusze ciągle są w modzie. Dwadzieścia pięć lat takiej to instytucji, 30 lat klubu, stowarzyszenia. Rzadziej spotyka się 50-lecia, 75-lecia, nie mówiąc już o pełnym wieku. Ale też i trudno o takie jubileusze, gdyż nie tak dawno Łódź przemysłowa obchodziła dopiero swoje 150-lecie. Cieszmy się więc z tego, co mamy i nie wybrzydzajmy, że takie to młode wszystko. Może to i dobrze.

Sport przeciwnie, sport zalicza się do tej sfery działania człowieka, która swoją genezę bierze ze starożytności. Ale też i nie cały sport. Wiele dyscyplin narodziło się współcześnie i współcześnie rozwija się z dużą intensywnością. Tak na przykład jest z koszykówką. W ogólnym zafascynowaniu piłką nożną uciekają nam czasem z pola zainteresowania inne dyscypliny sportowe, które przecież warte są takiego zinteresowania.

Mało kto wie, że pierwsze sformułowanie zasad gry w koszykówkę nastąpiło w 1891 roku przez dr J. Naismitha, a pierwsi opublikowali te zasady drukiem Amerykanie w 1895 roku. Wtedy to powstały pierwsze drużyny koszykarskie we Lwowie, Krakowie i Warszawie. W Łodzi koszykarze pojawili się dopiero w 1922 roku, ale datą, od której liczy się łódzka koszykówka jest rok 1925. Wtedy to odbyły się w Łodzi pierwsze rozgrywki o mistrzostwo okręgu. A więc koszykówka w Łodzi ma już 50 lat.

W 1928 roku powstał Łódzki Okręgowy Związek Gier Sportowych. Wpłynęło to na szybki rozwój koszykówki w istniejących wówczas klubach sportowych. Organizowane są mistrzostwa okręgu, a pierwszym mistrzem została drużyna koszykarzy z klubu „Absolwenci".

Koszykówka w Łodzi cieszyła się w latach międzywojennych dużym powodzeniem i popularnością. W 1929 roku koszykarki WKS zajmują trzecie miejsce w mistrzostwach kraju. W latach 1930 i 1931 na drugim miejscu plasują się koszykarki ŁKS. Przez dwa następne lata mistrzyniami Polski są koszykarki fabrycznego klubu IKP w Łodzi. Mistrzostwo Polski zdobyły one również w 1939 roku.

Przed wojną mężczyźni grali nieco gorzej. W 1928 roku łódzcy koszykarze zajmują w mistrzostwach Polski trzecie („Triumf"), czwarte („Absolwenci") i szóste („YMCA") miejsca. Potem jest długa przerwa i dopiero w 1933 roku WKS plasuje się na drugim miejscu, a w roku następnym drużyna tego klubu na czwartym miejscu.

Pierwszy raz mistrzostwo polski łódzcy koszykarze zdobyli w 1948 roku. Udało się to drużynie „YMCA". W roku następnym koszykarze tego klubu zostają wicemistrzami, a w 1950 tytuł mistrza zdobywają koszykarze „Spójni" którzy tracą go w następnym roku, aby ponownie odzyskać w 1952. W 1953 roku tytuł ten przechodzi w ręce korzykarzy łódzkiego „Włókniarza" i na tym kończy się triumfalny pochód łódzkich koszykarzy. Później jeszcze tylko drużyna tegoż „Włókniarza" zdobędzie czwarte miejsce i będzie to najlepsze miejsce łódzkich koszykarzy aż do chwili obecnej. Jeszcze tylko kilka razy koszykarzom ŁKS uda się uplasować na szóstej pozycji w mistrzowskiej tabeli i będzie to powód do radości.

Był też okres, kiedy żadna łódzka drużyna koszykarzy nie grała w pierwszej lidze, aż w tym roku awansował do pierwszej ligi zespół ŁKS. Co z tego będzie zobaczymy.

Znacznie lepiej po wojnie spisywały się koszykarki. Zdobyły one tytuł mistrzowski w 1946 roku („TUR"), a przez 3 następne lata drużyna „Zrywu" była wicemistrzem Polski. Później było sporo lat chudych, kiedy łódzkie koszykarki plasowały się na dalszych miejscach w ligowej tabeli, a szósta pozycja była już sporym osiągnięciem. Te chude lata zostały przełamane w 1964 roku, kiedy to koszykarki ŁKS zajęły trzecie miejsce, aby w rok później spaść na czwarte, ale za to za rok awansować na wicemistrza. W 1967 roku zostały one mistrzyniami Polski.

Przez następne lata drużyna pań plasowała się na drugich lub trzecich miejscach ligowej tabeli, aby w 1972 ponownie zdobyć mistrzostwo Polski i utrzymywać je przez 3 lata. W poprzednich rozgrywkach ligowych łodzianki oddały — niestety — ten tytuł krakowskiej „Wiśle", zachowując dla siebie wicemistrzostwo. A obecnie w ligowej tabeli również zajmują drugie miejsce.

Jubileusze mają tę dobrą stronę, że pozwalają dokonać bilansu, zmuszają do spojrzenia wstecz, dokonania pewnej syntezy, oceny tego, co posiadaliśmy w przeszłości i jaki poziom reprezentujemy obecnie. Taki bilans trzeba od czasu do czasu sporządzać, nie czekając jubileuszowej okazji, jako że nadmiar jubileuszy dewaluuje ich znaczenie i wartość. Łódzka koszykówka zasłużyła sobie na skromne święto, gdyż była to również okazja przypomnienia ludzi, którzy dla rozwoju tego sportu w Łodzi położyli niemałe zasługi.

Wydany przez „Komitet Organizacyjny Obchodów 50-lecia Koszykówki" w Łodzi skromniutki folder, przypomina nazwiska Tadeusza Marszałka, Pawła Woskowicza, Albina Grabowskiego, Klaudiusza Lityńskiego, Władysława Kościelskiego, Mariana Bileckiego. Na liste te wpisują się zapewnie teraz inni, o których wspominać się będzie po następnych 50 latach.

BOGDA MADEJ

OBYCZAJE

Dzielny strażak L. Sujka, zanim został dzielnym strażakiem, zapowiadał się bardzo dobrze. Uczniem był świetnym i w ogóle młodzieńcem zaangażowanym, ponieważ działał ofiarnie w ZMP oraz w kółku tanecznym.

RYSZARD BINKOWSKI

CZWARTY MĄŻ DRUGIEJ ŻONY

1.

Kiedy wskoczył w mundur strażacki, to za tym mundurem wszystkie panny sznurem. Nie musiał więc robić podpaleń i wyciągać ukochanej z ognia, bo po co. A, że, jak stwierdzili psychiatrzy, w układaniu życia osobistego wykazywał niedojrzałość, przeto ożenił się szybko i bardzo zwyczajnie.

Dziewięć lat trwało małżeństwo, z którego na świat przyszło dwoje dzieci. Po dziś dzień oficer strażacki L. Sujka buli tysiąc pięćset na dzieci, albowiem pewnego dnia żona opuściła go z przyjacielem. Żona hasa z przyjacielem, a Sujka buli. Dziwne. Powiadają niektórzy, że trochę było nie tak, bo dlaczegóż to strażakowi sąd nie przyznał choćby jednego dziecka? Musiał Sujka nieźle popasać w rozjazdach służbowych, maczać dziubek w likierze strażackim itp.

Przez dwa lata namierzał się biedak do swej nowej drogi życiowej, lecz niczego nie potrafił złożyć do kupy. To znaczy, co się z żalu złożył na pół litra z kumplami, to zaraz to z niego wyparowało. I tak schodził na psy, póki co jednak, chodząc na damskie żebry. Długo tak nie mogło być, albowiem, jak twierdzą psychiatrzy, L. Sujka cierpi na nieznaczną seksualną nadpobudliwość.

No i w roku 1968 na strażackiej zabawie trafił strażacki oficer na kobietę doświadczoną, czyli obywatelkę Teresę, z domu R. Przy kielichu przeszli na ty i Sujka rzucił się z mety w dialog matrymonialny.

— Tereska, czy dzieliłabyś życie z oficerem strażackim na stałe? — zapytał on.

— Jak ten oficer strażacki z pozytywną pensją, to mogłabym się zastanowić — powiedziała ona.

— Co tu jest do zastanawiania?

— Jest dużo, bo się we mnie serce w żółć obróciło!

— Tereska, czemu masz tę żółć?

— Żółć mam na tę okoliczność, że mam córkę na utrzymaniu z pierwszego małżeństwa i nie wierzę chłopom. Co żem z którym weszła w związek małżeński, to mnie puszczał w trąbę i spływał do obcych dziwek. Do trzech razy sztuka, a ty byłbyś czwarty...

Rozpłakała się, za nią Sujka, i na kolana.

— I co ty, sieroto, poczniesz sama w życiu? — pytał dzielny strażak przez łzy.

— Radzę sobie! To zaczepię się w bufecie, to na dworcu lub w lokalu jakim, i żyję. Ale szefy są nieczułe na samotność młodej kobiety i mnie często zwalniają, z gastronomii przeważnie, bo tym się trudnię, albo sama się zwalniam.

Sujka krzyknął, że tak dalej nie może być. On jej już zapewni spokój! Po strażacku poprowadzi przez życie i będzie szczęście! Tereska opierała się jeszcze, tłumacząc, że się nie znają.

— To jak z nami będzie? — spytał zrozpaczony L. Sujka.

— My się będziemy próbować — odparła Teresa.

— Jak?

— Na pół etatu będziemy na razie żyć z sobą. Dzisiaj może być zaliczka.

Przez rok żyli na te pół etatu, a w 1969 roku wymienili w USC karte rowerową na prawo jazdy wyższej kategorii. Sujka nazwał ten okres etapem odgruzowywania.

2.

Cholernie dużo nazbierało się tego gruzu. Co rusz któreś ze spółki zasapało się i ustawało w robocie.

Ona:

— Pasierbicy ten czwarty mój chłop nie lubił strasznie. Nic, tylko by dziewczynką potyrsał i głodził. Wracał późno pijany, bił mnie i maltretował. W lutym pożycie ustało całkiem, dwa lata temu, bo zaczął przychodzić po północy, albo o piątej nad ranem. Nie liczył się, że znowu jest człowiekiem żonatym. Prowadził pełny przygód i nadużywania żywot człowieka zupełnie wolnego. Raz dwa dni był nieobecny w domu. Ustaliłam, że ma inną kobietę. Był z nią na wczasach! Sprawdziłam...

On:

— Żona ma teraz 35 lat, a ja 40. Ja zmieniłem jedną żonę, a ona trzech mężów. To kto jest lepszy? Poza tym żona ma ukończoną podstawówkę tylko i jest ograniczona. Dzieci nie mieliśmy, to się poświęcałem pracy zawodowej. A ludzie się palą! Jak późno wróciłem z akcji, to zaraz awantura! Bo żona nie panuje nad swoją osobą, co ma pod ręką, to tym się awanturuje. Raz byliśmy u kolegów strażaków na wódce, to mi wstyd zrobiła i rąbła w łeb torebką. Awantury uliczne też urządzała! Albo jak zadzwonił telefon na służbie w jej obecności, to myślała, że od kobiety, i zaraz mi do kudłów. A to było z elektrowni, że wyłączą prąd, i żeby być przygotowanym.

Tę czarę goryczy przepełniła okoliczność, jak żem raz wrócił późno, a tu rozdziana Tereska leży na moim tapczanie z moim sikawkowym Mietkiem! Zamiast się ze wstydu spalić, albo co, to oni oboje do mnie z pyskiem i piąchami. Musiałem uciekać z domu. Żona goniła mnie. Ona jest niepoczytalna. Ta awantura wynikła w koszuli i na boso...

Ona:

— Ja też miałam wszystkiego dosyć. Zwłaszcza mi o córkę się rozchodziło, co ma już 15 lat. Mąż mianowicie, jak ją uczył pływać, to wsadzał jej ręce pod kostium. Drugą razą zobaczyłam, jak weszłam do pokoju, córkę potarganą i zapłakaną, a mąż zaraz zeskoczył z tapczana. Za trzecim razem zaczaiłam się w mieszkaniu, czyli wlazłam pod stół. Siedzę cichutko, mąż mój wchodzi, w stanie upojenia, rzuca córkę na tapczan, wsuwa jej ręce na piersi i nie tylko...

Dopuszczanie się czynów lubieżnych na osobie nieletniej stanowi szczególne zagrożenie, albowiem pozostawia trwałe, bolesne ślady w psychice ofiary, i jest surowo karane. Jednakże poza matką nie było świadków zajść. Teresa wprawdzie ściągała na pomoc własną matkę i opowiadała o zajściu sąsiadce, lecz ich zeznania nie mogą stanowić źródła wiarygodności. Matka Teresy na przykład, według orzeczenia lekarskiego, nosiła ślady pobicia, którego miał się dopuścić L. Sujka. Ale on również nosił ślady pobicia. Teściowa, żona i pasierbica dobierały mu się do skóry, kolektywnie, lecz również bez świadków. Żona dodatkowo tłukła go po plecach nogą od stołu.

Po etapie odgruzowywania rozpoczął się etap bijatyk i zdrad.

3.

Aby bardziej obiektywnie spojrzeć na małżeństwo Sujków, należy zasięgnąć opinii świadków, którzy pośrednio lub bezpośrednio uczestniczyli w historii rozkładu życia rodzinnego.

— Wiem dobrze, że chciał dokonać gwałtu na jednej dziewczynie. Ona przecież zeznała! Za to wstrzymali mu awans. Ponadto współżył z moją siostrą. Chwaliła się do mnie.

Ponieważ gwałtu nie można było udowodnić, Teresa oświadczyła, że L. Sujka to jest duży cwaniak. W jego kieszeniach często znajdowała prezerwatywy.

— A z moim mężem to znowu nil. Stale wciągał go w pijaństwo, gdy pani Teresa była w pracy. Raz ich córka krzyczała ratunku, więc pobiegłam i widziałam, że strony się biły. To nieprawda, że mój mąż żył z Teresą. Sujka przez to oszczerstwo kopnął żonę, jak był pijany, a ona go trzasła w łeb słuchawką, bo chciała dzwonić po pomoc do komendanta. Musiała uciekać z domu boso, cała zakrwawiona.

— Wielokrotnie byłem wzywany do awantur (strażak, przełożony) i widziałem potłuczone słoiki, dziewczynę ze skaleczoną nogą, ale kto to zrobił, to nie wiem. Kiedyś nasypała jego żona cukru do baku w motocyklu, co groziło wypadkiem. Kiedy Sujka chciał mnie odwieźć do domu, Teresa uderzyła go butem w głowę. Po pobiciu Sujka chodził w ciemnych okularach. Na Teresie obrażeń nie zauważyłem, ale wódkę to piła równo z chłopami.

— Wielokrotnie otrzymywałem anonimowe telefony (strażak, przełożony starszy), że Sujka tłucze się pijany. Dziwiło mnie to, albowiem w pracy nigdy nie zjawił się pijany. Był pracownikiem sumiennym, zdyscyplinowanym i strażakiem bardzo koleżeńskim. Wprawdzie był karany za drobne uchybienia, ale jednocześnie wielokrotnie nagradzany za wzorową postawę. Pamiętam, jak raz wyjeżdżaliśmy w teren. Sujka szedł już do samochodu, a tu raptem wpadł na niego upiór w białej koszuli, chwycił za klapy i krzyczy: „Pieniądze, albo życie!". Dał jej coś z pensji i po wszystkim...

— Ona często przynosiła do mnie rzeczy (sąsiadka), ponieważ mąż chciał wynieść na wódkę. Mówił, że on teraz idzie na piwo, a ona ma zaraz malować podłogę. Widziałam, jak wyniósł z domu telewizor. Nie raz uciekała z domu, ukrywała sprzęty oraz wzywała pogotowie, kiedy Sujka znajdował się w stanie upojenia.

W tym czasie po osiedlu zaczęła krążyć kobieta z pobliskiego miasta. Tropiła ściganego, czyli własnego męża, młodego renciste, który miał się tutaj lumpować z Teresą. Kobieta twierdziła, iż jej mąż żył już z Teresą w domku letniskowym. Dzieci widziały. Był tam jeszcze jeden świeżo amnestionowany facet, który jednak zeznał później, że ani z Teresą, ani z młodym rencistą styczności w domku letniskowym nie miał. Natomiast najstarszy syn młodego rencisty, zabawiając się w Holmesa, udowodnił na podstawie rachunków telefonicznych, iż ojciec bez przerwy dzwonił do Teresy. Mieszkająca w pobliżu Sujków ciotka rencisty nie wchodziła w rachubę, ponieważ nie miała telefonu.

Nastąpił decydujący atak. Strażak Sujka zagroził rozwodem. Obie strony przystąpiły do preparowania dowodów winy.

4.

Kiedy mąż był pijany, Teresa wezwała milicję. Powiedziała, że zabrał jej futro i teraz chla bimber, który ma ukryty w szafie. Milicjant jakoś nie sprawdził.

W odwecie strażak Sujka nastawiał głośno radio. Żona chwytała je i bęc! o podłogę. Mąż wtedy magnetofon na cały regulator. Żona trach! o podłogę. Sujka tylko zbierał te szczątki. Miał dowody.

Wtedy Teresa doniosła, gdzie trzeba, że oficer Sujka nastaje na jej i pasierbicy życie. Pasierbicę pchnął na rozbite szkło i trzeba ją było przewieźć do szpitala. Następnie podłączył prąd do urządzeń sanitarnych, aby wszystkich w domu pozabijać.

Przyjechała specjalna komisja, która stwierdziła, że faktycznie, w kranach, wannie, ubikacji, wyczuwalne jest lekkie napięcie, nie zagrażające jednakże życiu ludzkiemu. Komisja powęszyła i odkryła, że napięcie występuje, jako skutek dokonanych przeróbek, tzn., że Sujka tak przerobił instalację elektryczną, że prąd sobie płynie, żarówki się palą, wszystko gra, ale licznik nie chodzi!

Rozwścieczony Sujka kazał sobie zrobić zdjęcia klatki piersiowej i szyi, na których widać było pełno ran drapanych. I wystąpił o rozwód. Napisał do sądu m. in., że jest bardzo poszkodowany moralnie i ma poderwany autorytet **„w postaci urwanego pagona u płaszcza i paska od czapki, podrapań i popodbijanych oczu"**. Ponadto żona wybiła szyby w mieszkaniu, rozwaliła dwa aparaty telefoniczne, radio i magnetofon. **„Bluźni niecenzuralnie i stawia cały blok na nogi. W/w nie panuje nad swoją osobą. Z ust jej toczy się piana, oczy ma zmienione i zaczerwienione oraz grozi, że będę zabity na spaniu lub mi oczy kwasem wypali".**

Teresa groziła także, iż zdejmie mężowi te gwiazdki i zsadzi go ze stanowiska. Sujka wydzielił jej pokój, w którym ona się zamyka, korzysta z jego telefonu i umawia z gachami. Wraca z rajzy pod wódką i niszczy mundur służbowy.

Ponieważ, jak oznajmił Sujka, więzy **„uczuciowe, duchowe, fizyczne i ekonomiczne ustały"**, on nie chce być dłużej czwartym mężem swojej drugiej żony.

Jak się żona o tym dowiedziała, pozamieniała zamki w drzwiach. Sujka wybił szyby i zbił żonę. **„Ruchem palca po szyi"** groził, jeśli kobieta w sprawie rozwodowej wystąpi przeciwko niemu. Sprzedał motocykle i telewizor, wziął książeczkę PKO z wkładem 30 tysięcy zł, szarpnął walizkę i poszedł na pochód pierwszomajowy, gdzie spotkał jedną Baśkę, młodą jeszcze rozwódkę. Powiedział jej, że śpi w garażu, wobec czego Baśka wzięła go na zabawę, a z zabawy na kwaterę. Później Baśka zapodała, że nie była na wczasach w Ustce ze strażakiem, tylko w Rabce z własnym mężem. Ale sąsiadka przysięgła, że motocykl Sujki stał nocami u Baśki i że Sujka władował się do niej na stałe z walizką.

Nie pomogły Sujce badania psychiatryczne. Był **„bez objawów choroby psychicznej i niedorozwoju umysłowego"**. Wykazywał natomiast agresywność w stosunku do kobiet oraz nerwicę sytuacyjną.

Teresie nie pomogła ani choroba serca i wątroby, ani cztery obdukcje i obita teściowa. Nie pomogło tłumaczenie, że tłukła męża w obronie własnej. Ani to, że pensje oddawał „różnie", bił ją butem po klatce piersiowej, dansingował nocami i hazardował się w pokera.

Sąd orzekł winę obojga małżonków. Nie bez znaczenia było tu zachowanie się Teresy. Otóż płakała ona rzewnie, twierdząc, że nie kocha męża, po czym pchając palec do oka (A czołg mi tu jedzie?) oraz za pomocą „międzynarodowego znaku harcerskiego" oświadczyła bez słów, że t y l e da mu rozwód!

Katowali się i krwawili przez sześć długich lat, obrzucali kalumniami, zadręczali wzajemnie. Po co?

EX LIBRIS ODGŁOSÓW

ŻEROMSKI

Książka opracowana przez Z. J. Adamczyka zawiera różne opinie polskie i obce o Stefanie Żeromskim. Różnorodne i często diametralnie sprzeczne sądy o wielkim pisarzu budzą zawsze zainteresowanie, mówią bowiem o doniosłej roli pisarza w jego epoce i o nie gasnącym oddziaływaniu jego dzieła w czasach późniejszych. A w wypadku twórcy „Ludzi bezdomnych" mają one charakter szczególny. Jego twórczość od początku zdobyła wielu gorących entuzjastów. Ale też budziła namiętne sprzeciwy. Lapidarnie napisał o tym Wacław Borowy w artykule po śmierci Żeromskiego: „Był tym, wobec którego niemożliwa była obojętność".

Dr Zdzisław Jerzy Adamczyk, który skrzętnie i kompetentnie zgromadził w tej księdze owe tak urozmaicone i wadzące się z sobą opinie, wpisał się już od kilkunastu lat w rodzinę badaczy Żeromskiego. Tom „Z dziejów recepcji twórczości" zawiera pozycje charakterystyczne, ważne, ukazujące, że spór o Żeromskiego, jaki toczył się (a w istocie trwa on dalej) w polskim życiu, nie miał charakteru jedynie literackiego.

Ta książka, relacjonująca batalie o Żeromskiego, przypomina — i to jest chyba niepoślednia jej rola — wielką, naprawdę wielką, tradycję literatury polskiej. Ważne to choćby z tego względu, iż tak łatwo tracimy poczucie rzeczywistych wartości i hierarchii literackich. Ta książka po prostu mówi: oto jest rzeczywisty kamień milowy.

„Żeromski. Z dziejów recepcji twórczości", PWN, cena 74 zł.

WIERZYŃSKI

Jest to już siódmy wybór wierszy Kazimierza Wierzyńskiego. Zdziwi zapewne ta cyfra niektórych miłośników twórczości tego poety, przekonanych, że mają do czynienia z pierwszym tego rodzaju wyborem. I właściwie pomyłka jest tu niewielka.

Otóż dwa wybory wierszy Wierzyńskiego ukazały się przed wojną (w 1933 i 1938 roku), następne dwa na emigracji, potem Wydawnictwo Literackie opublikowało znany wybór z lat 1951—1964 (a więc pomijający całą twórczość międzywojenną) — i dopiero rok temu PIW wydał niewielki wybór w serii celofanowej.

Jest więc ta księga siódmym wyborem, ale jednocześnie pierwszym prawie pełnym i dostępnym czytelnikowi polskiemu. Potężna — blisko 600-stronicowa księga zawiera wiersze z szesnastu tomików wierszy publikowanych przez Kazimierza Wierzyńskiego od roku 1919 po rok 1969. A więc całe półwiecze poetyckiej twórczości jednego z najwybitniejszych skamandrytów.

Wyboru wierszy dokonał Michał Sprusiński.

Kazimierz Wierzyński „Poezje", Wyd. Literackie, cena 80 zł.

„CZARNE SKRZYDŁA"

Twórczość Juliusza Kadena—Bandrowskiego, wyjątkowo silnie związana z czasem, w którym żył (1885—1944), jest w dużej mierze odbiciem jego życiowej kariery. Właściwym polem jego pisarskiej pracy była powieść społeczno-polityczna, wyrosła z legionowych doświadczeń pisarza oraz z perypetii, jakie przeżywał w pierwszych miesiącach niepodległości (vide „Generał Barcz"), w „Czarnych skrzydłach" natomiast odtworzył układ stosunków społecznych na terenie Zagłębia Dąbrowskiego, a w „Mateuszu Bigdzie" opowiada o drogach do władzy w sanacyjnym społeczeństwie.

Powstanie „Czarnych skrzydeł" poprzedziły długie i drobiazgowe studia środowiskowe, w czasie których Kaden stykał się z górnikami w czasie pracy, odwiedzał ich w mieszkaniach, uczestniczył w zebraniach. Zgromadzony w ten sposób materiał jest prawdziwie autentyczny i to właśnie sprawia, że zarówno ta, jak i inne powieści Kadena są interesującym dokumentem literackim i historycznym.

Juliusz Kaden—Bandrowski „Czarne skrzydła", Wyd. Literackie cena 55 zł.

POEZJA I KRYTYKA

Jerzy Kwiatkowski jest krytykiem znanym i od lat towarzyszy współczesnej poezji polskiej. Także i ta jego książka jest zbiorem szkiców i felietonów drukowanych w ostatnich latach na łamach „Życia Literackiego", „Twórczości" i „Poezji".

„Notatki" o poezji i krytyce" różnią się swoim charakterem od poprzednich książek krytyczno-literackich Kwiatkowskiego. Dominującym w niej gatunkiem jest bowiem felieton. Dlaczego właśnie tak, dlaczego znany i uznany krytyk wybrał tę lekką i — zda się — nieobowiązującą formę?

Odpowiada na to pytanie sam autor: „O wyborze tej formy zadecydowało parę przyczyn (...) Na pierwszy plan wysuwa się tu pewna wartkość literackiego życia, jaka (...) dała się dostrzec na początku lat siedemdziesiątych. W poezji, w publicystyce literackiej zaczęło się dziać coś nowego, na co miało się ochotę reagować szybko i w sposób bardziej bezpośredni, niż byłoby to możliwe w bardziej analitycznych gatunkach krytyki literackiej".

A zatem mamy tom felietonów o poezji współczesnej. I bardzo dobrze! Jest to bowiem jedna z nielicznych książek o poezji, którą czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem, śledząc niejako drogę rozwojową poetyk, poetów i wierszy. Myślę, że właśnie dzięki wyborowi właściwej formy książka Jerzego Kwiatkowskiego jest nie tylko cennym dokumentem myśli krytycznej i rozwoju poezji lat siedemdziesiątych, ale także jest to książka do czytania.

Jerzy Kwiatkowski „Notatki o poezji i krytyce", Wyd. Literackie, cena 28 zł.

CZŁOWIEK NA WOJNIE

Taki tytuł nosi niedawno wydana książka w PIW-owskiej serii „Biblioteka Krytyki Współczesnej". Jest to nader interesujący przegląd tematyki wojennej w radzieckiej literaturze. Książka prezentuje związane z przeżyciami ostatniej wojny utwory tak wybitnych pisarzy — batalistów jak Simonow, Bondariew, Kozakiewicz. Omówiono tu najciekawsze znane dobrze polskiemu czytelnikowi powieści o wojnie, zarówno te pisane w czasie wojny i późniejsze.

Kilka szkiców poświęcono także poezji wojennej, a mianowicie twórczości takich autorów jak Twardowski (piękny esej o „Wasyliu Tiorkinie"), Kogan, Mieżyrow, Narowczatow.

Autorzy szkiców są w większości przedstawicielami tego samego pokolenia co autorzy omawianych pozycji, czyli pokolenia kombatantów. Dlatego też tak często odwołują się do własnych doświadczeń wojennych, konfrontując swoje wspomnienia ze wspomnieniami i relacjami pisarzy, zestawiając i porównując literaturę z rzeczywistością.

Radziecka literatura wojenna ma dorobek bardzo bogaty i różnorodny, a temat wojny jest nadal tematem aktualnym. Warto więc spojrzeć nań oczyma ludzi, którzy wojnę przeżyli i przemyśleli jej trudne i tragiczne sprawy.

J.W.

„Człowiek na wojnie", Wybór i wstęp Andrzej Drawicz, PIW, cena 60 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

Carson McCullers „Serce to samotny myśliwy", Czytelnik, cena zł 35.
Julian Stryjkowski „Sen Azrila", Czytelnik, cena 20 zł.
Julian Kornhauser „Kilka chwil", WL cena zł 16.
Mieczysław Jastrun „Błysk obrazu", WL, cena zł 16.
Zbigniew Lewicki „Czas w prozie strumienia świadomości", PWN, cena zł 20.
Sław Krzemień—Ojak „Labriola", WP, cena zł 30.
Jan Józef Lipski „Twórczość Jana Kasprowicza w latach 1891—1906", cena zł 60.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

PARADOKSY I NONSENSY

Wszyscy lubimy być mądrzy i zawsze bardzo nas podnosi na duchu świadomość, że ktoś drugi jest „do tyłu". Dotyczy to zarówno stosunku do ludzi, jak i do epok. Lubimy zatem wypominać sobie głupstwa i nonsensy. No, cóż — widać taka już uroda ludzkiej natury.

Pan Egon Jameson — Niemiec z urodzenia, Anglik z wyboru, napisał przed laty „Słownik głupstw". W morzu najrozmaitszych słowników i zbiorów mądrych cytatów, książka Jamesona jest pozycją przekorną. Starannie, rzeczowo i poważnie zebrał setki oczywistych bzdur i idiotyzmów, które kiedyś traktowano najzupełniej poważnie i które — najczęściej — wypowiadane były przez znakomite osobistości.

Jamesona nie można jednak posądzać, że delektował się umysłowymi zapaściami bliźnich. Nie o to mu szło, lecz o zastrzyk sceptycyzmu. O sceptycyzm jest rzeczą zdrową i potrzebną w każdym czasie i w każdej epoce. Czytając oczywistą bzdurę, podpisaną przez wybitne nazwisko z historii, widzimy, że te same słowa i litery mogą się dowolnie układać w dowolne kombinacje. Czasem w kombinacje zdumiewająco dowolne.

Oto przytacza Jameson hasło „Ludwig Börne" z dwu niemieckich encyklopedii Brockhausa. Daty wydania obu tych encyklopedii dzieli zaledwie dziesięć lat. Ale jakie to były lata!

A więc w roku 1940 w Brockhausie było napisane: **„Ludwig Börne, syn żydowskiego właściciela kantoru wymiany, Jakuba Barucha, krytyk teatralny, od roku 1830 w Paryżu walczył jako republikanin z bezmierną zaciekłością i gryzącą ironią przeciw ładowi politycznemu w Niemczech przedmarcowych".**

A ta sama encyklopedia, wydana w roku 1950, pisze: **„Ludwig Börne, największy publicysta okresu przedmarcowego, pionierski bojownik o młode Niemcy".**

Tak się toczą koła historii, a wraz z nimi oceny.

Albo pod nazwiskiem Josef Albrechtsberger, muzyk, tak powiedział o jednym ze swoich uczniów: **„Nigdy się niczego nie nauczy i nigdy niczego nie osiągnie".** Ten pan był nauczycielem muzyki Ludwika van Beethovena i o nim to właśnie są słowa.

W roku 1913, a więc wcale nie tak dawno, dziekan Wyższej Szkoły Technicznej w Monachium odpowiedział odmownie na propozycję wygłoszenia odczytu: **„Na naszym fakultecie nie są dopuszczalne tematy nienaukowe".** Chodziło tam o odczyt Maxa Dieckmanna na temat... telewizji.

Wynalazcy i odkrywcy nigdy zresztą nie mieli łatwego życia. W roku 1796 Edward Jenner wynalazł szczepionkę przeciwko ospie. I właśnie jemu angielskie towarzystwo naukowe Royal Society odpowiedziało: **„Jeśli nie chce zostać pan powszechnie wyśmiany, radzimy, aby zaprzestał pan wszelkich dalszych szczepień".** A grono fachowców szwedzkich wydało taką opinię: **„Diesel jest marzycielem. Jego motor jest dla celów praktycznych nieużytkowny".** Po tej opinii bank odmówił udzielenia Dieslowi pożyczki na dalsze prace nad silnikiem.

Pozostańmy jeszcze przy samochodzie. Dyrektorzy Edison Electric Company z Detroit, kiedy dowiedzieli się, że jeden z pracowników zajmuje się w wolnych chwilach konstruowaniem tzw. automobilu, oświadczyli: **„Nie interesują nas pojazdy bez koni".** Dodajmy, że ów pracownik nazywał się Henry Ford.

Natomiast orzeczenie francuskiej Akademii Nauk z roku 1879 brzmiało jeszcze krócej: **„Ohydny trick brzuchomówcy".** Była to odpowiedź na zademonstrowaną przez Edisona „maszynę mówiącą", tzw. fonograf.

No i tak, jest mili moi. Pośmialiśmy się wszyscy z tych głupstw? Na zdrowie. Świat jednak nie kończy się dziś — po nas przyjdą inni, oni też zapewne będą się śmiać. Dlatego — na wszelki wypadek — nie pukajcie się palcem w czoło, kiedy czytacie niepojęte teorie Dänikena, albo, kiedy relacjonujemy na łamach „Odgłosów" zdumiewające tajemnice „Trójkąta Bermudów". Wszystko to być może — a czy to przyjdzie włożyć między bajki czy nie — pokaże czas.

WIDOK

LEWYM OKIEM

CZY ZAKOCHANA KOBIETA MUSI BYĆ SZCZUPŁA

W prasie łódzkiej ukazał się najpierw artykuł, a potem parę listów od czytelników, w sprawie niewłaściwego repertuaru naszych kin. Autorka artykułu wspominała filmy sprzed kilkunastu lat nazywając je „filmami swojej młodości", a mówiła o nich z sentymentem: pozostawiły po sobie wrażenie, dawały nowe spojrzenie i wiedzę o życiu, o świecie i o człowieku. A dziś? — ubolewa pani, pisząca o filmach. Dziś filmy niczego nie dają i o niczym nie uczą. Po co komu „Gdyby Don Juan był kobietą", po co „Dzieje grzechu" i kryminały i pokrętni psychicznie bohaterowie patologicznych historii?

Filmy mojej młodości były znowu całkiem inne, może bym też mógł powiedzieć, że były wzruszające i śliczne, a te z epoki młodości szanownej autorki — przeraźliwie niejasne, pełne retrospekcji i dygresji, aluzji i symboli. Mniejsza o tytuły, każdy z nas nosi w pamięci portfel filmów jakoś przeżytych i zapamiętanych; mój portfel pewnie jest grubszy, bo dłużej go uzupełniam. Tak, twierdzę, że uzupełniamy wciąż pozytywne kartoteki naszej pamięci, negatywy same z nich wietrzeją, dziś tak jak dziesięć, dwadzieścia i czterdzieści lat temu. Są lata lepsze i gorsze, bywają miesiące kiedy nie ma na co iść do kina, i takie, kiedy nie nadąża się z obejrzeniem rzeczy nieprzeciętnych. Nie trzeba tego demonizować, każda „epoka" wytrzyma najbardziej gorzką krytykę. Ale oczywiście trzeba — nie generalizując zanadto — upominać się o coraz lepszy repertuar. A to znaczy także: coraz bardziej wszechstronny.

Zabawne, jak z biegiem czasu film drąży w wyobraźni trudne do odparcia stereotypy i narzuca pewne ciągi skojarzeń. Można by z tego ułożyć jakiś niby—słownik, niby—sennik, coś jak leksykon pojęć bliskoznacznych. Zwyczajne, potoczne słowa pod wpływem obejrzanych dziesiątków filmów zaczynają wywoływać specyficzne echa. Na przykład:

gazeta — ktoś dymiąc mocno będzie spoza niej obserwował gościa przy barze;

telefon — słuchawka zdjęta z widełek huśta się na sznurze i nikt jej nie podnosi;

milioner — będzie wielki festyn w ogrodzie z basenem;

środek nasenny — ktoś pomyli szklanki;

lina — przetarta na krawędzi skały, ktoś wisi na jednej nitce i zaraz albo się urwie, albo chwyci ręką zbawczą gałązkę;

klamka — porusza się złowieszczo i zaraz wejdzie ktoś, komu widać będzie tylko nogi;

teczka — bardzo ważne, tajne dokumenty zniknęły bez śladu;

detektyw — człowiek śmiertelnie zmęczony, kochający dzieci i mający małą „ludzką" śmiesznostkę (np. pije kawę albo nie znosi kawy);

firanka — wieje do wnętrza pokoju z nieboszczykiem;

rzeka — Rosjanie będą śpiewać przy wtórze harmoszki;

twarz — pani Barańska rozpamiętuje swoje dnie (nocy nie warto);

bilet — sprzedany dwa razy na to samo miejsce;

samochód — połowa każdego filmu;

drzwi — nie ma mowy, żeby się nie pomyliły;

hotel — zawsze są wolne miejsca, jako że kino to fabryka złudzeń.

Przykłady można by mnożyć. Można też sporządzić długą listę typów i spraw, których na ekranie nie ujrzymy — z niewiadomych powodów — nigdy. Czy widzieliście kiedy tęgą bohaterkę romansu? Samochód, który się psuje albo brak mu benzyny? Telefon, z którego nic nie można zrozumieć? Rozmowę mężczyzn w barze mlecznym, zamiast w knajpie?

Tego ostatniego nie widzi się co prawda także w życiu, ale kino powinno kształtować wzorce postępowania. Po co komu „Dzieje grzechu"?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

CZŁOWIEK NIE JEST SAM

Wpływ otoczenia na samopoczucie człowieka, a co za tym idzie na wyniki jego pracy odkryto już bardzo dawno. Niektórzy potrafili wyciągnąć z tego właściwe wnioski, inni — nie. Oto reporter „Trybuny Ludu" donosi z bazy Grupy Robót Warszawskiego Przedsiębiorstwa Robót Drogowych w Kamieńsku:

„Widok jest zaskakujący: bałagan na ogromnym placu, sprzęt poustawiany byle jak tonie w błocie, drogi pożarowe zatarasowane".

W przedsiębiorstwie tym, jak i w Oddziale Budowy Autostrad w Rozprzy (też w województwie piotrkowskim) przeprowadzono niedawno kontrole. W Kamieńsku na wszystkie pytania reportera „Trybuny Ludu" odpowiedź była podobna:

— „To obowiązek kierowców..." „My nie jesteśmy w stanie", „kierowcy powinni...", „Nie ma człowieka, który zająłby się porządkiem".

W Rozprzy natomiast powiedziano:

— **Kontrola** nam pomogła dostrzec błędy i przystąpić do ich usunięcia..."

Lepiej późno niż wcale i dobrze, że choć wyciągnięto wnioski z tego, co za nich zrobili inni.

Człowiek na szczęście nie jest sam na tym świecie. Czasem dobrzy ludzie pomogą, czasem wyręczą. Nie należy jednak robić z tego metody. Nie należy z faktu, że człowiek nie jest sam wyciągać wniosku, że ludzie powinni nas stale wyręczać, robić za nas to, co sami powinniśmy, do czego zobowiązaliśmy się, za co bierzemy pieniądze. Nie wszyscy są jednak tego zdania.

W jednej z łódzkich fabryk widziałem napis nad bramą: „DZIĘKUJEMY ZA DOBRĄ PRACĘ". Czy za należyte spełnienie obowiązku należy dziękować? Nie zawadzi. Małe słowo „dziękuję" wielkie ma znaczenie i jakże często brakuje go w codziennym życiu. Jak wiele jeszcze ludzi uznaje, że czyni łaskę społeczeństwu w ogóle podejmując jakikolwiek wysiłek. Jak często jeszcze można spotkać się z tendencjami przenoszenia wysiłku na innych.

Jerzy Urban opisał w „Szpilkach" niebywałą historię, jaka zdarzyła się w lubelskim oddziale PKS. Kobiecie, która zapłaciła za bilet w autobusie, a która ma na to świadków i której konduktor nie wydał biletu, rewizorzy kazali zapłacić 200 zł kary. Kiedy dochodziła swojej racji w dyrekcji PKS w Lublinie usłyszała w odpowiedzi:

— „Pani nie dopełniła swojego obowiązku", „trzeba było okazać trochę agresywności".

Okazało się więc, że to nie konduktor popełnił przestępstwo, nie wydając biletu, a nie wydał go w tym autobusie kilku osobom, ale pasażerowie, gdyż nie byli agresywni w stosunku do konduktora i zbyt enigmatycznie domagali się wydania im należnych biletów, czyli pokwitowania za uiszczenie opłaty za przejazd.

Przypadek opisany przez Jerzego Urbana jest skrajną ilustracją zjawiska przenoszenia obowiązków na inych. Nie wiem, czy nad bramą którejkolwiek z zajezdni PKS w Lublinie też wisi napis, w którym dziękuje się pracownikom tego przedsiębiorstwa za dobrą pracę. Jeśli tak, to należałoby go szybko zdjąć, gdyż może mieć inny od zamierzonego wpływ na ludzi. Dziękując wszystkim za dobrą pracę, może wywoływać u tych, co ją partaczą fałszywe przekonanie, że to, co robią, robią dobrze, a tak przecież nie jest.

Nie wynika z tego wcale, że jestem przeciwny dziękowaniu za dobrą pracę. Jeszcze raz podtrzymuję to, co napisałem, że słowo „dziękuję" jest bardzo potrzebne w życiu. Ale też jestem za nazywaniem rzeczy po imieniu, za wytykaniem złej pracy, jestem przeciw spychaniu obowiązków jednych ludzi na innych. A z tym niestety można zbyt często się spotkać.

Przez długie lata udowadniano, jakim to dobrodziejstwem są zbiorcze anteny, że jest to postęp i w ogóle. Istotnie. Dopóki taka antena funkcjonuje, jest to dobrodziejstwo i postęp, ale niech się tylko zepsuje. Właśnie u moich znajomych zepsuła się taka antena. Kilkakrotnie wszyscy zgłaszali ten fakt w administracji, do obowiązków której należy troska o usunięcie uszkodzenia. Interwencje były bez skutku. Dopiero ktoś bardziej przedsiębiorczy zdobył numer właściwego telefonu i wyręczając administrację, zawiadomił konserwatorów. Owszem przyszli, uszkodzenie stwierdzili, coś tam poprawili, ale nie do końca i obiecali przyjść ponownie. Wszystko to trwało zbyt długo jak na tak drobną awarię. Ale najbardziej charakterystyczny w tym jest fakt, że administracja przekazując właściwy numer telefonu uznała, że wypełniła swój obowiązek. Administracja sprawę „miała z głowy", gdyż była pewna, że lokator mając wadliwie funkcjonujący telewizor będzie tak długo interweniował już we właściwym miejscu aż wymusi naprawę. Zrobił to za odpowiedzialnego pracownika, który weźmie spokojnie za to swoje uposażenie. Za pracę wykonaną przez kogo innego. Społecznie, we własnym interesie.

Człowiek nie jest sam, ale z tego nie wynika wcale, że za tego człowieka mają pracować inni, bo gdy taki pogląd stanie się powszechnym...

MARCIN RODAK

MAGAZYN
ODGŁOSY

Stolica Kuwejtu leży dosłownie na rozległym podziemnym jeziorze nafty. Jak informuje Ministerstwo Przemysłu Naftowego, cały przylegający do stolicy rejon jest niezwykle bogatym rezerwuarem „czarnego złota". Im bardziej rozrastają się dzielnice mieszkaniowe i rejony przemysłowe kompleksu stolicy, tym większe obszary roponośne tracą szansę na eksploatację. Państwowe organa planowania pracują obecnie nad rozwiązaniem tego trudnego problemu.

* * *

Jak podaje francuski Instytut Demograficzny, w Paryżu mieszka pół miliona cudzoziemców stu czterech narodowości. Najwięcej w Paryżu jest Hiszpanów — 69 tysięcy. Poza tym: 67 tysięcy emigrantów z Algieru, 44 tysiące z Portugalii, 33 tysiące z Tunisu, 28 tysięcy z Włoch, 20 tysięcy z Maroka, 19 tysięcy z Jugosławii, 8 tysięcy emigrantów z różnych krajów Ameryki i in.

* * *

Nowojorscy złodzieje ustanowili swego rodzaju rekord, okradając w październiku, w willi mera miasta Nowego Jorku, jego czcigodnych gości — cesarza i cesarzową Japonii, przebywających w tym czasie z oficjalną wizytą w USA. Podczas gdy Hirohito wznosił ostatni kielich szampana, cesarzowa Harako skonstatowała, że z sąsiedniego pokoju zniknęło jej futro. Zrobiono wszystko, żeby zgubę odnaleźć. Bezskutecznie.

* * *

46-letnia Jacqueline Kennedy-Onassis postanowiła „podjąć pracę". W 1953 roku Jacqueline pracowała w charakterze reportera w waszyngtońskim „Times Herald". Obecnie przyjęła ofertę wydawnictwa „Viking Presse" na stanowisko, o którym dyrekcja wydawnictwa mówi bardzo mgliście: „Organizowanie przygotowania nowych książek, wypracowywanie nowych idei i poszukiwanie nowych autorów". Nie wiadomo jak dalece wierzy wydawnictwo w zawodowe kwalifikacje nowego pracownika, ale reklama jest pewna.

* * *

„Tutaj, na naszym terytorium, istnieje pełna swoboda i każdy może się rzucać gdzie tylko zechce" — oświadczył prezes Urzędu Prasy i Informacji zachodnioniemieckiego senatu — Struwe. Odpowiadał on na krytykę pod adresem zachodnioniemieckiej policji, która nawet nie próbowała uratować samobójczyni tonącej w nurtach Sprewy. Na szczęście uratowali ją żołnierze straży granicznej NRD.

* * *

W Europie pojawiła się agencja specjalizująca się w kupnie i sprzedaży małych wysp. Jej właściciele — ekonomista Farhad Vlady i prawnik René Boem, obaj z Hamburga, mają na liście 320 wysp do sprzedania w cenie od 500 tysięcy do 6.250 tysięcy dolarów każda. Agencja może zaoferować wyspę na Oceanach: Atlantyckim, Indyjskim lub Spokojnym. Niedawno skorzystali z jej usług zachodnioniemieccy milionerzy, kupując jedną z wysp archipelagu na Oceanie Indyjskim za 200 tysięcy dolarów jako prezent dla członków swych rodzin.

* * *

Celnicy w Turynie zatrzymali bagaż przedstawiciela włoskiej awangardy artystycznej, A. Bozzolliego, zarejestrowany jako „dzieła sztuki". Były wśród nich: stary cylinder, z przyklejonymi doń zdjęciami młodego mężczyzny, części lodówki, a nawet mała chata eskimoska (igloo) wykonana z metalu i tłuczonego szkła. Wszystkie te arcydzieła były przeznaczone na wystawę awangardy artystycznej w Londynie. Po długich sporach celnicy machnęli ręką i zezwolili Bozzolliemu na przewóz eksponatów, ale w charakterze „osobistego śmietnika".

* * *

Hiszpański tygodnik „Triunfo" został zamknięty na cztery miesiące, a jego redaktor skazany na grzywnę 20 tysięcy franków za artykuł „Czy jesteśmy przygotowani do zmian?", który oceniono jako zamach na bezpieczeństwo państwa. Jest to już piąte z kolei pismo, które wpadło w niełaskę od czasu wydania „ustawy antyterrorystycznej". Dziennik „Doblion", zamknięty kilka dni wcześniej, dał powód do krasomówczego wystąpienia pewnego hiszpańskiego generała, znanego ze swych skłonności do „twardej linii": „Nam wcale nie jest potrzebna ustawa antyterrorystyczna, lecz dobra ustawa antyprasowa".

* * *

W USA dojrzewa niezwykły proces sądowy o przyznanie prawa autorskiego do... zabójstwa. Były chilijski generał, Roberto Vio, zamierza podać do sądu gazetę „New York Times", która zamieściła informację, że były chilijski dowódca wojsk lądowych, gen. Schneider, został zastrzelony w 1970 roku z polecenia CIA, żeby przeszkodzić w dojściu do władzy „marksiście Allende". Oburzony Vio oświadczył, że „zabójstwo generała jest wyłącznie jego zasługą. Że zrobił to dla dobra Chile i przeciwko komunizmowi". Vio zamierza wywalczyć w sądzie przyznanie mu autorstwa tego zabójstwa „raz na zawsze".

* * *

Co odczuwa człowiek, lecący z szybkością 120 km na godzinę z 79-metrowej wysokości mostu Złote Wrota — najbardziej popularnego mostu samobójców w San Francisco — aż nie uderzy o powierzchnię wody, może powiedzieć zaledwie dziesięciu ludzi, pozostałych przy życiu spośród ponad 500 samobójców, którzy skoczyli z tego mostu od czasu jego otwarcia w 1937 roku. A lista rozczarowanych ludzi, szukających w tym „cudownym mieście marzeń" lekarstwa na swoje troski, rośnie z każdym rokiem. Władze miejskie doszły wreszcie do wniosku, że trzeba zbudować barierę, przeszkadzającą samobójcom. Jednakże specjalna komisja rozpatrująca ten problem, jednogłośnie odrzuciła projekt zbudowania bariery. Przedstawiciel komisji umotywował tę decyzję zbyt wysokim kosztem, sięgającym 1—2 miliona dolarów, podczas gdy miasto ma dziś pilniejsze potrzeby. Poza tym uważa on, że ludzie szukający śmierci, znajdą ją w wielu innych miejscach: w San Francisco jest wiele drapaczy chmur.

SENSACJE ZE ŚWIATA

Fot.: Archiwum

POWIĘKSZENIA

OCKNĘŁA SIĘ

Minęło już półtora roku, odkąd **„Odgłosy"** zakończyły — niewinny w gruncie rzeczy — cykl **„sex w literaturze"**. Ale „szympansy są cierpliwe" — jak twierdzi bliżej nie znana pani **M. Wolnikowska** w ostatnim numerze **„Kalejdoskopu"**.

Na tej pani nasza niewinna rubryczka wywarła niezatarte wrażenie, bo po tak długim czasie autorka „Kalejdoskopu" jeszcze nam ów sex pamięta. I — oczywiście — ma za złe.

Tytuł rubryki pani W. — „Po oczach". Raczej — po niewczasie.

(ROG) DONOSI

Jak informuje nieoceniony (rog) z **„Przekroju"**, pewien niezamożny rencista amerykański odbył już 18 razy rejs „Batorym". Naszym flagowcem płynął również — donosi (rog) — „amerykański piosenkarz z Hollywood, Champan".

Wstrząśnięci tymi wiadomościami pytamy: „czy pan (rog) nie ma większych zmartwień?".

Statki pasażerskie płynące na trasie Europa — Ameryka są na ogół po to, aby płynęli nimi pasażerowie z Europy i Ameryki. Czy **„Przekrój"** musi drukować listę obecności bliżej nie znanych osób? Nam w zupełności wystarczy, że „Batorym" płynął korespondent **„Przekroju"**.

HAMILTON SIĘ POWTARZA

Hamilton się powtarza. Już po raz drugi w ciągu dwu tygodni używa eleganckiego bonmotu: **„oczywizda — kot psu w dupę gwizda"**.

Powtórka ma miejsce — jak zwykle — na łamach tygodnika „Kultura". Dla Hamiltona i „Kultury" mamy do zaoferowania parę takich złotych myśli. Na przykład: **„srali muchy, będzie wiosna, będzie lepiej trawa rosła"** — albo: **„Nie pieprz wierszy — dziś nie pierwszy"**.

Polecamy szczególnie tę ostatnią.

SERIALE

Telewizja dobrze nas przygotowuje do 13-odcinkowego serialu „Noce i dnie", który obejrzymy za dwa lata. W swoim czasie dano telewidzom „Sagę rody Forsytów", obecnie czeka nas 13 niedziel z „Rodziną Whiteoaków"...

Jak nadejdą „Noce i dnie", będziemy mieli skalę porównawczą.

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

SYTUACJE

Sytuacja pierwsza: pan Pierwszy zabiera głos i mówi:

— No, więc wystąpimy do władz w sprawie budowy tego mostku i nowej drogi. (A w myśli: przyda mi się kilka krawężników do budowy garażu.) Mamy też konkretny plan wzniesienia w naszej miejscowości domu kultury. (A w myśli: przyda mi się trochę terakoty do łazienki). Poza tym wystąpimy do PKS o przesunięcie przystanku w stronę poczty. (A w myśli: będą miał bliżej do domu.)

Sala kwituje wystąpienie rzęsistymi oklaskami.

I faktycznie, za jakiś czas staje na strumieniu mostek, zaczyna powstawać nowa droga, przystanek usytuowano w korzystniejszym miejscu. Pan Pierwszy zakończył budowę garażu, może się też pochwalić pięknie wykończoną łazienką.

Pan Pierwszy z okazji święta otrzymuje medal. I wszyscy są zadowoleni, łącznie z robotnikami, którzy zakładali Panu Pierwszemu terakotę w łazience i dostali po pół litrze na zakończenie.

Sytuacja druga: pan Drugi zabiera głos i mówi:

— No, więc są pewne trudności z tym mostkiem i nową drogą. (A w myśli: mało co myśli, bo ma trudności z myśleniem.)

Mamy też konkretny plan wzniesienia w naszej miejscowości domu kultury, ale nie mamy materiałów. (A w myśli: jak wyżej.) Poza tym wystąpimy do PKS o przesunięcie przystanku w stronę poczty. (A w myśli: będę miał d a l e j do domu.)

Sala kwituje wystąpienie dość oszczędnymi oklaskami.

Mija rok, a tu ani nowego mostku, ani drogi, ani domu kultury nie widać nawet na deskach projektantów.

Są też pewne kłopoty z przesunięciem przystanku.

I nikt oczywiście nie jest zadowolony.

Powstaje więc na zakończenie problem do rozwiązania:

Kto w ostatecznym rozrachunku jest lepszy: inteligentny i zaradny cynik czy uczciwy lecz pozbawiony inicjatywy głupiec?

Najlepszy jest oczywiście inteligentny, zaradny, mądry, uczciwy i z inicjatywą, ale o tym wszyscy przecież wiemy, więc właściwie nie ma już o czym mówić.

PŁYTY

WĘGIERSKI CHOPIN

Jesteśmy krajem Chopina, ale jednocześnie takim krajem, w którym jak nigdzie indziej trudno jest zaopatrzyć się w płytowe nagrania bodaj najważniejszych dzieł naszego wielkiego kompozytora. Pełne nagranie „Dzieł wszystkich" ukończone przed 15 laty, które swego czasu było wydarzeniem, jest dziś w przeważnej części archaicznym pod względem brzmieniowym zabytkiem. Płyty te okropnie się zestarzały i niewiele pomogło im, że od pewnego czasu wydaje się je w wersji stereofonicznej. Dlatego zaczęło się mówić o potrzebie nowego nagrania dzieł Chopina, takiego, które przyniosłoby rzeczywiście doskonałe wykonania czołowych pianistów światowej marki itd. Jak na razie ze światowych ambicji ma się zrodzić... nagranie Mazurków, dokonane przez Ryszarda Baksta, zapowiedziane jeszcze na wiosnę, które jednak do dziś się nie ukazało. Podobnie nie ukazał się do chwili, kiedy piszę ten felieton, zapowiedziany dawno temu recital chopinowski Witolda Małcużyńskiego. Płyt obcych z muzyką Chopina się u nas nie sprowadza, bo ponoć mamy to samo, chociaż każdy wie, że po pierwsze ich nie mamy, po drugie ten sam utwór w innym nagraniu i wykonaniu, to nigdy nie jest „to samo". Cóż więc czynić? Radzę się wybrać do Warszawy do Ośrodka Kultury Węgierskiej na Marszałkowskiej, gdzie aktualnie można się zaopatrzyć w dwie interesujące płyty chopinowskie. Pierwsza z nich to recital młodej pianistki o nazwisku Csilla Szabó (Hungaroton LPX 11583), ładnie skomponowany z dobrze znanych i ogólnie lubianych utworów naszego wielkiego kompozytora. Oprócz Ballady g-moll op. 23 znajdziemy na tej płycie dwa sławne Polonezy A-dur op. 40 nr 1 i As-dur op. 53, kilka Etiud, Preludiów, Walców, dwa Mazurki oraz Nokturn Es-dur op. 9 nr 2. Jest to więc sympatyczny groch z kapustą, w dodatku przyjemnie grany i doskonale nagrany. Oprócz tej płyty jest jeszcze inna, na której młody, interesujący węgierski pianista Sandor Falvai nagrał z Orkiestrą Filharmoniczną w Budapeszcie pod dyrekcją Andrasa Kórodiego Koncert fortepianowy e-moll op. 11 Fryderyka Chopina (Hungaroton LPX 11654). I jak to zrobił! S. Falvai gra Chopina z doskonałym wyczuciem stylu, a jednocześnie po męsku, z wirtuozowską pasją, nie nadużywając rubata, ale bardzo romantycznie. Młody ten pianista (ur. 1949) występował już w takich ośrodkach muzycznych, jak Moskwa, Paryż, Lozanna i Monachium. Jest bez wątpienia ciekawą artystyczną indywidualnością, jakich ostatnio jest coraz więcej w młodej generacji muzyków węgierskich. Nagranie Koncertu e-moll dokonane z doskonałym dyrygentem jest więcej niż ciekawe — jest świetne. W dodatku zrealizowane bardzo dobrze pod względem technicznym. Nagranie Koncertu uzupełniają w wykonaniu S. Falvai Mazurki a-moll op. 17 nr 4 i C-dur op. 24 nr 2 oraz przepiękny Nokturn cis-moll op. posth. W płytę tę należałoby się koniecznie zaopatrzyć: jest to bodaj najciekawsze nagranie Koncertu e-moll na jakie możemy się dzisiaj zdobyć, dysponując płytami naszymi i naszych sąsiadów.

XYZ

MAŁE KINO

„Najlepsze te małe kina"

K.I.G.

KONIEC LATA

Było lato, minęło... Telewizja Polska kończy przygotowanie programu dla ptactwa, które szykuje się do odlotu w ciepłe kraje. W programie tym liczne piosenki o niebie i powietrzu, przeplatane będą zwięzłymi informacjami walutowymi. Twórcy programu zarzekają się, iż nie nakłaniają nikogo do rezygnacji z odlotu. Przemyślane decyzje tego typu będą jednak mile widziane i brane pod uwagę przy wiosennym rozdziale karmików dla ptasząt.

UJAWNIENIE POBUDLIWOŚCI

Piękne rezultaty uzyskano w Szkole dla Młodzieży Nadpobudliwej im. „Jasia, kóry nie doczekał" w Płoszewie. Miejscowi pedagodzy wolno, cicho i własnymi słowami opowiadają tam swoim podopiecznym treści naszych filmów historycznych. Potrzeba gwałtów zmalała, milusińscy sypiają w internacie, łaknienie spadło, równocześnie pojawiły się wąsy i brody. Zdarza się jednak jeszcze czasem, iż jednostkom szczególnie krnąbrnym, wożna musi za karę streścić dowolną polską komedię filmową.

CYTATY WE FRANCJI

Tego lata zdarzył się przykry wypadek na południu Francji. Pewien przebywający tam służbowo krytyk filmowy pomylił cytaty. Nazajutrz, po dostrzeżeniu pomyłki, zawstydzony krytyk przeprosił cytowanych, zacytował ich cytaty właściwie dodając własny nie cytowany cytat. Ale było już za późno i miejscowa ludność śmiała się z krytyka.

SMUTNE ZAWIESZENIE

Zespół Pieśni i Tańca Urzędników Przebywających Czasowo Na Delegacji Służbowej zawiesił swoją działalność na czas nieokreślony. Przyczyną zawieszenia były liczne trudności, na które natknięto się już w czasie prób. I tak np. chór śpiewał głośno lecz nie jednomyślnie, a w ewolucjach tanecznych bardzo przeszkadzały trzymane w dłoniach teczki.

HUMANISTA W PUSZCZY

Wkrótce powstanie mądry i zmuszający do wzruszenia film dla naszej dziatwy. Opowiadać będzie on o silnej i czystej przyjaźni, która nawiązała się w polskiej puszczy między cudzoziemskim myśliwym i rosłym dewizowym jeleniem. Cudzoziemski myśliwy urzeczony godnością i wdziękiem wspaniałego rogacza, dopiero w ostatnim dniu swojego pobytu dokonuje jego odstrzału. W filmie oprócz cudzoziemskiego myśliwego i dewizowego jelenia wystąpi również stary gajowy Kitajko, który kocha puszczę i wie ile dolarów kosztuje każde zwierzątko.

ANDRZEJ CZEKALSKI

ŚLADAMI DAWNEJ ŁODZI

DOM ZGROMADZENIA MAJSTRÓW TKACKICH

Wśród wielu dawnych budynków, które na skutek dynamicznego rozwoju Łodzi, zniknęły na zawsze z krajobrazu miasta, do najstarszych zaliczał się dom Zgromadzenia Majstrów Tkackich, zwany z niemiecka „Meisterhausem".

W 1839 roku na obszernej parceli przy ul. Piotrkowskiej nr 100, ciągnącej się wzdłuż ul. Przejazd (Tuwima) aż do ul. Dzikiej (Sienkiewicza), Zgromadzenie Majstrów Tkackich, wystawiło własną siedzibę, zaprojektowaną przez budowniczego B. Witkowskiego. Dom był parterowy, murowany, kryty dachówką. W budynku mieściły się dwie sale posiedzeń i archiwum Zgromadzenia. Prawą stronę domu dzierżawił opiekun posesji, który jednocześnie prowadził tu restaurację.

W pomieszczeniach „Meisterhausu" oprócz zebrań członków Zgromadzenia, odbywały się również zabawy taneczne, nazywane podówczas „balami obywatelskimi". Koncertowały tu także różne orkiestry.

Na starym szkicu z 1858 roku, przedstawiającym ówczesny dom Majstrów Tkackich, na zapleczu budynku widnieje obszerny ogród. Służył on w lecie za miejsce publicznych festynów, urozmaicanych muzyką i puszczaniem ogni bengalskich.

W 1877 roku część parceli Zgromadzenia przyległą do ul. Sienkiewicza (dziś plac Komuny Paryskiej), odgrodzono i urządzono na niej plac do ćwiczeń gimnastycznych, wyścigów kolarskich oraz ślizgawkę.

Niepokaźny Dom Majstrów z 1839 roku z upływem czasu okazał się zbyt szczupły na potrzeby rozwijającego się Zgromadzenia. Stąd też powzięto decyzję budowy nowego domu przy ul. Przejazd nr 3. Budynek ten miał być zarówno reprezentacyjną siedzibą Zgromadzenia, jak i zapewniać mu stały dochód z odnajmowanych pomieszczeń.

Nowy dom Zgromadzenia Majstrów Tkackich stanął w 1911 roku. Pod jego budowę wykarczowano sporą połać ogrodu. W okazałym gmachu część parterowych pomieszczeń zajął zarząd Zgromadzenia, resztę zaś wydzierżawiono. Mieściła się tam restauracja „Tivoli". Na piętrze zaś otwarto reprezentacyjne kino „Luna" (dziś „Wisła").

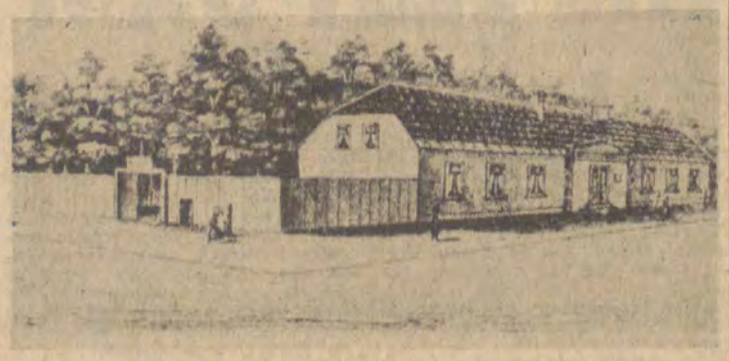

Stary „Meisterhaus", tkwiący w najruchliwszym punkcie miasta, u zbiegu ulic Piotrkowskiej i Przejazdu, po przeniesieniu się Zgromadzenia Majstrów Tkackich do nowej siedziby, został wyburzony. Na jego miejscu stanął w 1911 roku dom czynszowy, architektonicznie nieciekawy.

Z dawnego ogrodu majsterskiego, miejsca wypoczynku i rozrywki ówczesnych mieszkańców Łodzi, pozostało zaledwie kilka starych drzew, rosnących obok resturacji „Tivoli".

WACŁAW PAWLAK

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Zam. 2294. U-3. Nr indeksu 37006/26762.

ODGŁOSY

WYDANIE SPECJALNE
Z OKAZJI TRZYDZIESTOLECIA ISTNIENIA ŁÓDZKIEGO ODDZIAŁU ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Przyszły Dom Literatury — ul. Piotrkowska róg Próchnika
Foto A. WACH

JERZY WAWRZAK
prezes Łódzkiego Oddziału ZLP

„...PIĘKNO JEST NA TO, ŻEBY DO PRACY ZACHWYCAŁO"

Pisarze łódzcy, zrzeszeni w Związku Literatów Polskich, obchodzą trzydziestolecie działalności Oddziału. Skromny to jubileusz, jeśli wejrzeć na wielowiekowy rodowód literatury polskiej. Ale ta skromna rocznica jest zarazem brzemienna w fakty, które wiele mogą powiedzieć. Choćby i to, że istnienie silnego środowiska pisarskiego w Łodzi stało się możliwe dzięki rewolucji społecznej w Polsce w roku 1945 i że jest potwierdzeniem jej zwycięstwa.

Nie znaczy to oczywiście, że wcześniej była tutaj kulturalna pustynia. Za Reja łódzkiej literatury nieprzypadkowo uważany jest **Oskar Flatt**, który już w roku 1853, a więc w początkach tworzącego się tu przemysłu, dał pierwszy opis miasta, na tyle rzetelny, że jego książka uchodzi do tej pory za wzór pracy źródłowej i sięgnąć do niej musi każdy, kto chce zrozumieć specyfikę Łodzi i jej robotniczy rodowód. Jednakże po Flatcie musi Łódź długo czekać na swego autentycznego piewcę.

W tym przedłużającym się antrakcie nie brak wprawdzie prób tworzenia środowiska literackiego, ale w ówczesnych warunkach społecznych skazane są one z góry na niepowodzenie.

Sytuacja zmienia się z chwilą odzyskania przez Polskę niepodległości. Fabryczne miasto znajduje wreszcie swoich autentycznych przedstawicieli w literaturze. Pierwszym z nich jest **Julian Tuwim**, który już w roku 1911 zadebiutował na kolumnie poetyckiej „Gazety Polskiej" i teraz, mieszkając wprawdzie w Warszawie, patronuje poczynaniom młodych pisarzy w swoim rodzinnym mieście. A są to lata obiecujących debiutów: krystalizuje się talent **Światopełka Karpińskiego**, zwracają na siebie uwagę wiersze **Mariana Piechala** i **Grzegorza Timofiejewa**. Wielu pisarzy, jak choćby autor tomu wierszy „Sadze i złoto", **Witold Wandurski**, łączy uczestnictwo w literaturze z działalnością polityczną w ruchu komunistycznym. Kiedy Wandurski musi uciekać z kraju, znajdzie godnego następcę: oto objawi się w Łodzi autentyczny poeta-robotnik, **Antoni Kasprowicz**, który znajdzie poparcie Tuwima i przy jego finansowej pomocy opublikuje zbiór wierszy „Słońce za murem".

A przecież trudno pominąć twórczość Mieczysława Brauna, autora tomów „Rzemiosła" i „Przemysły", który jako jeden z pierwszych w literaturze polskiej stara się wprowadzić do poezji tematykę ludzkiej pracy. Trudno nie wymienić członka grupy „Meteor", utalentowanego poety, **Kazimierza Sowińskiego**. Nie można także puścić w niepamięć łódzkich lat **Mieczysława Jastruna**, który pracując jako nauczyciel, w latach trzydziestych ogłasza dwa pierwsze tomy swoich wierszy.

W tym burzliwym czasie tworzenia się środowiska literackiego dominują w Łodzi poeci, ale godne odnotowania są także próby prozatorskie **Jerzego Zawieyskiego**. Próbuje swoich sił w nowelistyce Rafał Len i w powieści **Władysław Pawlak**, a są to pisarze w Łodzi urodzeni i uważający ją za miasto warte ich trudu.

Toteż wydana w połowie lat trzydziestych antologia **Ludwika Stolarzewicza**, poświęcona łódzkiej literaturze, obok sporego pakietu utworów o polskim Manchesterze, przynosi bibliografię, na którą składa się długa lista książek napisanych przez łodzian.

Ma zresztą miasto ambicje odgrywania ponadregionalnej roli w literaturze polskiej, o czym świadczą przyznawane od 1927 roku nagrody, którymi wyróżniono kolejno: **Aleksandra Świętochowskiego, Juliana Tuwima, Zofię Nałkowską, Aleksandra Brücknera i Andrzeja Struga**. Podnosiło to jego kulturalny prestiż, chociaż nie rozstrzygało o obliczu: decydująca była działalność pisarzy miejscowych.

Wybuch drugiej wojny światowej przerwał te ambitne próby miejscowych pisarzy. Wielu z nich, jak choćby **Światopełek Karpiński, Mieczysław Braun, Rafał Len** ginie z rąk okupanta, inni muszą się ukrywać, ale, jak wydający konspiracyjną gazetę **Grzegorz Timofiejew**, nie przerywają literackiej działalności.

Wyzwolenie zastaje środowisko pisarskie Łodzi rozbite i rozproszone. Tym, którzy przetrwali tu lata wojny, zdawać się może, że literatura, tak krwawo doświadczona, nigdy już nie znajdzie w Łodzi siedliska. Ale pierwsze dni nowej rzeczywistości przynoszą radykalną odmianę.

Przede wszystkim wracają do rodzinnego miasta łodzianie: **Kasprowicz, Piechal, Timofiejew**. Dołączają do nich pisarze, którzy w okresie międzywojennym także wchodzili w związki z Łodzią, a więc przede wszystkim **Jastrun**, ale także **Nałkowska, Broniewski, Gojawiczyńska**. Wkrótce okaże się, wobec zniszczeń Warszawy, że Łódź predestynowana jest pełnić rolę kulturalnej stolicy kraju. Nie jest to tylko, jak bywa często, metafora, mająca uzmysłowić fenomen, że oto najbardziej zaniedbany ośrodek wielkoprzemysłowy staje się nieoczekiwanie metropolią, która dyktuje mody literackie, której ruch umysłowy wywiera decydujący wpływ na intelektualne życie kraju. Przyszły lata twórczego fermentu, sporów ideowych i artystycznych, gorączkowej pracy. Z tym „złotym wiekiem" pierwszych powojennych miesięcy związane jest powstanie Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich, ściślej Związku Zawodowego Literatów Polskich, bo tak brzmiała wówczas jego nazwa. Nowo powstały oddział liczył w roku 1945 blisko 60 członków, w kilka miesięcy później skupiał w swych szeregach ponad 100 pisarzy, wśród których, obok czołowych piór Polski międzywojennej, spotkamy twórców, których debiut przypada już na lata nowej rzeczywistości. Dość wymienić nazwiska **Kazimierza Brandysa, Anny Kamieńskiej, Seweryny Szmaglewskiej, Andrzeja Brauna**, aby zrozumieć, że Łódź stała się miejscem udanego startu wielu pisarzy, bez których trudno dziś sobie wyobrazić współczesną literaturę polską.

Te barwne lata „stołecznej" Łodzi zostały opisane w wielu wspomnieniach, ale zaznaczyły się także dokonaniami nierównie donioślejszymi. **To właśnie tutaj ukazują się „Medaliony" Nałkowskiej, „Miasto niepokonane" Kazimierza Brandysa, „Dymy nad Birkenau" Szmaglewskiej, „Pożegnania" Stanisława Dygata.** To właśnie tutaj działają wydawnictwa: „Czytelnik", „Książka" oraz „Wiedza", oficyny tak bardzo zasłużone dla rozwoju kultury w naszym kraju. **To właśnie ze złotym okresem łódzkim związane są kolejne tomy poetyckie Jastruna, Jana Śpiewaka, Stanisława Piętaka, Włodzimierza Słobodnika, a Adam Ważyk ogłasza niezastąpioną do dziś „Antologię poezji francuskiej". Z tamtego też czasu pochodzi znakomita antologia Jastruna i Seweryna Pollaka, zatytułowana „Dwa wieki poezji rosyjskiej".**

Widoczny wpływ na rozwój literatury, rozumienie jej funkcji i społecznych zadań, wywarł ukazujący się w Łodzi pod redakcją **Stefana Żółkiewskiego** tygodnik „Kuźnica" skupiający wokół siebie plejadę pisarzy i krytyków marksistowskich. To właśnie na jej łamach toczyła się walka o radykalizację poglądów polskiej inteligencji, to właśnie „Kuźnica" rzucała hasło „wielkiego realizmu" identyfikując je z wymogami dokonującej się rewolucji społecznej. Była jednocześnie otwarta dla nowatorskich poszukiwań artystycznych, toteż, zwłaszcza w swym początkowym, łódzkim okresie, przyczyniła się do spopularyzowania wybitnych osiągnięć literatury radzieckiej i postępowej literatury Zachodu.

Równolegle działał w Łodzi, redagowany przez **Jana Aleksandra Króla**, tygodnik „Wieś". Także i to czasopismo, adresowane do wiejskiej inteligencji, aktywnie uczestniczyło w dokonujących się przemianach, a jego dział reportażu przynosi wierny zapis troski o nowe oblicze wsi. Tygodnik ten interesuje nas także dlatego, że z jego działalnością związane są nazwiska **Tadeusza Chróścielewskiego, Wiesława Jażdżyńskiego, Tadeusza Papiera**, a więc pisarzy, którzy nie ulegli późniejszej fali migracyjnej.

Nie sposób zresztą wymienić wszystkiego, co działo się w tych pierwszych powojennych latach, choć przecież na życzliwą wzmiankę zasługuje działalność „Szpilek" i związanego z nimi bez reszty klubu „Fraszka", tyle razy opiewanego w pysznej anegdocie. Przypomnijmy więc, że już wtedy **Jan Huszcza** ogłasza „Łbem o ścianę" oraz „Impertynencje", **Leon Gomolicki** „Dziennik pobytu Adama Mickiewicza w Rosji", **Władysław Rymkiewicz** „Ludzi bez jutra" i „Rafała z lasu" i że z takim właściwie dorobkiem łódzkie środowisko literackie wkracza w nowy dla siebie okres masowej emigracji pisarzy do Warszawy, w ślad za przenoszącymi się tam instytucjami kulturalnymi, czasopismami i wydawnictwami.

Jest rok 1949, rok szczecińskiego zjazdu Związku Literatów. Oddział Łódzki kurczy się do 50 pisarzy, wkrótce będzie ich jeszcze mniej, bo poza lokalną rozgłośnią Polskiego Radia kończą się możliwości publikacji. Na miejscu zostają więc tylko najwierniejsi, najwytrwalsi, dla których Łódź staje się miastem rodzinnym z wyboru.

Huszcza ogłasza „Wiersze", Rymkiewicz „Ziemię wyzwoloną", Gomolicki tom szkiców „Mickiewicz wśród Rosjan". Wkrótce jednak zaznaczy się dopływ nowych sił: osiada w Łodzi Jan Sztaudynger, przenoszą się: Stanisław Czernik i Jan Koprowski, zwiąże się z miastem Wanda Karczewska. Pojawi się też fala łódzkich debiutów: Wacław Biliński publikuje „Szóstą baterię", Papier opowiadania „Morga ziemi", Edward Szuster powieść „Płonący krzak", Jażdżyński publicystyczną książkę „W powiatowej Polsce", Jadwiga Turszańska-Obarska tom opowiadań „Znajomi z Radłowa". Objawią się także poeci: Chróścielewski tomem „Najmilsze strony", Jan Czarny wyda swój wybór „Fraszek", Maciej Józef Kononowicz jako autor „Stacji lirycznych", Igor Sikirycki ogłosi poezje „Wołanie drzew". Równolegle ożywioną działalność rozwijają pisarze występujący, zrzeszeni w Kole Młodych,

Dalszy ciąg na str. III

STANISŁAW CZERNIK

ANTENACI

Mam ja także posągi w domu. M a m — to znaczy,
Że nie wziąłem, nie wniosłem, ni odziedziczyłem
Nie wyżebrałem.
M a m — i tego nikt nie przeinaczy.
Mam: jeżeli posągi, posągi stworzyłem.

T a k ż e — to znaczy: więcej niż cienie z marmuru,
Niż brązy zzieleniałe i pleśnią leciwe.
Moje rzeźby stanęły z pieśniami do wtóru
I kamienne w mej myśli, słowa dają żywe.

Mam ja w domu posągi. W d o m u — a więc w sobie,
Tam jest moje mieszkanie, sala, gabinety
A właściwie chatyna mała, taka sobie
Ledwie sień, ledwie izba!
Nie powiem: niestety.

W tej chacie mam posągi. Antenatów, przodków.
Nie z metryk. Nie z legendy. Tylko z wyobraźni.
Nie muzealnych wojów wśród tarcz, mieczów, podków.
Lecz chłopów zmartwychwstałych z pańszczyźnianej kaźni.

Stoją w twardej sukmanie, zgrzebnej przyodziewie.
Popiersia ich rzeźbione skrwawionym korbaczem.
Maczugi czekające, skamieniałe w gniewie.
Mężowie płaczą klątwą, kobiety klną płaczem.

Antenaci. Praszczury: Pracowity, Chudy,
Tamten Czerń się nazywa. A inny — Hołota.
Ich lat tysiąc — głód, wojna, mór i kurne budy.
W tysiącleciu niewoli ich krew błyszczy złota.

A na końcu tej czerni wiekowej: Poeta.
Wnuk, prawnuk. To coś więcej niż złote herbarze
A jeśli ich się pytać dzisiaj: jak się zwieta
Wymówią moje imię. W mej twarzy ich twarze.

Antenaci! Przodkowie! Cóżem odziedziczył?
I co wziąłem z gołębia naturą do głębi?
Gniew wziąłem. Gniewem będę wasze krzywdy liczył,
Bo licząc nie doliczę się prawa gołębi.

TRZYDZIEŚCI LAT

Być pisarzem powinno znaczyć zawsze to samo, co znaczy odkąd literatura istnieje: być głosem świata; tego, który nas otacza i tego, w którym człowiek żyje, czuje, myśli.

JAN PARANDOWSKI

Jubileusz trzydziestolecia istnienia Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich jest kolejnym momentem wnoszącym w życie literackie naszego miasta atmosferę ożywienia. Jest ono zresztą w roku bieżącym aktywniejsze chyba niż w latach poprzednich, bo i wybory nowego zarządu je animowały, i zjazd poznański, wizyty zagranicznych kolegów po piórze, następnie stałe imprezy w rodzaju Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji, wreszcie zaś sprawy bez wątpienia najprzyjemniejsze: nagrody i wyróżnienia, spośród których najwyższa rangą była nagroda ministra kultury i sztuki dla Władysława Rymkiewicza.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

ŁÓDŹ LITERACKA DZISIAJ

Jubileusz trzydziestolecia oddziału, najbardziej uroczyste niewątpliwie wydarzenie sezonu, prócz okazji do przemówień i odznaczeń, do wspomnień, podsumowań i specjalnych wieczorów autorskich, prowokuje również do zadania pytania może najistotniejszego: jaki jest stan literatury w Łodzi dzisiaj? Nie chodzi przy tym o akcentowanie regionalizmu czy przypominanie starych sporów o kulturalny dystans Łodzi wobec innych dużych miast polskich. Chodzi raczej o rzeczową informację, co pisarze polscy zrzeszeni w Oddziale Łódzkim wnoszą aktualnie do narodowego skarbca literatury. Nie wytworzyli oni przecież jakiejś odrębnej

szkoły literackiej, nie wnoszą gromadnie przełomowych czy nowatorskich propozycji artystycznych, jedynym istotnym wyróżnikiem jest więc wyróżnik formalny: fakt zamieszkania w Łodzi, nawet nie urodzenia, jako że część twórców przybyła z bogatym już doświadczeniem życiowym i artystycznym, kończąc tu wojenną odyseję. Mamy więc do czynienia ze środowiskiem zintegrowanym organizacyjnie przede wszystkim, wspólnym mianownikiem jest fakt zamieszkania w Łodzi oraz wynikająca stąd specyfika tematyczna, często zresztą funkcjonująca na zasadzie wygrywania jedynie realiów. W tej sytuacji „łódzkość" pisarza (z której notabene nieraz starano się uczynić swego rodzaju fetysz) o niczym w gruncie rzeczy nie rozstrzyga, liczą się przecież i tak nade wszystko indywidualne dokonania twórcze, z których dopiero wyłania się obraz środowiska czy wizja okresu. Tak więc i szkic ten — by oddać mógł sprawiedliwość środowisku — powinien być chyba sumą kolejnych portretów literackich. Ale niemożliwe jest nie tylko to niestety, rzeczą niemożliwą jest nawet wymienienie większości nazwisk. Sygnalizując tedy stan ogólny wypadnie skoncentrować się na ważniejszych tendencjach.

Zacznę od przypomnienia niezbędnych informacji typu statystycznego: w drugim co do wielkości mieście naszego kraju znajduje się trzeci liczebnie oddział, zrzeszający aktualnie 56 pisarzy i dysponujący zapleczem w postaci 25 członków koła młodych. Przeważają tradycyjnie mężczyźni, średnia wieku statystycznego literata jest stosunkowo wysoka.

Każde środowisko literackie, aby mogło normalnie funkcjonować, musi mieć możliwość publikacji utworów: dysponować pismem literackim oraz oficyną wydawniczą. Środowisko łódzkie ma do dyspozycji kolumnę literacką w tygodniku społeczno-kulturalnym oraz Wydawnictwo Łódzkie. To ostatnie, zbliżające się również do jubileuszu, jednakże o dziesięć lat skromniejszego, opublikuje wkrótce tysięczną pozycję. Wspominam o tym, by uświadomić ilość książek pisarzy łódzkich opublikowanych w Wydawnictwie Łódzkim — stanowią one trzy czwarte dotychczasowej produkcji wydawniczej. Podkreśleniem tych najściślejszych więzów jest ze strony Wydawnictwa nowa seria, oparta na wznowieniach najciekawszych pozycji pisarzy łódzkich, poprzedzonych tym razem wstępem krytycznoliterackim (pierwsze książki ukażą się wiosną przyszłego roku). Pewne zwiększenie możliwości wypowiedzi zapewnia utworzenie w Łodzi zespołu filmowego „Profil" (istnieje duże zapotrzebowanie na nowelę filmową o tematyce współczesnej). Niektórzy pisarze uprawiają także formy użytkowe na potrzeby radia i telewizji (słuchowiska, adaptacje itd.)

Aktywność twórcza środowiska wyraża się zasadniczo w prozie i poezji, znacznie skromniej w dramacie i jeszcze skromniej chyba w zakresie krytyki literackiej. Obrazu tej twórczości nie da się, rzecz prosta, zamknąć w gotowych formułach i schematach, tym bardziej, że to wszystko, co się aktualnie dzieje i powstaje, nie stanowi przecież jeszcze układu zamkniętego.

Najogólniejszy problemowy ogląd tej prozy pozwala wyodrębnić kilka obszarów najczęściej odwiedzanych. A więc tradycyjny już temat, niezwykle często pojawiający się w literaturze minionego trzydziestolecia: rozrachunek z wojną

i okupacją oraz wpływ wojny na sytuacje i postawy w okresie późniejszym. Sprawy owe ujmowane są rozmaicie, od konkretnych opisów batalistycznych, poprzez ujęcia pamiętnikarskie i dokumentarne, do spojrzeń parabolicznych i filozoficznych. Najciekawsze artystycznie wydają się właśnie ujęcia moralistyczne, różnego rodzaju „torturowanie pamięci", w obrębie którego najdojrzalej chyba wypadły nowe wcielenia surowych i konsekwentnych moralnie greckich mitów w powieściowej erupcji Leona Gomolickiego. Takie oto, pretekstowe niejako, funkcjonowanie problematyki wojennej we współczesnych dokonaniach prozaików łódzkich nie jest li tylko interpretacją konkretnego fragmentu dziejów ludzkości, ale poszukiwaniem wymowy uniwersalnej, stanowi poważną inspirację intelektualną. Tematyka owa uległa w ostatnich latach (proporcjonalnie zresztą do natężenia w całej prozie polskiej) pewnemu ograniczeniu, wojna coraz częściej pojawia się w literaturze jako aluzja, przelotne wspomnienie, czy punkt wyjścia do spraw natury ogólnohumanistycznej. Wyraził to zresztą w jednym z opowiadań Włodzimierz Krzemiński ukazując przy pomocy nieskomplikowanej fabuły, jak spotykający się corocznie kombatanci stają się z wolna obcymi ludźmi. Problem wojny nie znika jednak z pracowni pisarzy, oto Bernard Sztajnert na przykład ma na warsztacie „Księgę ojca", Krzemiński zaś pracuje aktualnie nad powieścią „Żelazne liście".

W twórczości niektórych pisarzy wojna pojawia się jedynie fragmentarycznie, stanowi jeden z aspektów szeroko ujmowanego niepokoju moralnego, by nie rzec wręcz metafizycznego, niepokoju, który Wanda Karczewska tak określiła: „Czy sen nasz życiem prawdziwym człowieka, a my koszmarnym snem mściwego boga?". Zdaję sobie sprawę z nieprecyzyjności tej formuły, ale jak inaczej — na doraźny użytek — określić te poszukiwania wielu autorów, które — przy zastosowaniu najrozmaitszych zresztą technik narracyjnych — zmierzają do określenia najgłębszych źródeł naszego człowieczeństwa, ukazują całą niebanalność i złożoność istnienia, wymykającą się ciągle wszechogarniającym już, zdawałoby się, definicjom.

Najobficiej reprezentowana jest współczesna problematyka obyczajowa, przewijająca się w rozmaitych aspektach przez powieści i opowiadania większości twórców. Dostarczają oni nowych wersji odwiecznego tematu miłości (i jako eros, i jako caritas), tropią nowoczesne wcielenia „dulszczyzny", żegnają „stary" odchodzący świat, próbują odpowiedzieć na zasadnicze pytania epoki (czy też jak mawiał Wańkowicz, podepoki) poprzez prezentację różnych postaw i wyborów życiowych bohaterów. Penetrują wszelkie środowiska, nie stroniąc i od marginesu społecznego, którego prezentacja jest między innymi wyrazem tęsknot do odkonwencjonalizowania naszego życia. Uprawiają nawet coraz rzadsze we współczesnej literaturze sagi rodzinne. W realizacji owych tematów posługują się dyskretną groteską, deformacją, czy ujęciami wręcz sensacyjnymi.

Dla sytuacji prozy polskiej lat ostatnich najbardziej znamienny jest niewątpliwie nurt wiejski. Na gruncie łódzkim ma on jedynego w zasadzie przedstawiciela — Ryszarda Binkowskiego, opowiadającego o trudnej i skomplikowanej kulturowo drodze wiejskiego chłopca do miasta. W stawianiu problemu zbliża się Binkowski trochę do postawy Juliana Kawalca, ale inaczej rozkłada akcenty: żmudna droga jego bohatera do miasta nie kończy się karierą. Dziwić nieco może fakt, iż tematu wiejskiego nie podejmuje więcej piór w mieście, w którym przez lata całe ukazywała się „Wieś" i działali członkowie Oddziału Wiejskiego ZZLP. W większości wszakże znaleźli się oni tu tranzytem jeno, a wielkomiejskie tradycje Łodzi nie sprzyjają — jak widać — podejmowaniu literackich spraw wsi. Z pisarzy skupionych ongiś wokół „Wsi" tematykę wiejską (poprzez tropienie Borynowych mitów) uprawia w dalszym ciągu Tadeusz Papier.

Pisarstwo polityczne, ostro i szybko reagujące na aktualne życie polityczne, reprezentuje przede wszystkim dorobek prozatorski Jerzego Wawrzaka. Z uporem i konsekwencją twórczość jego komentuje problemy pracy i władzy, prowokuje do dyskusji. Sprawy te kontynuuje powieść „Archipelag Polonezja", wyróżniona niedawno w konkursie literackim CRZZ.

Z innych tendencji godzi się wspomnieć samorodną twórczość Antoniego Kasprowicza (ten najbardziej chyba „łódzki" pisarz, który w roku przyszłym obchodzić będzie pięćdziesięciolecie twórczości, znajduje się w dobrej formie pisarskiej — ukończył właśnie powieść), zainteresowania naukowo-fantastyczne, czy uprawianie powieści ze świata sztuki, jak określa Julian Krzyżanowski utwory poruszające szeroko rozumianą problematykę sztuki. Interesujące są także dokonania prozaików łódzkich w zakresie powieści historycznej.

Specyfiką życia literackiego w Polsce jest od lat wysoki poziom felietonistyki. Również i w tej dziedzinie dysponuje środowisko wypróbowanymi piórami, choć zbyt często, jak na mój gust, felieton literacki staje się zwykłą interwencją, zastępującą inne gatunki dziennikarskie.

Znacznym powodzeniem cieszy się reportaż, i to nie tylko ten interwencyjny, uprawiany przeważnie na łamach „Odgłosów". Ostrość pióra niektórych łódzkich reportażystów znana jest szeroko poza granicami naszego miasta.

Mocną stroną środowiska pisarskiego Łodzi jest satyra i to nie dlatego, iż ukazuje się tu „Karuzela", ale ze względu na poczucie humoru i pisarską sprawność przedstawicieli tej dziedziny literatury. Istnieje zresztą w tym zakresie dobra tradycja, rzecz w tym jednak, by w kręgach młodzieży literackiej znaleźli się godni kontynuatorzy.

Choć aktualnie przeważają w dorobku środowiska dokonania prozatorskie, jest jednak Łódź tradycyjnie już po wojnie silnym ośrodkiem poetyckim, nie tylko z racji organizowania Festiwalu Poezji oraz Łódzkiej Wiosny Poetów. O randze Łodzi poetyckiej decydują zarówno wybitne osiągnięcia poetów starszych generacji Mariana Piechala, przedstawicieli pokolenia średniego, a także stosunkowo licznej grupy poetów młodszych i najmłodszych, nie należących jeszcze do Związku Literatów Polskich. Podobnie jak w przypadku prozy, również i tu przewijają się niemal wszystkie najistotniejsze tendencje ogólnopolskie.

W okresie powojennym zauważyć można szereg inicjatyw młodzieży poetyckiej w dążeniu do grupowego wypowiadania artystycznego „credo", od głośnej swego czasu publikacji „Różnie idąc", poprzez Klub Łódzkich Aktywistów Poezji, Prowincję 58, grupę „Centrum" czy propozycje Nowego Romantyzmu (nie licząc oczywiście najprzeróżniejszych jednodniówek).

Spośród tendencji najczęściej występujących odnotować trzeba usprawnianie w poezji „tematów odwiecznych", a więc ujęcia klasycyzujące, twórczość prezentującą „uroki spraw świeżych": odkrywanie świata na nowo, zachłystywanie się nim, wciąż żywotne inspiracje poezji proletariackiej, pogłosy autentyzmu, oddziaływanie wreszcie poezji anglosaskiej, francuskiej i radzieckiej. Czytelnikowi pragnącemu dokładnie przyjrzeć się stanowi aktualnemu polecam najnowsze (sprzed miesiąca) wydanie „Rzeczy Poetyckiej — Środowisko", prezentującej cały szereg najbardziej typowych zjawisk.

Niewielu twórców zwraca się w stronę dramatu, jak i w kierunku krytyki teatralnej. Jest to zastanawiające o tyle, że miasto nasze stanowi przecież silny ośrodek teatralny, który powinien być dla pisarzy tym dodatkowym bodźcem, jakiego pozbawione są zazwyczaj mniejsze skupiska literatów.

Na uwagę zasługuje również fakt, iż pokaźna liczba pisarzy zajmuje się także twórczością dla dzieci i młodzieży.

Stosunkowo wiele zasług położyli przedstawiciele Łodzi literackiej w dziedzinie przyswajania czytelnikowi polskiemu wybitnych dzieł literatur obcych (przede wszystkim z literatur narodów Związku Radzieckiego, Jugosławii, literatury francuskiej).

Na brak krytyki literackiej narzeka się w środowisku od dawna. Aktualnie uprawia ją kilku twórców, ale z reguły na marginesie jeno twórczości oryginalnej, oraz — od czasu do czasu — wypowiadają się w tej dyscyplinie przedstawiciele humanistyki uniwersyteckiej. Najczęściej jednak jest to zwykła krytyka recenzencka, o wiele rzadziej zdarzają się wypowiedzi postulatywne.

Najlepszym zapewne miernikiem oficjalnego uznania twórczych dokonań środowiska są nagrody literackie, rozmaitych zresztą fundacji, przyznane autorom łódzkim w minionym trzydziestoleciu. Otrzymała je trzecia część pisarzy zrzeszonych w Łódzkim Oddziale ZLP.

W wywiadzie udzielonym przedstawicielowi „Kalejdoskopu" prezes Jerzy Wawrzak zgodził się ze swym rozmówcą, iż nie wszystkie okresy w minionym trzydziestoleciu jednakowo były pomyślne dla życia literackiego w naszym mieście. Jak więc wygląda sytuacja dziś? Jeśli napiszę, że bardzo dobrze, może to zostać poczytane na rachunek chwili uroczystej, wypada więc stonować tę ocenę i stwierdzić nieco skromniej, iż łódzkie środowisko literackie należy do najsilniejszych w kraju nie tylko w sensie poważnego potencjału twórczego wymiernego liczbą aktywnych pisarzy, ale również w zakresie indywidualnego dorobku poszczególnych członków oddziału. Ten ostatni element zwłaszcza wydaje mi się istotny, on to bowiem najskuteczniej podnosić może rangę środowiska poprzez wytwarzanie atmosfery twórczej konkurencji.

Nic bowiem nie straciły na aktualności słowa profesora Jana Szczepańskiego, który rozważając kilkanaście lat temu szanse środowiska literackiego Łodzi pisał, że twórcza atmosfera **„nie jest wynikiem działania władz czy urzędów, lecz jest emanacją tego, co sami twórcy mają do powiedzenia, jest pochodną ich zmagań z problemami, które chcą rozwiązać, ich dążeń do znalezienia wyrazu dla niepokoju, jaki ich ogarnia wobec spraw epoki, w której żyją".**

Ekslibrisy ze zbiorów dr Janusza Dunina

JERZY WAWRZAK
prezes Łódzkiego Oddziału ZLP

„...PIĘKNO JEST NA TO, ŻEBY do pracy ZACHWYCAŁO"

Dalszy ciąg ze str. I

gdzie rej wodzą poeci. To wówczas spotkamy się po raz pierwszy z nazwiskami: **Tadeusza Gicgiera, Bohdana Drozdowskiego, Bernarda Sztajnerta, Jarosława Marka Rymkiewicza, Jerzego Walenczyka.** Wkrótce staną się oni czołowymi pisarzami młodego pokolenia.

Zaczyna tu właśnie wychodzić periodyk „Łódź Literacka", jeszcze jedna efemeryda, która musi zawiesić swą dzia-

łalność po kilku numerach. W 1955 roku ukazuje się pierwszy numer dwutygodnika „Kronika", który odegrał ważną rolę w aktywizacji twórczej całego środowiska, popularyzował jego dorobek, umożliwił wiele wartościowych debiutów. Ambicje tego dwutygodnika, którym kierował **Jan Koprowski**, były wcale niekronikarskie. Z jego łamów padają ważkie wypowiedzi na temat polityki kulturalnej, pojawia się pogłębiona, daleka od doraźności, publicystyczna kampania o demokratyzację życia. „Kronika", choć prowadzona przez literatów, chętnie użycza gościny naukowcom i intelektualistom, zabiega o współpracę przedstawicieli innych dyscyplin sztuki i wkrótce staje się wizytówką Łodzi kulturalnej w Polsce. Po dwóch latach działalności „Kronikę" zastępują „Odgłosy" kierowane kolejno przez W. Jażdżyńskiego, W. Bilińskiego, J. Koprowskiego. Pismo to już od 18 lat wiernie towarzyszy naszemu środowisku.

W międzyczasie, z inicjatywy **Stanisława Czernika**, powstaje lokalna oficyna wydawnicza, znana dziś jako Wydawnictwo Łódzkie. Był to rzeczywisty przełom, którego skutki całe środowisko odczuwa do dziś, jeśli uprzytomnić sobie, że na tysiąc pozycji, które się w tej oficynie ukazały, ponad 650

wyszło spod piór członków naszego oddziału. Jest to widomy dowód naszej twórczej aktywności, a wszak książki opublikowane w Łodzi, to tylko część naszego pisarskiego dorobku.

Już w pierwszych latach istnienia Wydawnictwa okazało się, wbrew przysłowiu, że szuflady łódzkich pisarzy nie są puste. Na ogólnopolskim konkursie literackim, którym łódzka oficyna zainaugurowała niejako swą działalność, nagrodzone zostały powieści członków naszego oddziału: „Ucieczka" **Leona Gomolickiego** i „Odejście" **Wandy Karczewskiej**. Książki te otwierają zarazem długą listę utworów z wawrzynem, które stały się udziałem łódzkich pisarzy. Przypomnijmy więc laury tylko najważniejsze: powieści — „Ręka" **Stanisława Czernika**, „Świętokrzyski polonez" **Wiesława Jażdżyńskiego**, „Nagrody i odznaczenia" **Wacława Bilińskiego**, „Sypała brzezina złotem, czerwienią" **Ryszarda Binkowskiego**, „Linia" **Jerzego Wawrzaka**, „Czas pojedna, trawa porośnie" **Władysława Rymkiewicza**, tom wierszy „Stara pijalnia" **Jana Huszczy**. Wysokie uznanie zdobędzie także twórczość **Mariana Piechala**, również zasłużonego organizatora życia literackiego w Łodzi.

A przecież nie tylko te, najbardziej spektakularne osiągnięcia, decydują o randze naszego środowiska w Polsce i roli, jaką spełnia ono w Łodzi jako sprawca wielu istotnych wydarzeń kulturalnych i siewca twórczego fermentu. Jest bowiem godne odnotowania, że aktywności artystycznej pisarzy towarzyszy nie mniej od niej ważna aktywność społeczna, zaangażowanie w sprawach miasta i w sprawach kraju.

Wróćmy jednak do chronologii. Rok 1957, ważny nie tylko ze względu na temperaturę życia ideowego, która znalazła swój wyraz w literaturze obrachunkowej, jest zarazem czasem licznych łódzkich poetyckich debiutów. **J. M. Rymkiewicz** ogłasza tom „Konwencje", **Zbigniew Kosiński** „Port egzotyczny", **Jerzy Walenczyk** „Wino półsłodkie", **Janusz Skoszkiewicz** „Na krawędzi czasu", **Tadeusz Gicgier** „Garść ziemi", **Mirosław Ochocki** „Nie ma Jerzego". Ukazał się także tom bajek **Horacego Safrina** „Ośla szczęka". Ten rzut wyznawców Apollina przesądził o znaczeniu Łodzi jako ośrodka poetyckiego miejsca późniejszych 10 ogólnopolskich festiwali poezji, organizowanych od 1966 roku. W międzyczasie łódzka szkoła poezji wzbogaca się o nowe nazwiska. W roku 1958 **Bernard Sztajnert** ogłasza tom „Chwila ahistoryczna", a w następnym sezonie **Jerzy Wilmański** „Poemat niedoskonały", **Włodzimierz Piotrowski** „Drogi niepokoju", **Roman Loboda** „Szósty smak" Do literatury polskiej wkracza pokolenie 1960. **Marek Wawrzkiewicz** debiutuje „Malowaniem na piasku", **Józef Henryk Wiśniewski** ogłasza „Miłości nasze". Dołącza do nich **Konrad Frejdlich** tomikiem „Alert" i **Mieczysław Michał Szargan** „Brzegiem barwy Przedłużeniem tej fali pokoleniowej, choć zrodzone w opozycji do niej, staną się debiuty **Andrzeja Biskupskiego, Jerzego Jarmołowskiego i Mieczysława Kucnera.** Przydały one łódzkiej szkole poetyckiej nowych sił witalnych, zwłaszcza że Biskupski i Kucner mają także ambicje teoretyczne i równolegle uprawiają eseistykę, która zawsze była słabszą stroną naszego środowiska, choć nie wolno nam pominąć prac Czernika, Piechala, Koprowskiego czy Budreckiego.

Proza, mimo ekspansji poetów, nie pozwoliła się zdominować. Przypomnijmy tylko: w roku 1958 debiutuje powieścią „Aspazja" **Andrzej Ostoja-Owsiany**, z kolei pojawią się książki **Włodzimierza Krzemińskiego, Henryka Czarneckiego, Ewy Ostrowskiej, Honoraty Chróścielewskiej, Eugeniusza Iwanickiego, Edwarda Kopczyńskiego, Andrzeja Makowieckiego, Marii Siwińskiej, Teresy Gabrysiewicz, Karola Obidniaka.** Rozwinie się talent **Apoloniusza Zawilskiego**, który z memuarysty stanie się zdecydowanym beletrystą. **Zofia Lorentz** podejmie cykl cieszących się ogromnym powodzeniem książek dla młodzieży. **Zygmunt Fijas** zaskoczy wszystkich pięknym tomem prozy poetyckiej „Z notatnika prowincjusza".

Są to przecież lata prawdziwych dokonań. **Władysław Rymkiewicz** pisze swoją łódzką trylogię „Trzystu pod Dobrą", „Widok z Księżego Młyna" oraz „Czas pojedna trawa porośnie", która wspólnie z wcześniejszą od nich „Ucieczką z Ziemi Obiecanej" złoży się na portret miasta w przekroju historycznym. Wysoką rangę osiągnie twórczość **Leona Gomolickiego**, choćby w takich powieściach jak „Uprowadzenie Baucis", „Kiermasz", „Czasobranie" czy „Wydarzenie". I on spłaci swój dług miastu tomem opowiadań „Wieczory nad Łódką" oraz powieścią „Białe runo", którą bez wahania zaliczyć można do najwybitniejszych książek współczesnych poświęconych tematyce pracy. Z powszechnym uznaniem krytyki spotkają się powieści **Wandy Karczewskiej** „Wizerunek otwarty" oraz „Głębokie źródła". **Tadeusz Papier**, wierny tema-

tyce wiejskiej, pisze „Powtórną śmierć Boryny" oraz „Dziadka i różę". **Wiesław Jażdżyński** eksplorujący w swojej twórczości dramat ostatniej wojny ogłosi pośród wielu książek „Pomnik bez cokołu" oraz „Pojednanie", które przyniesie mu nagrodę na konkursie z okazji trzydziestolecia PPR. **Edward Szuster**, który jest pisarzem podobnego nurtu, wyda powieść „Leśni" oraz „Na tropach Billa".

Zwrócą na siebie uwagę tak bardzo przesiąknięte kolorytem łódzkim powieści **Bernarda Sztajnerta** „Narodziny Brunona Bundera" i „Ulica Wilcza". Stara Łódź odżyje na kartach opowiadań **Antoniego Kasprowicza**, który nawiąże w ten sposób do tematyki swego „Poematu łódzkiego". Wpływ wielkiego miasta zaznaczy się także w powieściach **Jana Czarnego** „Albinos" i „Zacieki". Przestroi swoją muzę na nutę prozy **Skoszkiewicz, Kononowicz, Giegier, Chróścielewski, Walenczyk, Frejdlich. Ludwik Świeżawski** opublikuje cykl powieści o swym krewniaku, Arturze Grottgerze.

Reprezentowane są wszystkie style i kierunki, od tradycyjnej prozy opisowej po najbardziej wyszukane sposoby wypowiedzi autorskiej. Reprezentowane są też wszystkie gatunki i rodzaje literackie: powieść, nowelistyka, wspomnienie, esej, reportaż, felieton. Na tym tle nie powinno chyba dziwić bogactwo niesionej przez tę prozę problematyki: od romansu historycznego, poprzez science-fiction, aż po tematykę współczesną łącznie z najbardziej odpowiedzialnym jej wydaniem w postaci powieści politycznej. Takie jest nasze współuczestnictwo w tworzeniu literatury ojczystej. Taki jest nasz wkład w kształtowanie nowego oblicza Łodzi, którym staramy się zmazać dziedzictwo „złego", wyklinanego na kartach książek miasta Bartkiewicza i Reymonta. I tylu innych, którym nie dane było tutaj sprawdzić się w całej pełni.

Mówiło się tu sporo o poezji i prozie, czas więc ukazać dziedzinę z nimi tak spokrewnioną, jak dramat. Łódzkie środowisko literackie ma swego historyka teatru, jest nim **Stanisław Kaszyński**, autor monumentalnej pracy poświęconej działalności Melpomeny w naszym mieście. Listę dramaturgii otwierają: **Władysław Orłowski**, autor „Sprawiedliwości w Kioto" i „Jutro Berlin" oraz **Karol Obidniak** z „Pokojem pełnym dymu", „Dark Glory" i „Gośćmi Hotelu du Parc". Teatralny bakcyl zaszczepiony został naszemu środowisku w latach sześćdziesiątych. Wtedy to objawia się jako dramaturg **J. M. Rymkiewicz i Zbigniew Nienacki**, a za nimi podążą inni.

Z inicjatywy naszego oddziału działał w Łodzi przez kilka lat Teatr Propozycji. Była to tak istotna forma konfrontacji tekstu ze sceną, a teatr ten nie tylko uczył jak pisać, jednocześnie inspirował. I sporo sztuk poddanych tam wiwisekcji znalazło się potem w repertuarze teatrów profesjonalnych. W ten sposób możemy wiązać z dramatem nazwiska **Czarnego, Czarneckiego czy Kopczyńskiego.**

Dramaturgia, niegdyś pojęcie nierozerwalnie związane z teatrem, ma dziś, w związku z rozwojem nowych technik upowszechniania, znaczenie nieporównywalnie szersze. W naszej dobie można z powodzeniem mówić o dramaturgii radiowej, telewizyjnej czy filmowej. Radio m. in. urządziło dwa zamknięte konkursy na słuchowisko, w których triumfowali członkowie naszego oddziału. Pierwszy z nich przyniósł nagrodę Romanowi Łobodzie, w drugim wyróżniono Wiesława Jażdżyńskiego. Słuchowisko **Leona Gomolickiego** uznane było za najlepszą pozycję teatru radiowego roku. Wymieniam te nazwiska tylko przykładowo, aby zilustrować choć cząstkę kontaktów naszych pisarzy z radiem.

Kontakty z telewizją, zważywszy, że jest to muza stosunkowo młoda, nie mają tak bogatej tradycji. Niemniej wielu naszych kolegów pisze scenariusze widowisk telewizyjnych. Szczególne miejsce zajmuje tutaj twórczość Edwarda Szustra, który nawet jakby zdradził literaturę w tradycyjnym znaczeniu tego słowa na rzecz nowej techniki pisarskiej. Dramaturgię telewizyjną uprawia także **Wacław Biliński, Władysław Orłowski.**

Osobne miejsce trzeba poświęcić kontaktom z filmem, które niewątpliwie rozszerzą się po powstaniu w Łodzi zespołu filmowego „Profil". Lista pisarzy, których utwory przeniesiono już na ekran, jest wcale obszerna: znajdziemy tu nazwiska **Henryka Czarneckiego, Wacława Bilińskiego, Ryszarda Binkowskiego, Konrada Frejdlicha, Jerzego Wawrzaka,** a wkrótce **Andrzeja Makowieckiego.**

Pisząc o adaptacjach, trudno pominąć tak ważną dziedzinę, jaką jest twórczość przekładowa. To także sposób przeniesienia wartości kulturowych w obieg kultury rodzimej. Lista tłumaczy, zarówno poezji jak i prozy, jest szczególnie bogata. Otwiera ją nazwisko sędziwego **Stanisława Brucza**, tak zasłużonego dla popularyzacji poezji francuskiej. Trzymając się porządku alfabetycznego wymieńmy **Tadeusza Chróścielewskiego, Jana Huszczę, Macieja Józefa Kononowicza, Stanisława Kaszyńskiego, Marię Siwińską, Igora Sikiryckiego.** Trudno także nie wspomnieć wspaniałej karty translatorskiej w twórczości nieżyjącego już **Jerzego Wyszomirskiego**, który spolszczył sporą cząstkę najwartościowszej klasyki rosyjskiej. Wymieniam tu nazwiska tylko tych autorów, którzy mają w swym dorobku przekładowym odrębne pozycje książkowe, bo lista tłumaczy okazjonalnych pokryłaby się zapewne z listą członków naszego oddziału.

Niemałe zasługi w popularyzowaniu twórczości translatorskiej położył nieistniejący już, bo ukazujący się w latach 1963—1971, periodyk „Osnowa". Aktualnie, dzięki staraniom Wydawnictwa Łódzkiego, będziemy mogli poszerzyć dotychczasowy zakres literatur o tłumaczenia z języka serbochorwackiego.

Wymieniłem tu wiele tytułów książek, napisanych przez członków naszego oddziału, bo są one właściwie historią naszego środowiska. Na ich kartach pokazaliśmy ruchliwy, migotliwy, zmieniający się nieustannie portret miasta. Te podstawowe formy pracy uzupełnia nie mniej ważny kompleks działań potwierdzających naszą stałą obecność wśród

społeczeństwa Łodzi, a zwłaszcza w środowisku robotniczym i młodzieżowym. Działania te będziemy w dalszym ciągu rozszerzać, wzbogacać o nowe formy, rozumiejąc potrzeby i nieograniczone wprost możliwości upowszechniania kultury, jakie stwarza twórcom ludowe państwo. Służymy dobrej sprawie, wypełniamy swoje pisarskie i obywatelskie obowiązki, jak nakazuje świadomość socjalistycznego teraz i najlepsze tradycje kultury polskiej, jak rozumiał to Norwid:

„Bo nie jest światło, by pod korcem stało,
Ani sól ziemi do przypraw kuchennych,
Bo piękno na to jest, by zachwycało
Do pracy — praca, by się zmartwychwstało".

PIERWSZE DNI WOLNOŚCI

ŁÓDŹ – DYMIĄCE ATENY

Nawet nie bardzo wiadomo, kto ochrzcił miasto tym mianem w roku 1945. Znalazły się te słowa po latach w pamiętnikach Jerzego Zaruby, oddając klimat i nastrój Łodzi, ówczesnej stolicy kulturalnej odrodzonej Polski.

Łódź — dymiące Ateny. Miejsce, gdzie ludzie spotykali się po latach, gdzie w gmachu przy Mickiewicza 8 (wtedy jeszcze Bandurskiego 8) tworzył się falanster literacki, gdzie wychodziła „Kuźnica" i „Wieś", gdzie skrupulatnie, dzień po dniu, spisywała swoje „Dzienniki" Zofia Nałkowska.

Notatki, dzienniki, dokumenty, listy — tak ważne, tak znaczące dla dziejów kultury polskiej nosiły daty: 1945, 1946, 1947 i nieodmiennie dopisek „Łódź".

A więc Łódź — tamta Łódź z początków czterdziestego piątego roku.

Wspomina Jerzy Jurandot:

„Zdecydowano, że nasze Ministerstwo przeniesie się początkowo do Łodzi, gdzie już urządzał się sprężysty Film Polski (zdaje się, że nazywał się wówczas „Kinofikacja", mówiło się: kinofikcja), gdzie nie zniszczone sale teatralne i kinowe pozwalały przewidywać powstanie centrum kulturalnego na najbliższe lata. Mój „reprezentacyjny teatr małych form" rozpocząć miał swoją działalność również w Łodzi.

(...) Jeszcze straszyły pustką witryn i niemieckimi szyldami zamknięte sklepy na Piotrkowskiej, jeszcze martwo patrzyły przez plastrowane okna osmalone Geyery i Grohmanny, a już do tej ziemi obiecanej do tego w niewielkim tylko stopniu dotkniętego wojennymi zniszczeniami miasta z różnych stron ciągnęli artyści. Na rogu Kościuszki i Bandurskiego dwa bliźniacze gmachy zajęli literaci. Naprzeciwko ulokowali się urzędnicy Ministerstwa Kultury i Sztuki, bokiem przytykając do współpracowników „Polski Zbrojnej".

(...) Na Piotrkowskiej otworzyła się pierwsza kawiarnia artystyczna „Mokka" (być może pisało się „Mocca", już nie pamiętam), gdzie stoliki od rana okupowali aktorzy, głównie z Teatru Wojska. Teatr ten pod dyrekcją Władysława Krasnowieckiego (również pułkownika) odbył wraz z armią drogę od Oki. „Od Oki do „Mokki" — mówili dowcipnisie.

(...) Dom literatów roił się od majorów i kapitanów: Stanisław Ryszard Dobrowolski, Adam Ważyk, Artur Sandauer, Leon Pasternak, Stnisław Jerzy Lec — innych nie pamiętam, ale było ich jeszcze wielu. Bywalcom kawiarni „Fraszka" imponował oficerskimi dystynkcjami i wspaniałą papachą z orzełkiem znakomity malarz Jerzy Zaruba. A już pośród filmowców po prostu trudno było znaleźć cywila".

* * *

Przybywali do nie znanej sobie Łodzi ludzie z różnych stron. Uczyli się miasta.

Wspomina Jan Huszcza:

„Ulica Bandurskiego za Reichu nazywała się — Ostlandstrasse, aleja Kościuszki — Herman Goeringstrasse, Piotrkowska — Adolf Hitlerstrasse... Co dzień z żoną staramy się poznać jakąś nową dzielnicę miasta...

Dużo poświęciłem wysiłków i czasu, aby chociaż pobieżnie zapoznać się z nie znanym mi miastem. Nawiązywałem kontakty z łodzianami — „łodziakami", jak siebie nazywają — grzebałem się w pismach i książkach, podczas długich spacerów szukałem takich zakątków miasta, które mogłyby mi dostarczyć jakichś wzruszeń.

(...) Niepohamowane ambicje „Czytelnika" oraz jego szefa, Borejszy, wkroczyły także na teren konsumpcyjno-gastronomiczny: oprócz stołówki powołano na próbę do życia spółdzielczą „Fraszkę".

Wchodziło się do „Fraszki" od razu z bramy na prawo. Na lewo była księgarnia, potem sklep z pomocami szkolnymi, obecnie znajduje się tam biuro reklam i portiernia, dość zresztą jak na współczesne formy organizacyjne osobliwa, bo nie wydająca przepustek, „Fraszka" — był to długi, wąski pokój o jednym, patrzącym na ulicę oknie. W końcu pokoju znajdował się bufet i ekspres do kawy, obok bufetu były schody wiodące do ocementowanego podziemia, gdzie przez pewien czas mieścił się — jako przedsiębiorstwo pomocnicze — bar. Kilkanaście stolików, przy których stały powleczone jakimś ciemnoczerwonym rypsem fotele, nie zmieniało na lepsze pierwszego wrażenia, lokal bowiem wyglądał jak poczekalnia u wziętego dentysty.

We „Fraszce" odbywały się — te nieoficjalne — narady redakcyjne zespołu „Kuźnicy" (z Pawłem Hertzem, Mieczysławem Jastrunem, Ryszardem Matuszewskim, Adamem Ważykiem, Adolfem Rudnickim, Kazimierzem Brandysem i innymi), którym przewodniczył właściciel potężnej tuszy i nie mniej potężnego organu głosowego, Stefan Żółkiewski.

Pokazywała się tu Pola Gojawiczyńska, zjawiał się bawiący przejazdem Jarosław Iwaszkiewicz, zachodził czasem — acz niechętnie — Artur Sandauer, czuwali Żuławscy: Juliusz i Mirosław, szukał okazji do psioczenia popularny w Łodzi malarz, Konstanty Mackiewicz, ze szczególnym upodobaniem malujący lasy.

Przy innym stoliku czekali na swoich autorów i karykaturzystów redaktorzy bardzo dowcipnych „Szpilek" — Stanisław Lec i Leon Pasternak.

Przy jeszcze innym skupiali się współpracownicy, a zwłaszcza współpracowniczki pism dla dzieci — „Świerszczyka" i „Przyjaciela", z ukosa patrzący na Jana Brzechwę, który ich zdaniem był w swoich wierszach dla dzieci zbyt... lekki i dowcipny.

Przychodził w większym gronie ludzi teatru Leon Schiller...

Przy oknie — bo lokal był dość mroczny — czytywał nam swoje najnowsze wiersze Władysław Broniewski, który właśnie niedawno wrócił z tułaczki po obczyznach i budził, jako poeta, liczne zastrzeżenia u młodych...lewicowców.

Tu się też czasem odbywały pierwsze po latach rozłąki, okraszone pocałunkami z dubeltówki spotkania ludzi wracających z różnych tułaczek. Asortyment strojów — przeważnie odznaczających się złym stanem — był tak obfity, że niejeden Dom Towarowy mógłby go i dziś pozazdrościć (nie z powodu złego stanu, ale z powodu rozmaitości, rozmiarów, kolorów i krojów). Miewała czasem „Fraszka" wygląd wybitnie wojskowy: z naganami u boków siedzieli repatrianci znad Oki, w oflagowych mundurach pojawiali się Stanisław Ryszard Dobrowolski i Andrzej Nowicki (ten od satyry!). Chodzono także w waciakach, czyli „fufajkach", jak na przykład poeta Jan Śpiewak i poeta Włodzimierz Słobodnik, którzy przyjechali z Uzbekistanu.

Zofia Nałkowska

Rys. Ibis

Kilkakrotnie odwiedziła „Fraszkę" Zofia Nałkowska. Spotykało się tam Gałczyńskiego, który we „Fraszce" spędził kilka, obficie alkoholem zakrapianych wieczorów.

We „Fraszce przeżyłem, połączoną ze wzruszeniem, radość osobistego poznania Juliana Tuwima, gdy przyjechał do rodzinnego miasta — miasta dzieciństwa i lat gimnazjalnych — po wspomnienia".

Wracali ludzie, osiedlali się, zapuszczali korzenie w łódzki grunt. Jedni na dłużej, inni na krócej, jeszcze inni na zawsze. Ale nawet ci, którzy wyjechali stąd najprędzej, zawsze wracają tu z sentymentem i wzruszeniem. Pamiętają tamte piękne lata — nigdy ich nie zapomną. To są lata ich młodości i młodości tej Polski, którą zachłystywali się po latach niewoli. Bo Łódź to była ta pierwsza ojczyzna — jak we wspomnieniach Adolfa Rudnickiego.

„Są ludzie, którzy psioczą na to, cośmy robili. Niech psioczą, zawsze psioczyli, widocznie tak być musi. Współczesnych nie stać na ocenę, jest to jedna z niewzruszonych prawd! Można pisarza porównać z Tołstojem, a malarza z Bonnardem, ale jest to tylko ocena geograficzna. Każdy wiek, każdy okres ma swoje własne elementy. Elementy te muszą wpierw ostygnąć, aby je można było porównać z elementami sztuki dawnej, które już wytrzymały próbę czasu, już okrzepły. O tym, czy elementy należą do tych, które mogą okrzepnąć, czy przeciwnie, skazane są na zmarnienie — nikt z góry nie wie. Niech więc psioczą!

W ciągu wszystkich minionych lat czuliśmy, że to jest właśnie to. Z lękiem, z niewiarą, z przekorą, ale przekonanie, że to nasza wielka godzina, nasze najszczęśliwsze życie, raz po raz prześwitywało. Czuliśmy, że to nasze złote gody. „Co to za miasto, które składa się z jednej ulicy? Co to za miasto, gdzie nie można się wyłączyć, ukryć, gdzie wystarczy wyjść z pokoju, aby pośród zawiści i kwasów temperatura twórcza natychmiast osiągnęła punkt zerowy. Kiedy zabiorą nas wreszcie z tego bocznego toru? Kiedy Warszawa się o nas upomni?!". Narzekając bez przerwy, czuliśmy przecież tuż, tuż pod dźwiękiem tych słów, że gdy wreszcie upomną się, wezmą do nowych zadań, skończy się coś bardzo jedynego i niepowrotnego. Tak, wiedzieliśmy, że jesteśmy szczęśliwi.

Zaczynały się pierwsze spory, pierwsze frustracje — widomy znak, że życie literackie, zawsze pełne niepokojów i spięć, wchodzi na normalne pokojowe tory. W „Dziennikach" Zofii Nałkowskiej z tamtych lat ożywa atmosfera owych spięć, sporów i niepokojów.

„Łódź, 19.IX.1947.

(...) Wczoraj Pawełek Hertz, żebym napisała coś o Rewolucji Październikowej do „Nowych Dróg". Nie przyjdzie mi to łatwo. Później bardzo wyjaśniająca sytuację rozmowa. Rola „Kuźnicy" dziś okazuje się daleko bliższa mnie niż sądziłam. To Kott i Ważyk są tak zajadli, nie Żółkiewski. Przypuśćmy. Znów chcą, żebym pisała (...)".

I dalej:

„Łódź 20.XII.1948.

(...) Po kolacji dzwonek. Okazało się, że przyszedł Sandauer, który przebywa teraz raczej w Warszawie, redagując „Odrodzenie", więc dawno go nie widziałam. Rozmowa tu w sypialni, gdzie z Teresą szyłyśmy. W „Odrodzeniu" jest recenzja o „Węzłach życia". Tak? Kto pisał? Ja. „To doskonale". Pokazywałam mu kawałki z nowo kupionej zabawnej książki Daninosa „Le Carnet du Bon Dieu". Spytał, dlaczego inaczej pisana jest część I i ostatnia. Dlaczego nie wymieniane nazwiska. „O to powinien pan był spytać przed napisaniem recenzji", powiedziała inteligentnie Teresa.

Dziś Genia przynosi „Odrodzenie". Czytam. Jestem zupełnie ogłuszona. Ten kwaśny ton, to odebranie wszelkiej wartości, nic o problematyce, nic o treści. Aforyzmy „błyskotliwe"...

Człowiek, z którym od trzech lat mówiliśmy najzgodniej o zjawiskach literackich, o myśleniu, o wartości,

Wszystko wskazuje na to, że „musiał" tak napisać. Ale że mógł! (...) Jeżeli napisał to z potrzeby serca, w poczuciu słuszności, to błąd w diagnozie człowieka popełniłam niepojęty.

Ale jeżeli, jak telefonowała W., kazano mu — to jest to oznaką, że znalazłam się na marginesie życia, wyobcowana, odarta z wartości. No cóż, nie będę pisała, ale mogę tłumaczyć".

Ale były i inne powiewy ówczesnego klimatu Łodzi. Jakaż fura przednich anegdot rodziła się w łódzkiej „Fraszce". I przechodziła do historii.

W zanotowanych przez córkę wspomnieniach Jana Sztaudyngera znajdujemy taką opowiastkę, mniej znaną od innych.

„Wpadłem kiedyś do „Fraszki" — wspomina Sztaudynger — była taka mała, ulubiona przez ludzi pióra i pędzla kawiarenka, o wygodnych fotelach, w tym miejscu, gdzie obecnie mieszczą się „Delikatesy" w domu łódzkiej prasy. (...) Tam zastałem ówczesną żonę Kajetana Sosnowskiego, znanego plastyka — młodą poetkę. Wściekała się, gryzła paznokcie i popłakiwała. — Cóż się stało? — przeraziłem się. Była to epoka ciuchów. Odpowiedziała: Wypatrzyłam szałowy płaszcz. Kajetan miał się zjawić za pół godziny z forsą. Nie przychodzi. Minęły już dobre dwie godziny. — I tu syntetycznie ujęła sytuację: — Mój mąż do wiatru dupą mnie wystawił... Odpaliłem: Chętnie bym w wiatr się zabawił..."

Niech nikogo nie razi ta figlarna anegdota w panoramie wspomnień z pierwszych lat. Przecież tamto życie było bogate całą pełnią wolności. Obfitowało w spięcia i napięcia, ale obfitowało przecież także w żart i angedotę. Ludzie budzili się do życia ze straszliwego snu...

A to życie na nich czekało.

„Czekał na mnie i etat asystenta przy uniwersyteckiej katedrze — wspomina Tadeusz Chróścielewski — i samodzielna „katedra" w gimnazjum i liceum na Bałutach, zwanego „Jedenastką" i prycza z kołdrą w Domu Profesorskim przy Zawadzkiej 7 i szpalty łódzkich pism też czekały, i całe mare apertum „otaczającej rzeczywistości", w którym było miejsce i na uśmiech zuchowatej dziewczyny z robotniczego podwórka w okolicach Zgierskiej — biegnie właśnie do tramwaju, bo zbliża się ósma i za chwilę zadźwięczy na lekcję dzwonek bałuckiego gimnazjum i wcale nie wie, że właśnie przyjechał do rodzinnego miasta mąż, ojciec jej przyszłych dzieci. I wiele innych czekań i nieoczekiwań czekało".

Po prostu — czekało życie. Wśród „mroków i dymów" tego miasta — jak to kiedyś pięknie napisał Artur Gliszczyński; czekało życie, niosąc radości i zgryzoty — ale niosąc nowe wzruszenia, nowe wiersze i książki. Czekało miasto, Łódź, dymiące Ateny.

Opracował:
JERZY WILMAŃSKI

Od lewej: Jerzy Żuławski, Adam Ważyk, Leon Pasternak, Jan Brzechwa, Władysław Broniewski, Kazimierz Korcelli, Janusz Minkiewicz, Jan Huszcza,
Rys. J. ZARUBA

Tadeusz Chróścielewski „Tranzytem przez Łódź" — wstęp. W.Ł. 1960.
Jan Huszcza „Wspominki nie zawsze frasobliwe". W.Ł. 1960.
Jerzy Jurandot „Dzieje śmiechu". Wyd. Iskry, 1959.
„Wokół literatury", „Dzienniki" Zofii Nałkowskiej — „Polityka" nr 16 (19.IV.1975).
Adolf Rudnicki „Ojczyzna" (w tomie „Tranzytem przez Łódź"). W.Ł. 1964.
Jan Sztaudynger, Anna Sztaudynger—Kaliszewicz „Chwalipięta". W.Ł. 1973.

TRADYCJE

LEON GOMOLICKI

BIAŁE RUNO

(fragmenty)

W tamtym okresie mieliśmy z powodu niedbalstwa duże ilości zepsutego niedoprzędu. Przepraszam za te terminy i w ogóle, ale cała sprawa toczyła się, że tak powiem, na wyraźnym tle produkcyjnych dekoracji i bez tego ani rusz nie potrafię. Tylko myślę, że jest to nieunikniona konieczność i gdy pisano o faraonach czy innych emancypantkach, to tam też były swoje terminy. Słowem, niedoprzęd trzeba było zerwać czy oskubać ze szpulek i oddać na odpadki. Więc proszę sobie wyobrazić taką scenkę: siedzą w kółko starsze babki i nożami skubią, kalecząc szpulki. Oczywiście w „zacisznym" kącie pod motorem, ale przekrzykują go chórem. Dokoła stosy okaleczonych szpulek i poskubanego niedoprzędu. A nad całym tym szabasem siadywała najgorsza wiedźma z takim podbródkiem Baby Jagi. Przynosiła swój stołek, a skubała szpulki długim kuchennym nożem. I nie dosyć, że przynosiła stołek, a jeszcze podkładała pod siedzenie brudne szmaty. Myślałem, że dla wygody, a jak się okazało, był w tym swój rachunek. Bo dzięki wciąż temuż samemu pucerowi wydawało się, że trzyma w nich, tych szmatach „przedwojenne" i przepisane odręcznie książki, które wypożyczała robotnicom za opłatą.

Zresztą wszystko zaczęło się od tego, że siedzę w swoim pokoju, może nawet nie sam, lecz z planistką czy którymś z moich mistrzów, i słyszę zupełnie nieprawdopodobny krzyk. Chodzi o to, że na sali taki łoskot, że trudno się porozumieć, a tu prawdziwy lament, który wszystko zagłusza, jakby ktoś wpadł w tryby i trzeba posyłać po pogotowie. Wybiegłem i widzę, że się kotłuje. Dochodzę — baby szarpią pucera, a on, biały jak zjawa, ale się stawia. Z trudem wyrwałem i przyprowadziłem do siebie.

Usiadł, poprawia podarty fartuch, i znów skrajne wzburzenie i nieopanowanie. Nalałem spod kranu wody, podaję.

— Mów, człowieku, coś znów nabroił — powiadam — i dziękuję, że byłem w pobliżu. Wyglądałeś jak Orfeusz, którego w swoim czasie rozszarpały bachantki.

Od razu pożałowałem tych moich słów, bo odstawił szklankę z wodą i tylko spojrzał na mnie tak, z niemym wyrzutem.

— Pan kierownik to tak zawsze, jedynie się natrząsa z mojej prawdy!

Coś chciał jeszcze jakby powiedzieć, ale zaciął się. Mam wrażenie, że był pewien co do mojego zrozumienia jego myśli. Bo chodziło mu z pewnością o jakiś idealny sojusz przeciwko temu, co uważał za szkodliwe. W tym wypadku, jak w końcu się dowiedziałem mniej więcej dokładnie — wyśledził tamtą, że tak powiem, pokątną kolporterkę nieoficjalnej literatury i jak jastrząb z jasnego nieba spadł i wyrwał jej z rąk egzemplarz „Sennika egipskiego". Potem z triumfem podarł go na oczach wszystkich i rzucił do skrzyni ze śmieciem. Właściwie działał w najlepszej wierze i sytuacja była dla nas obu tragiczna, nie mogłem jednak w tamtej chwili powstrzymać się od śmiechu, czym go dodatkowo, można powiedzieć, dogłębnie uraziłem.

Skończyło się na tym właśnie naszym rozdźwięku i tutaj nic nie mam więcej do powiedzenia. No tak, jakby istotnie nic, kompletnie nic. Choć prawdę mówiąc, to sądzone mi jeszcze było odpokutować za tego komika. Toteż odpokutowałem i nawet bez żadnej satysfakcji w postaci jego najmniejszej wdzięczności czy zrozumienia. Ale miałem już okazję w życiu zauważyć, że tak nieraz się zdarza z pewnymi, oczywiście, zmianami. A więc przepraszam, jeśli co nie tak wypadło i niewiele pan szanowny ode mnie się dowiedział...

*

Nasamprzód to trzeba uczciwie powiedzieć: „ja tam nie chcę nikogo łowić, ja chcę tylko każdego wychować".

*

Dużo spraw spać nikomu nie daje i mnie też, a jak siedzimy na zebraniach, to mamy wodę w ustach, dopiero szatnia uchwala. Myślę, że to nie przez naszą nieśmiałość, a dlaczego to pozostaje do domysłu.

*

Ja tam nie lubię żadnej filozofii i uważam tylko rzeczy proste. Każdemu, kto zacznie mi wydziwiać i pytać o to i tamto, mówię: „zgadywać mamy! Weź pan liczydła. Myślał pan może, że do wróżki się wybierzemy?"

*

Każdy potrafi powiedzieć: „mam takie uperfumowane szczęście!" i chodzi jakby octu się napił. A ja widzę tak: trzeba szukać przyczyny. Bo to niewiara i brak analizy najgorsze bolączki prządki.

*

„Co tak śpisz?" — „A co będę robił?" Każda ślepota tak odpowie. Czy mamy powiedzieć: „śmiejmy się i cieszmy się z tego?" Człowiek rozumny powinien aktywnie patrzeć na postawę swoją i innych. Gdzie trzeba opieprzyć albo stanąć frontem do ludzi.

*

U nas często się słyszy: „powiedziałem, że go zrobię, i zrobiłem", albo — „i dawaj na niego, i tece z powrotem". Jeśli wolno, to wszyscy łubudu na jednego i jeszcze, co można, bo to bęben i nadaje się do tego. A właśnie przez to tak blado i chudo wyglądamy. Zamiast robić, to jeden drugiego łowi i tylko cyrk urządza. Gdyby na to sprzedawać bilety, to by się zarobiło do licha i trochę. Ale tak człowiek tylko się wyszarpie i to jeszcze nikomu na zdrowie nie wyszło, a najgorzej, że i pracy też!

*

Ja na ogół człowiekowi wierzę, bo nie mam innego zwyczaju i mam jeszcze zasadę: albo żyć, albo umrzeć, stawiać prosto — tak lub nie. Uważam też, iż tego trzeba się trzymać, gdyby nawet dokoła wszystko jak z piekła się zerwało, bo człowieka tylko w ten sposób można wychować. Chodzi o to, żeby w nim ten dobry moment wychwycić, żeby przez moją w niego wiarę sam w siebie uwierzył. Tak nawet z tych śmieci zrobi się ludzi, nie to że co!

*

Gdybym mocno zasnął, a ktoś mnie z tego wyrwał, to pierwsza moja myśl i odpowiedź: „wszyscy jesteśmy ludźmi". Gdyby tak reszta myślała i żyła zgodą — można byłoby góry przesuwać z jednego miejsca na drugie, nie mówiąc, że w ogóle.

*

Nie lubię urzędasów, ale urzędas to też człowiek.

*

Jedynie krytyk, co krytykuje zamiast wniknąć, nie jest człowiekiem.

*

Załóżmy, że pisarz opisuje sprawiedliwie i istotnie to, co się tam działo, bez kolorów i cyganienia. Ale każdy już na to się nabrał i po prostu nie ufa. U nas nawet się mówi przy okazji: „niefachowo zrobione — po literacku". Myślę, że to głównie dlatego, że nie widzimy go wśród nas, a jak nie widzimy, to nie wiemy, czy to naprawdę człowiek, a nie jakiś mózg elektronowy.

*

Wszyscy musimy bić się o człowieka.

Rys. Teofil Jóźwiak

*

Widziałem sen, że wszyscy mnie bardzo kochają i chcą jeszcze dać premię, a ja za to dziękuję, że mnie wystarczy ich miłość, która żywi, grzeje i świeci w zimie i w lecie. A jak się obudziłem, to była noc i zimno, bo zapomniałem napalić, a głodno też z powodu mojego lenistwa, że wieczorem nic sobie nie upitrasiłem. I taki to był zadziwiający kontrast pomiędzy tym, co wyśniłem, a moją rzeczywistą prawdą. Choć tak wcale nie powinno być, ale o tym tylko ja wiem i nikt więcej!

*

Mnie tak się widzi, że robotnicy są z urodzenia i z powołania, a takiemu jeśli odebrać pracę, to tyle co życie. Taki mówi: „żyję na sali" i w tym wypadku nie kłamie. Wiem po sobie, że gdy mam chorą maszynę, to jakbym sam dostał jakiejś grypy czy tyfusu. Ja ją leczę i daję jej życie, jest to jakby moja część, a przez to i jakby prawie człowiek. Jedyna różnica, że między nami nie jak między ludźmi, a panuje całkowite zgranie i zaufanie.

*

Gdy na sali zapanuje niezgoda, to jak po klęsce — ludzie potracili życie, a różne szakale i kruki są obżarte i ucieszone.

*

Mam kilka przykazań, które wyniosłem z życia na własnym garbie:

Jak słyszysz, że dziobami trzaskają, to lepiej zrobisz, jeśli zmilczysz, niżby twoje słowa miały kogo skrzywdzić;

jeśli kto powie: „bracie, ależ cię osmarowali!", to też lepiej zmilcz, bo i tak ci nie uwierzy, tylko wyjdziesz z nerw i poszarpiesz się;

Gdy zaczęli o ciebie jęzory strzępić, zaczekaj, aż im się znudzi, stawiać się, to robić z siebie pajaca — oni na to liczą i niech się przeliczą na swoją niekorzyść;

może tak się zdarzy, że kierownik czy ktoś ważniejszy zacznie cię ciągnąć za język, albo rzuci haczyk, abyś połknął, to udaj dziecko i top tylko w nim oczy, a niech przez ciebie nic nie wyjdzie, bo nie wiesz, co komu może zaszkodzić;

nie pchaj się naprzód, niech cię ludzie sami ocenią i popchną, a nie popchną, to ciesz się własną oceną albo szukaj przyczyny;

ufaj ludziom, to może się zawstydzą i przestaną cię nabierać;

nie miej za złe, gdy cię witają według korzyści — to jakbyś chciał mieszkać w domu zbudowanym bez cementu i nie bać się, że się rozsypie na cegiełki: korzyść to cement, cegiełki to ludzie, a co to ten dom — sam łatwo się domyślisz;

człowiek jak kret, który jest bezpieczny w swej norze, ale raz potrafi się postawić, jeśli ma prawdę, za którą warto dosłownie umrzeć; lepiej widzieć świat niż gryźć ziemię, to może prawda, ale pod warunkiem, jeśli kto ma czyste sumienie — miej to zawsze na myśli;

Chcesz, żeby ci było łatwiej z ludźmi, to uwierz w ich życzliwość;

bij się wszelkimi sposobami o człowieka — w sobie i w innych.

*

Proszę przekazać tę moją pisaninę mojej córce Helence, kiedy wyrośnie na człowieka, i traktować jak mój testament, który pisałem przy zdrowych zmysłach i z całą odpowiedzialnością.

„Białe runo" Leona Gomolickiego jest jedną z najciekawszych w naszej literaturze współczesnej książek poświęconych tematyce ludzkiego trudu, ludzkiego wysiłku. Na ten nurt refleksji w powieści poważyło się niewielu pisarzy, gdyż wymaga on nie tylko drobiazgowej znajomości realiów, ale także głębokiej zadumy nad wartością poczynań człowieka w jego staraniach o codzienny byt. Może dlatego właśnie temat pracy, który stanowić powinien centralny problem literatury, rzadko ma książkową egzemplifikację.

Dla Gomolickiego praca i wysiłek nie są problemami teoretycznymi, zna je z autopsji, o czym wymownie zaświadcza biografia pisarza. Ale jakby nie dowierzając swemu doświadczeniu autor „Białego runa" przeprowadził głębokie studia w łódzkim środowisku robotniczym zapoznając się z warunkami życia włókniarzy. Owocem tych studiów jest właśnie wspomniana powieść, którą, choć ukazała się drukiem po raz pierwszy w roku 1962, publikowanym tu fragmentem raz jeszcze polecamy uwadze czytelnika.

K. F.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

ŁÓDŹ

Ciąży sercu troska i pieśń,
troskę w sercu ukryj i nieś,
pieśń jak kamień podnieś i rzuć.
W dymach czarnych budzi się Łódź.

Wyją syreny, wyją co rano,
grożą pięściami rude kominy,
w cegłach czerwonych dzień nasz jest raną,
noc jest przelaną kroplą jodyny,
niechaj ta kropla dzień nasz upalny
czarnym — po brzegi — gniewem napełni —
staną warsztaty, staną przędzalnie,
śmierć się wysnuje z motków bawełny...

Troska iskrą w sercu się tli,
wiele w sercu ognia i krwi —
dymem czarnym musi się snuć
pieśń, nim iskrą padnie na Łódź.

Z ognia i ze krwi robi się złoto,
w kasach pękatych skaczą papiery,
warczą warsztaty prędką robotą,
tuczą się Łodzią tłuste Scheiblery,
im — tylko radość z naszej niedoli,
nam — na ulicach końskie kopyta —
chmura gradowa ciągnie powoli,
stanie w piorunach Rzeczpospolita.
Ciąży sercu wola i moc,
rozpal iskrę, ciśnij ją w noc,
powiew gniewny wciągnij do płuc —
jutro inna zbudzi się Łódź.

Iskra przyniesie wieść ze stolicy,
staną warsztaty, manufaktury,
pójdzie Piotrkowską tłum — robotnicy,
ptaki czerwone fruną do góry!
Silnym i śmiałym, któż nam zagrodzi
drogę, co dzisiaj taka już bliska?
Raduj się, serce, pieśnią dla Łodzi
gniewną, wydartą z gardeł konfiskat.

1932

WITOLD WANDURSKI

OD PÓŁNOCY DO ŚWITU

(fragmenty)

Iść — iść — przez dzikie pole —
z powrotem.
Iść na Karolew
do miasta,
gdzie geometria wykreśla tkalni — apretur — przędzalni
z waty przedświtu wyrasta
i przypomina:
N i e j e s t e ś, c z ł o w i e k u, s a m —
n i e j e s t e ś s a m.

Minarety
zamorusane kominy
budzą się z wolna i kadzą dymu obłoki.
Meczety
czerwone bloki
tkalni — apretur — przędzalni
rozwarły podwoje bram.
Organy maszyn, ukryte w gorącej parze
grają hymn pracy.
Migają koła ruchomych ołtarzy.
W r a c a j ą!
Za pół godziny
zanucą pieśń muezziny
syreny fabryk
i wierni — robotnicy i robotnice —
z Karolewa — Pańskiej — Radwańskiej
wyjdą na ciche ulice
niewyspani, lecz mądrzy i prości.
Za pół godziny
zagrają hejnał radości
trąby kominów —
a wierni
poważni Niemcy — nerwowi Żydzi — Polacy
codzienną modlitwę pracy
rozpoczną.

Październik.
Ostatni owoc dojrzewa
i spada.
Za liściem liść krąży.
Za liściem liść pada
omdlewa.
Łódź dymi.
Sadze na twarzy — jak krosty.
Syrena śpiewa.
Wierni do świątyń dążą.
Idę
radosny i prosty
za nimi.

1922

WSPOMNIENIA

TADEUSZ PAPIER

ŁÓDZKA „WIEŚ"

Moja wypowiedź o „Wsi", piśmie, które ukazywało się w Łodzi w latach 1945—1949, nosi charakter wspomnienia. Może to niedobrze. Może zbyt odświętnie i ogólnikowo. Usprawiedliwia mnie fakt, że w tym okresie należałem do zespołu redakcyjnego. Wiążą mnie więc z pismem i redakcją różnorakie przeżycia. A poza tym muszę pisać w ten sposób, gdyż trudno w krótkiej relacji pokusić się o dokładne przedstawienie bogatej i złożonej problematyki pisma. Dotychczas najpełniej wypowiadali się o „Wsi" jej byli redaktorzy i współpracownicy, jak Wiesław Jażdżyński w barwnym szkicu „Kartki z dziejów Wsi" w książce „Tranzytem przez Łódź" (WŁ, 1964), tamże („W miejsce zleconego wstępu") Tadeusz Chróścielewski. Na szczególną uwagę zasługuje rozprawa Krystyny Śreniowskiej „Problematyka historyczna tygodnika Wieś w latach 1945—1949" zamieszczona w Roczniku Łódzkim, tom XVII, s. 233—245 PWN, 1973). Śreniowska kończy swoje rozważania uwagą, że wart jest pamięci tygodnik „Wieś", „stojący w rzędzie czołowych polskich czasopism ukazujących się w naszym mieście".

Pismo narodziło się w Lublinie. Toczyły się jeszcze walki w Warszawie, kiedy redaktor Jan Aleksander Król przystępował do wydania pierwszego numeru. Front przebiegał wzdłuż Wisły i utworzonych przyczółków. Czas był bardzo gorący. W Lublinie wyszło osiem numerów, z tych siedem w roku 1944 i jeden — nr 1(8) — w 1945. Ze wzruszeniem trzeba się pochylić nad pierwszym numerem pisma. Nie tylko dlatego, że to jest numer pierwszy i programowy, ale dlatego, że zatrzymał się tam czas. Wojna trwa, toczą się walki o Warszawę, na północy Niemcy trzymają się jeszcze na linii Biebrza — Narew, która osłania dostęp do Prus Wschodnich. Na południu toczą się walki w Karpatach. Na terenach wyzwolonych organizuje się nowe życie. 28 sierpnia 1944 roku odbył się pierwszy zjazd młodzieży chłopskiej „Wici". 11 września pierwsza konferencja Polskiej Partii Socjalistycznej, 17 zjazd Stronnictwa Ludowego i zjazd robotników rolnych. Na zjazdach deklaruje się współpracę z PKWN i Krajową Radą Narodową. Bratają się żołnierze BCh, AL i AK. Realizuje się reforma rolna. W takim klimacie rodzi się pierwszy numer pisma, które zwraca się do czytelników: „Oddajemy w wasze ręce nowe pismo chłopskie. Powstaje ono, aby dać wyraz nowej rzeczywistości, jaką chcemy stworzyć na wsi my, chłopi. Nowa Polska, którą budujemy, będzie krajem, który da nie znane u nas dotąd warunki rozwoju masom chłopskim, da im dobrobyt, naukę, kulturę, sztukę (...) Zadaniem tygodnika „Wieś" jest objęcie zasięgiem swym najszersze masy ludowe, informowanie, szerzenie wiadomości ze wszystkich dziedzin życia wieś obchodzących (...) Wierzymy, że stanie się ono zwierciadłem nowej epoki dziejowej, lepszej niż dotychczasowa, dającej synom wsi polskiej prawo i możność korzystania z tych wszystkich dobrodziejstw kultury, jakie dotychczas ze względu na niesprawiedliwość ustroju były dlań zamknięte."

Numer otwiera artykuł Jana Aleksandra Króla redaktora naczelnego pt. „Chwila dziejowa". Dopiero teraz — pisze autor — (postać redaktora naczelnego zasługuje na osobne omówienie; Król drukował już prace z dziedziny krytyki literackiej jeszcze przed wojną. W czasie wojny prowadził tajne nauczanie i należał do czołowych działaczy lewicy ludowcowej, która doprowadziła do współpracy z PPR. Wywarł on decydujący wpływ na charakter pisma, które stworzył. Wybór jego prac publicystycznych znajdujemy w książce „Drogowskazy na manowcach kultury ludowej", PIW, 1947) przejmując ziemię dzięki reformie rolnej, „możemy ufać, że na tym fundamencie materialnym rozwinie się rzeczywiście oświata powszechna organizowana dla zaspokojenia głodu wiedzy i kultury wszystkich, że samorząd nasz będzie rozstrzygającą potęgą społeczną, że nasz tytuł obywateli nie będzie pustym słowem, ale będzie miał dostojeństwo obywateli — gospodarzy Polski". W numerze pojawiły się nazwiska Andrzeja Witosa, Heleny Boguszewskiej (wzruszający reportaż z powstania warszawskiego), generała broni Michała Roli-Żymierskiego, Jerzego Burskiego, Leona Kieleckiego, Józefa Ozgi Michalskiego, Zofii Dróżdż i innych. Ten historyczny numer pisma ukazał się w Lublinie z datą 15 października 1944 r.

W lutym 1945 roku Jerzy Borejsza przeprowadza agencje Czytelnika z Lublina do Łodzi. Do Łodzi przyjechał także Król ze swoimi współpracownikami. Zajęliśmy pokoje w gmachu przy ul. Piotrkowskiej 96, w bocznej oficynie na trzecim piętrze. Mieści się tam dzisiaj redakcja „Odgłosów". Pierwszy numer „łódzki" „Wsi", oznaczony jako nr 2(9), ukazał się 18 marca 1945 roku. W Lublinie pismo miało podtytuł: tygodnik. W Łodzi pierwszy numer opatrzony był podtytułem: tygodnik kulturalno-społeczny organ Związku Samopomocy Chłopskiej. Następne numery „Wsi" wychodziły jako dwutygodniki. Numer 7—8 (14—15), który nosi datę 2 września 1945 r., jest już dwutygodnikiem społeczno-literackim, a nr 11(18) ukazuje się jako tygodnik społeczno-literacki, który staje się trybuną pisarzy zrzeszonych w Oddziale Wiejskim Związku Zawodowego Literatów Polskich. Utworzenie Oddziału Wiejskiego — czytamy w 13 numerze pisma, ma podwójne znaczenie — społeczne i praktyczne. Społeczne polega na tym, że Związek Zawodowy Literatów Polskich przez fakt uznania Oddziału Wiejskiego mieści teraz wewnątrz swej organizacji już nie rozproszonych autorów pochodzenia chłopskiego, ale zrzeszoną literacką reprezentację warstwy chłopskiej. Prezesem Oddziału został wybrany Jan Wiktor, wiceprezesami Stanisław Piętak i Paweł Kubisz, sekretarzem Antoni Olcha, skarbnikiem Józef Morton. Do zarządu wszedł także Jan Aleksander Król i Marian Kubicki. W dwa lata później „Wieś" przestała być organem Oddziału Wiejskiego, redakcja wypowiedziała się przeciw odrębnemu związkowi pisarzy chłopskich. Król pytał w artykule („Wieś" nr 36, 1947), czy to jest nietaktem, jeżeli do pisania o wsi bierze się pisarz, który nie mieszka we wsi lub z niej nie pochodzi. Oczywiście pomiędzy tymi wydarzeniami, utworzeniem Oddziału Wiejskiego a jego rozwiązaniem, rozgrywały się rozmaite sprawy i dyskusje, żyło nimi pismo i jego czytelnicy.

Warto jeszcze powrócić na chwilę do roku 1945. W pierwszych „łódzkich" miesiącach pismo ukazywało się nieregularnie. Na przykład nr 3(10) ukazał się dopiero 23 kwietnia (poprzedni 18 marca), z kolei 4(11) prawie po dwóch miesiącach, bo 22 czerwca. Przyczyną tego był fakt, może już dzisiaj zapomniany, że po przyjeździe do Łodzi ten sam zespół, którym kierował Król, redagował początkowo trzy, a potem dwa pisma. Wydaliśmy kilka numerów „Zielonego Sztandaru", kilkanaście „Chłopów", dopiero po przejęciu tych pism przez inne zespoły („Chłopi" jako organ naczelny ZSCh pod redakcją Antoniego Olchy zaczął wychodzić w Warszawie) „Wieś" ukazywała się regularnie. Pismo stało się żywą instytucją kultury w Łodzi. Skupiało wokół siebie ludzi nauki (bardzo ściśle związki z Uniwersytetem), pisarzy, działaczy kultury, twórców ludowych. Pracowałem w wielu pismach, ale żadne nie może porównać się z „Wsią", jeśli idzie o tak szeroko rozbudowaną sieć współpracowników i takie związki z odbiorcami. Bohdan Baranowski, Dyzma Gałaj, Zdzisław Skwarczyński, Jan Szczepański, Władysław Strzemiński, Jerzy i Tadeusz Drewnowscy, Maria Janion i Maria Żmigrodzka, Witold Łukaszewicz, Witold Kula, Stanisław Śreniowski, Helena Brodowska, prawie wszyscy nasi poeci i prozaicy ze Stanisławem Piętakiem, z Józefem Ozgą Michalskim, Janem M. Gisgesem, Józefem Mortonem, Antonim Olchą, Chróścielewskim (który wprowadził na łamy „Wsi" poezję rosyjską i radziecką), Czernikiem, Huszczą, Gomolickim, Budreckim — nie sposób wymienić setki nazwisk, które gościły na łamach „Wsi" (nie wyliczając już redaktorów — Anny Kamieńskiej, Wiesława Jażdżyńskiego, Leonarda Sobierajskiego, Teodora Goździkiewicza, Zygmunta Kałużyńskiego, Stefana Lichańskiego, i tych, którzy rozpoczynali wtedy swoją drogę redaktorską, jak Leona Janczaka). Pismo było żywo redagowane, polemiczne. Organizowało liczne konkursy, jak np. „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś", który przyniósł bardzo bogaty plon: 123 odpowiedzi. Był konkurs na sztukę dla scen ludowych, którego laureatem został Teodor Goździkiewicz. Redakcja organizowała spotkania z ludźmi nauki (już w nowym lokalu przy Piotrkowskiej 133). Do największych wydarzeń należy zaliczyć zjazd pisarzy związanych z tygodnikiem w Rytwianach w roku 1947, w dniach od 30 czerwca do 7 lipca. Zjazd zgromadził stu pisarzy i twórców ludowych. Szerokie pokwitowanie zjazdu znajduje się w numerach lipcowych tygodnika z 1947 roku.

Krystyna Śreniowska podkreśla w cytowanej rozprawie bogactwo problematyki poruszanej na łamach „Wsi". „Pismo walczyło o nowatorski obraz dziejów Polski i w związku z tym dokonywało rewizji oraz nowej oceny problemów związanych z działalnością dla ludu i ruchem ludowym". Autorka stwierdza, że ta publicystyka odegrała rolę pionierską w kształtowaniu poglądów na naszą przeszłość, przecierała ścieżki historiografii Polski Ludowej. Ostatni numer „Wsi", który wyszedł w Łodzi, nosi datę 14—21 sierpnia 1949 roku. W tym numerze ukazało się zawiadomienie o zmianie adresu redakcji, która mieści się w Warszawie. W roku 1954 „Wieś" przestała się ukazywać. Pismo bardzo się zasłużyło do rozbudzenia życia kulturalnego w Łodzi i ożywiło wiele piór nie tylko w naszym mieście.

JAN KOPROWSKI

TAMTE LATA

Dwadzieścia dwa lata, spędzone w Łodzi, upłynęły mi nie tylko na pisaniu książek. Brałem aktywny udział w życiu kulturalnym i społecznym, pełniąc obowiązki kierownika literackiego w Teatrze Nowym, redagując czasopisma, najpierw „Kronikę", a potem przez pewien czas „Odgłosy", wreszcie, czy może przede wszystkim, uczestnicząc w pracach zarządu odziału ZLP, jako jeden z jego członków oraz jako jego przewodniczący.

Gdy patrzę na ten okres dziś z pewnego oddalenia czasowego, dochodzę do wniosku, że nie mógłbym i nie potrafiłbym go już powtórzyć. Zabrakłoby mi nie tylko energii, ale i ochoty. Doświadczenia z tej pracy wyniesione, są dla mnie bardzo cenne i pouczające, ale bynajmniej nie optymistyczne. Powiedzmy ściślej: nie tylko optymistyczne. Człowiek, który angażuje się społecznie i pragnie coś zrobić dla swojego środowiska, musi przygotować się na to, że za sukcesy nikt go chwalił nie będzie i ludzie rychło o nim zapomną, natomiast długo pamiętać mu będą potknięcia i niepowodzenia, choćby nie z jego winy wynikłe. Ale świadomość przychodzi dopiero później z upływem lat i czasu. Na początku jest zapał i przemożna chęć udziału w kształtowaniu wartości społecznych i kulturalnych. Czyli, mówiąc po prostu i zwyczajnie, przekonanie, że mogę i powinienem pomóc innym. Że stać mnie na to. Że potrafię. Że temperament i uzdolnienia uprawniają mnie do tego, aby podjąć się tej pracy. Trzeba spróbować. Spróbowałem. Zawsze mi się wydawało, że pisarz nie powinien stać na uboczu, ani kryć się w przysłowiowej wieży z kości słoniowej. Rozumowałem: pisanie wierszy, opowiadań i powieści, to bardzo dużo, ale to jeszcze nie wszystko. Winienem wypowiadać się w formach bardziej bezpośrednich, bardziej doraźnych, jak artykuł czy felieton w gazecie. Więc pisałem przez pięć lat stały felieton w „Dzienniku Łódzkim". Tydzień w tydzień, nie przerywając mej działalności nawet w miesiącach wakacyjnych i urlopowych. Potem felieton tygodniowy w „Odgłosach". I też kilka ładnych lat. Czy tego żałuję?

Nie. Odpowiadało to mojemu usposobieniu i poglądom, że stały kontakt z czytelnikami jest nieodzowny. Nie bez wpływu na moje przekonania były doświadczenia innych. Pamiętam wyznanie Fryderyka Sieburga: „Tajemnica leży w przymusie, w regularności i obowiązku codziennego pisania". Obce było mi kapłańskie podejście do aktu twórczości. Utwierdzał mnie w tym Robert Neumann: „Nie dowierzam pisarzom, którzy wokół swojej literatury i swego pisarstwa roztaczają aurę nabożnej świętości. Są to zazwyczaj ci, którym nie wychodzi. Wszystko to nie jest wcale takie odświętne". Zresztą z tego aktualnego, doraźnego pisania powstały później dwie książki, stanowiące wybór rzeczy, które w swej ulotności nie były aż tak ulotne, jak to się mnie samemu początkowo wydawało. Ale uczestnictwo przez pisanie jeszcze mi nie wystarczało. Chciałem uczestniczyć bezpośrednio, działając w związku pisarzy. Pamiętam te niekończące się dyskusje: co zrobić, aby podnieść znaczenie pisarza i autorytet związku w społeczeństwie? Jak zbliżyć się do życia? Do ludzi pracy? Jak wzmóc atmosferę twórczą w środowisku literackim? Czy można pomóc pisarzowi w jego kłopotach warsztatowych? Jak działać, żeby osiągnąć zgodność słowa i czynu? Wydawało mi się niemoralne zawołanie: „Bierzcie moje idee, nie naśladujcie mojego życia". Myślałem: ludzkość od wieków dąży do tego, aby człowiek żył tak, jak myśli, mówi i pisze. Byliśmy maksymalistami. Czyniliśmy wiele, jako zarząd, aby spopularyzować naszych pisarzy. Pomagali nam w tym bibliotekarze, nade wszystko pracownicy Biblioteki im. Waryńskiego i pani Lewicka z ŁDK. Staraliśmy się o stypendia w związkach zawodowych. I tutaj natrafialiśmy na życzliwość. Pisarze wiązali się z zakładami pracy. Powstały nawet z tych kontaktów książki, przynoszące niekiedy rozczarowania obydwu stronom: robotnicy uważali, że opisano ich fabrykę nieprawdziwie, a pisarze, że ich nie zrozumiano. Wygłaszaliśmy odczyty o literaturze światowej, polskiej i łódzkiej. Wszystko, co ludzkie było też łódzkie. Bywaliśmy w Międzynarodowym Klubie Prasy i Książki, w świetlicy i u nauczycieli na wsi i w mieście. Wspominam zwłaszcza wspólne występy z Władysławem Rymkiewiczem, podczas których z uporem godnym lepszej sprawy popularyzowaliśmy przez kilka lat nowości krajowe i zagraniczne, starając się mówić ciekawie, to znaczy polemicznie, analizując dzieła i nie skąpiąc anegdot o autorach.

Wcale nie jestem pewien, czy gdybym tego wszystkiego nie robił, napisałbym więcej i lepiej. Ciągnęło mnie do kolegów, do ludzi, do działania. Cieszyłem się, gdy dostawałem listy od czytelników moich książek i artykułów i od słuchaczy moich odczytów. Znajdowałem czas, aby skrupulatnie na nie odpisywać. Pisze o tym wszystkim w czasie przeszłym nie dlatego, że zmieniłem poglądy i dziś mniemam inaczej. Przecież w dalszym ciągu pisuję felietony do gazet i czasopism i działam w ZLP. Ale to nie to samo. Tamte lata były latami triumfu żarliwości i zapału, trochę naiwnej, ale pięknej wiary w to, że człowiek może wszystko i każda rzecz jest osiągalna. Dziś mamy więcej lat i więcej doświadczenia. Nasza młodość dawno za nami. Zyskaliśmy na jednym, ale straciliśmy na innym. Przybyło nam wątpliwości i sceptycyzmu. Wiemy, że najważniejsze jest to, co napiszemy, że najważniejsze są nasze książki. Że tylko one się liczą. Zdaje nam się nawet że wiemy, jak pisać. Mnie się przynajmniej tak wydaje. Wiem, że to złudzenie, ale nie chciałbym, aby mi je odebrano. W moim pokoju na półce z książkami widnieje napis — życzenie — napis — pragnienie, napis — dażenie: „Dobrzy pisarze mają dwie cechy wspólne: po pierwsze, wola, aby ich raczej rozumiano, niźli podziwiano, i po drugie — nie piszą dla zbyt wąskiego grona". No, tak, ale żeby do tego dojść, trzeba przeżyć czynnie swoją młodość i swój wiek męski. Trzeba żyć żeby przeżyć wiele, błądzić i żeby się odnaleźć.

Przeżyłem te lata w Łodzi.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

ROK PRZEŁOMOWY

Rok 1950 był w pewnym sensie przełomowy dla Łodzi, a w konsekwencji — również dla łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

W pierwszym powojennym pięcioleciu, kiedy Warszawa dźwigała się dopiero z gruzów, w Łodzi znalazła siedzibę większość urzędów państwowych, ośrodków informacyjnych, prasowych i różnego rodzaju instytucji, będących dysponentami oraz inspiratorami odradzającego się życia naukowego i kulturalnego.

W roku 1950 powrót tych instytucji, urzędów, redakcji i różnych zarządów centralnych do odbudowującej się Warszawy osiągnął punkt kulminacyjny i Łódź utraciła zdobytą na krótko rangę „stolicy", którą faktycznie reprezentowała w niedługim okresie powojennym.

Exodus odbił się bardzo dotkliwie na składzie personalnym łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich, który opuścili twórcy tej miary, jak Zofia Nałkowska, Adolf Rudnicki, Adam Ważyk, Artur Sandauer, Paweł Hertz, Ryszard Matuszewski, Jan Brzechwa, Mieczysław Jastrun, Kazimierz Brandys, Stefan Żółkiewski, Juliusz Żuławski, Stanisław Dygat i wielu innych.

Z dużego, kilkudziesięcioosobowego Oddziału ZLP pozostała niewielka dwudziestosześcioosobowa organizacja pisarzy wiernych Łodzi.

Obowiązki przewodniczącego Oddziału Związku Literatów Polskich w Łodzi przypadły mi w udziale z wyboru w kwietniu 1950 roku.

Niełatwo z perspektywy dwudziestopięciolecia odtworzyć szczegółowo historię jednego roku (taki był wówczas okres kadencji przewodniczącego) w czasach, które były brzemienne w fundamentalne zagadnienia, odnoszące się do bytu narodowego po wyzwoleniu kraju z jarzma okupacji hitlerowskiej. Były to dalej trudne czasy zrywu całego narodu przy odbudowie zniszczonego przez okupanta przemysłu i zdewastowanej przez działania wojenne gospodarki rolnej. Czasy heroicznej i nieustającej odbudowy stolicy zrównanej z ziemią przez rozgromioną i wycofującą się pod ciosami potężnej ofensywy radzieckiej, armię hitlerowską. Czasy walki w kraju z wrogiem wewnętrznym i propagandą szerzącą fałszywe wiadomości z zagranicznych ośrodków informacyjnych.

W obliczu tych zjawisk walny Zjazd Literatów, zwołany w Szczecinie w 1948 roku przy udziale przedstawicieli partii, rządu, organizacji społecznych i przedstawicieli społeczności pisarskiej, debatował nad sposobami i wkładem, jaki pisarze mogliby wnieść zarówno piórem, jak żywym słowem w wielkie dzieło dalszej odbudowy kraju.

Jedna z wielu rezolucji, sugestii i uchwał Zjazdu zmierzała do ściślejszego związania pisarzy z życiem klasy robotniczej i chłopskiej i zapoznania ich z trudem człowieka pracującego fizycznie. W tym celu została podjęta po Zjeździe na szeroką skalę akcja wyjazdów pisarzy w teren do fabryk i gospodarstw chłopskich i zaznajomienia ich z wysiłkiem tych, którzy swoim trudem dźwigają na barkach odbudowę Polski Ludowej.

Nieliczny w owym czasie łódzki Oddział ZLP wykazał się dużą aktywnością i operatywnością. Warto przypomnieć, że oprócz wyjazdów stypendialnych na czas dłuższy w tak zwany teren, członkowie oddziału występowali ze spotkaniami autorskimi i odczytami, które miały na celu przeciwdziałanie wrogiej dezinformacji, dostarczanie ścisłych informacji i wyjaśnień o sytuacji politycznej i gospodarczej w kraju oraz upowszechnianie znajomości polskiej literatury klasycznej i współczesnej.

W wykonaniu rezolucji Zjazdu szczecińskiego, zostały we wszystkich oddziałach związku utworzone tak zwane sekcje twórcze poezji, prozy i krytyki, a w niektórych oddziałach również sekcje dramatu. Na zebraniach sekcji analizowano i oceniano utwory członków związku oraz prowadzono szczegółowe dyskusje nad metodą realizmu socjalistycznego, jako najwierniej odtwarzającą ówczesną rzeczywistość społeczną i polityczną demokracji ludowych. Rozmowy i polemiki w sekcjach były bezkompromisowe i pryncypialne i przyczyniały się do pogłębiania stanowisk i precyzowania orientacji politycznych i społecznych w decydującym okresie, kiedy ideowi komuniści kładli zręby pod budowę Polski Ludowej. Jakkolwiek krytycznie można by ocenić działalność sekcji, nie da się zaprzeczyć, że periodyczne zebrania, w których prowadzono gorące i zaangażowane ideowo dyskusje i spory, przyczyniały się do ożywienia kontaktów związkowych i integracji środowiska pisarskiego. Powyższa uwaga odnosi się również do całokształtu zjawisk kulturowych w Łodzi. W latach 1948—1950 życie związkowe (dotyczy to w szczególności członków ZLP, Związku Plastyków i Stowarzyszenia Artystów Scen Polskich), było w naszym mieście znacznie bogatsze niż dzisiaj. Platformy spotkań w lokalu Związku Literatów, w popularnej kawiarni Klubu „Pickwicka" i we „Frasze", dawały członkom łódzkich środowisk artystycznych możliwość wymiany poglądów i żywych konfrontacji w przyjacielskiej dyskusji różnych stanowisk artystycznych.

Poświęciłem więcej uwagi działalności oddziału w zakresie sekcji twórczych, gdyż ta strona działalności związku, należąca do historii, wydawała mi się znacząca i bardziej godna zapamiętania niż sprawy bytowe, mieszkaniowe i inne, mniej ważne z perspektywy dwudziestu pięciu lat i szybciej ginące w mroku zapomnienia.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

KARTKI Z KALENDARZA

Główne dzieje pisarza związane są z jego książkami, one bowiem utrwalają zasadnicze i wyróżniające cechy osobowości twórczej poety, prozaika czy dramaturga, pozwalają powracać do skomplikowanego świata refleksji nad człowiekiem, jego losu, utrwalają często jedyne w swoim rodzaju, niepowtarzalne sposoby pisarskiej wypowiedzi. Powtarzam tę starą prawdę w momencie prawie uroczystym, z okazji 30 rocznicy powstania Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich, aby nie zapomnieć, że do literatury nie wkracza się w zwartych szykach, kompaniami, czy plutonami, ale w pojedynkę, słuchając własnego sumienia, a nie rozkazów takiego czy innego dowódcy. Związek Literatów Polskich, tak to rozumiem, może i powinien pomóc pisarzowi nie tylko w materialnym sensie, ale również jako czynnik inspirujący, o losie samej twórczości decyduje w głównej mierze pisarz.

Legitymację związkową otrzymałem w latach, kiedy łódzkie środowisko literackie, szczupłutkie wtedy i mało znaczące, zaczęło się wygrzebywać z pewnego impasu. Warto może uświadomić sobie, że w roku 1947 liczyło 133 pisarzy, między nimi pierwsze w kraju pióra, a w roku 1954 ledwie 25 członków. I jeszcze jedno należy chyba pamiętać — na przestrzeni lat 1950—1955 Łódź nie notuje ani jednego debiutu znaczącego literackiego. A jednak myślę, że nie mieliśmy wtedy do czynienia z procesem rozpadu, raczej ze zjawiskiem usprawiedliwionym. Łódź opuszczali pisarze i inni twórcy luźno z nią związani, pozostali natomiast dokonali wyboru świadomego, uznali robotnicze miasto za swoje. Od nich to właśnie datuje się systematyczny rozwój środowiska, wzbogacanego o młodych i utalentowanych pisarzy, którzy w Łodzi pierwsze ostrogi przypięli i tutaj dosiedli Pegaza. U schyłku lat sześćdziesiątych Łódzki Oddział ZLP przekroczył liczbę 50 członków i uplasował się, jeśli taki fakt ma większe znaczenie, na trzecim miejscu w kraju.

W sprawach kultury zawsze działa zasada naczyń połączonych, nie da się mówić o ożywieniu jednego środowiska twórczego bez pozostałych, rozwój jest niemal zawsze wspólny. Dość powiedzieć o prężnym i znaczącym łódzkim środowisku plastycznym, a ostatnio i filmowym, czy też ośrodku wydawniczym, który niebagatelną spełnia rolę, chociaż miał i pewnie miał jeszcze będzie swoje tłuste i chude lata. Wydaje mi się, że w sprawach twórczości i jej upowszechnienia miasto złapało głębszy oddech i można mówić już o polityce kulturalnej w Łodzi z ograniczoną, co prawda, odpowiedzialnością za niektóre jej skutki.

Wiele dałoby się powiedzieć na temat związku twórcy z miastem, jedno wszakże wydaje mi się pewne: robotnicza Łódź, może i nie najpiękniejsza choć piękniejąca, potrafiła bez większego wysiłku narzucić środowisku pewne formy działalności wspólnej dla większej czy mniejszej grupy ludzi pióra. Szukaliśmy kontaktów ze światem pracy, pomagały oczywiście Zarządy Oddziału, czy Związki Zawodowe, popierała życzliwa instancja partyjna, ale to była przede wszystkim potrzeba wypływająca z samej istoty poszukiwań twórczych, poszukiwań bohatera, którego praca rozstrzyga o naszym zbiorowym losie. Na dłużej lub krócej wiązali się pisarze z zakładami pracy, noszącymi imiona Marchlewskiego, Dzierżyńskiego, ze zgierską Boruta, czy działoszyńską cementownią, a czasem określonym terenem, czy miastem. Miło było usłyszeć z ust wysokich przedstawicieli Centralnej Rady ZZ, że Łódź dała początek tego rodzaju współpracy, jeszcze milej widzieć cały szereg książek — powieści, opowiadań i reportaży, zrodzonych z tego serdecznego kontaktu. Marudziarzy, narzekających na brak książek angażujących pisarzy w sprawy Łodzi i regionu, należy jak najszybciej odesłać do lektur.

Dzisiaj ta współpraca z zakładami pracy ma dobrą prasę, ale chyba lichą praktykę. Myślę, że pożyteczne w sumie zwiedzania, przelatywanie w dość dużym tempie przez fabryczne hale, uroczyste podpisywanie umów, nie zastąpią jednak długofalowych, pojedynczych i osobistych związków. Trzeba się do fabryk wprowadzać z własnym warsztatem, zbiorowy bowiem w przypadku pisarza nie istnieje. Dobrze natomiast rozwija się współpraca pisarzy z liceami ogólnokształcącymi, z młodzieżą, która uczestniczy w zajęciach fakultatywnych z języka polskiego. Wprowadzanie przyszłych maturzystów w problematykę literatury współczesnej, nie nazbyt obficie reprezentowanej w programie szkolnego nauczania i na wyrywki, nie jest łatwe, ale daje wiele satysfakcji pisarzowi, wiąże go silnie z chłonnym i wymagającym czytelnikiem.

Na temat Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji wypowiadam się z pewną tremą, jako prozaik podejrzewam, że poeci mają wiele do napisania, ale jakoś mało do powiedzenia. Sądzę tak na podstawie doświadczeń osobistych, w końcu otwierałem nie jeden Festiwal, nie mając prawie za każdym razem co zamykać. Rzecz, jak sądzę, w samej koncepcji tak licznego spotkania pisarzy w naszym mieście. Z takich spotkań rezygnować nie należy, trzeba wszakże zmieniać problematykę, wybierać ważne w każdym okresie sprawy literatury, jako przedmiot rozważań. Natomiast miasto, jeżeli wolno mi do kasy władz municypalnych zaglądać, może zawsze nagradzać to, co w polskiej poezji najlepsze.

Nachodzą mnie jeszcze i takie refleksje ogólnej natury — łódzkie środowisko literackie nie rozwija się harmonijnie, mocne jest w prozie współczesnej, zaangażowanej, tęgie również w poezji, bardzo znaczące w dziedzinie przekładów, dużo jednak słabsze w satyrze, a jest przecież z czego się pośmiać, nie posiada odpowiednio energicznej i inspirującej krytyki, chociaż zdolnych krytyków nie brak. Wypiera ich jednak recenzenctwo, owa szczególna specjalność, która nikomu nie pomaga i rzadko komu szkodzi. Pozostaje wreszcie sprawa dramaturgii i współpracy z filmem.

Pamiętam dobrze wszystkie nasze próby powołania do życia ambitnego miesięcznika chociażby na wrocławski wzór czy — ostatnio — krakowski, jako miejsca na pogłębioną, dyskusyjną, fermentującą refleksję nad sprawami twórczości i jej upowszechnienia we wszystkich dziedzinach, jako miejsce oceny nie pojedynczych faktów, ale procesów kulturowych. Próby sprowadzane do na razie paliatywów, surogatów, dalekich od ambicji i możliwości łódzkich środowisk twórczych. Próby — miejmy nadzieję — nie skończone. Interesująco natomiast zapowiada się perspektywa współpracy z filmem, twórcze środowisko, któremu patronuje X muza, w Łodzi już powstało. Wykopaliska na terenie klasyki zdają się kończyć i trzeba będzie w filmie z żywymi naprzód iść. Interesujące także wydają mi się propozycje rozwoju dramaturgii, wypracowane w ostatnim czasie w naszym środowisku przez godnych uznania zapaleńców. Bo jak dotąd — mówię to ze skruchą i poczuciem winy — nie mieliśmy żadnej okazji spotkania się z twórcami naszych teatralnych programów, taka współpraca nie istnieje jeszcze, a powinna. Książka zapewne jeszcze przez długie lata pozostanie podstawą naszej narodowej edukacji, nie jest jednak jedynym sposobem wiązania twórcy z odbiorcą. Literatura anektuje film, szklany ekran, radio, teatr, słowo: adaptacja — wciąż jeszcze nie wychodzi z mody. Chodzi jednak o twórczość oryginalną, pisanie wyłącznie dla potrzeb potężnych przekaźników literatury, o rozwój nowych gatunków literackich, obejmujących scenariusz, słuchowisko, spektakl telewizyjny. Wydaje mi się, że w tym zakresie sami pisarze, a zwłaszcza ich związkowe władze dużo mogą zrobić. Zwłaszcza w Łodzi, która zmienia nie tylko zewnętrzny wygląd i nie tylko buduje znakomite warsztaty pracy materialnej. Zmienia także klimat w sferze życia duchowego.

Każdy człowiek, a pisarz szczególnie, ceni sobie pewną kategorię moralną, którą można by nazwać dobrym samopoczuciem. Jej główny atrybut w wypadku twórcy da się określić jako — potrzebność. Pomoc w organizowaniu dorocznych i ogólnopolskich spotkań pisarzy, przywrócenie nagrody literackiej miasta, decyzja w sprawie budowy wielofunkcyjnego domu literatury, załatwianie wcale nie prostych spraw bytowych pisarzy, nie zawsze skuteczna, ale przecież widoczna troska o powiększenie możliwości druku i kontaktów z czytelnikami — to są, jak myślę — składniki tego, tak dla pisarza niezbędnego poczucia potrzebności.

MARIAN PIECHAL

ŚRODOWISKO CZY MIEJSCE ZAMIESZKANIA?

W Łodzi od samego początku tak właśnie sprawa stała. Mówię o Łodzi nowoczesnej, industrialnej. To miasto zaczęło budować się od przemysłu, od techniki i od maszynizmu, a nie od kultury humanistycznej. W dodatku tę budowę zaczęli cudzoziemcy, obcy kulturze polskiej. Wprawdzie inicjatywa była polska, bo jeszcze Staszica i Rembielińskiego, ale jej realizacja przypadła na okres najsroższej naszej niewoli narodowej, należała do obcych, oczywiście, że dokonywana rękami polskimi tych tuziemskich pariasów miejscowych i z okolic bliższy i dalszych.

Tak więc nie mogło być mowy o wzajemnie zależnych i równomiernych narodzinach oraz ewolucji przemysłu i kultury rodzimej w tym mieście, gdzie dominującym typem inteligenta był pracownik i specjalista techniczny i to zazwyczaj obcego pochodzenia. I choć poważną przewagę ludności stanowił żywioł polski, pierwsze pionki kultury rodzimej pojawiły się w Łodzi — o paradoksie! — na zasadzie importu.

Pierwszym poetą łódzkim był **Wiktor Dłużniewski**, urodzony w Galicji Wschodniej i przybyły do Łodzi jako nauczyciel języka polskiego w roku 1850. W ciągu ośmioletniego pobytu w naszym mieście brał bardzo żywy udział w jego rozruchu, że tak powiem, kulturalnym. Wyrazem tego był poemat Dłużniewskiego z dziejów dawnej Łodzi pt. „Paweł Łodzia-Kubowicz" wydany w Warszawie (wraz z innym poematem pt. „Scholastyk i szewc") w roku 1857. Pierwszy w literaturze polskiej utwór o naszym mieście, pierwsza jaskółka literatury łódzkiej. Dłużniewski zmuszony był jednak opuścić nasze miasto wskutek wzrastającej wciąż nieprzyjaznej w nim atmosfery dla jego działalności literacko-patriotycznej. Zwłaszcza tuż przed Powstaniem Styczniowym. Po przeszło trzydziestu latach powtórzyło się to samo z **Arturem Gliszczyńskim**, przybyłym do Łodzi w Warszawy w roku 1890. W przeciwieństwie do Dłużniewskiego, który pisał o Łodzi historycznej, a właściwie legendarnej, Gliszczyński pisał o Łodzi sobie współczesnej. A były te jego utwory aż gorące od aktualności, dawały w żywych obrazach wyraz różnic obyczajowych, sprzeczności socjalnych i podziałów klasowych wielonarodowościowej społeczności łódzkiej. Był pierwszym poetą w naszej literaturze, który za temat najpoważniejszych swych utworów, jak cykl „Z mroku i dymu" i poemat „Mańka" obrał podstawową warstwę naszego miasta — proletariat fabryczny. Ale mimo inspiracyjnej żyzności łódzkiej gleby Gliszczyński po dziesięciu latach, podobnie jak Dłużniewski i z tych samych co on powodów, zmuszony był wyjechać z Łodzi.

Byli to poeci niezbyt wysokiego lotu i gdyby nie problematyka łódzka ich utworów niewiele by znaczyli w ogólnych miarach naszej literatury. Widocznie wyczuwali to intuicyjnie, bo usiłowali zakorzenić się w naszym mieście na stałe i uczynić zeń środowisko sprzyjające także twórczości artystycznej. Niestety, nie udało się. Łódź była dla nich wbrew ich woli i zamiarom jedynie czasowym miejscem zamieszkania.

Inni po nich autorzy, już nie poeci, lecz trzeźwi notariusze codziennej prozy życia, zainteresowani egzotyczna w ówczesnych warunkach naszego kraju, bo aktualnie nowoczesną problematyka Łodzi, nie starali się nawet o stałe w niej zamieszkanie. W charakterze jakby tylko przelotnych gości i przygodnych turystów odwiedzali ją na krócej lub dłużej w końcu ubiegłego i w początkach bieżącego wieku: **Wincenty Kosiakiewicz**, autor „Bawełny", **Andrzei Strug**, autor „Ludzi podziemnych" i „Dziejów jednego pocisku", a przede wszystkim tak zrośnięty od dzieciństwa z najbliższymi okolicami ziemi łódzkiej **Władysław Reymont**, autor „Ziemi obiecanej" i niemal łodzianin, bo urodzony w Pabianicach, **Zygmunt Bartkiewicz**, autor „Złego miasta".

Wszyscy oni pisali o Łodzi jako właśnie o złym mieście nie tylko od strony warunków socjalnych, narodowych i politycznych w nim panujących, co w owym czasie było zrozumiałe, ale także od strony wstecznych stosunków cywilizacyjnych i ogólnej atmosfery kulturalnej, wrogiej jakiejkolwiek inicjatywie twórczej. To mniemanie o Łodzi, jako „złym mieście" dla jakichkolwiek poczynań twórczych stało się odtąd monetą obiegową w potocznej opinii sfer kulturalnych całego kraju, weszło niejako w skład trwałej tradycji naszego miasta, odstraszającej w następstwie od chęci zamieszkania w nim na stałe nawet urodzonych tutaj i związanych z nim więzami rodzinnymi artystów. Tej złej passy nie przełamała nawet pierwsza wojna światowa, mimo radykalnie zmienionych po wojnie warunków politycznych i narodowych, a pod pewnymi względami i cywilizacyjnych. Wywędrowują ze swego rodzinnego miasta zaraz niemalże w pierwszych dniach odzyskanej niepodległości, by więcej do niego nie powrócić, tacy rdzenni łodzianie, jak **Jan Nepomucen Miller**, poeta i krytyk, współzałożyciel grupy regionalno-ludowej „Czartak" i autor głośnej niebawem książki krytycznej „Zaraza w Grenadzie", jak **Julian Tuwim**, najwybitniejszy poeta dwudziestolecia międzywojennego w skali całego kraju, jak **Jerzy Zawieyski**, wybitny dramaturg, eseista i powieściopisarz, autor pierwszej autobiograficznej powieści łódzkiej z czasów przedostatniej wojny światowej. Chwalebnym wyjątkiem okazał się najmłodszy z nich, **Mieczysław Braun**, poeta opiewający heroizm trudu codziennego, i **Witold Wandurski**, poeta i dramaturg rewolucyjny, wprawdzie nie rdzenny, ale łodzianin od wczesnego dzieciństwa, kolega szkolny Tuwima. W dziesięcioleciu między rokiem 1918 a 1928 byli oni jedynymi literatami, działającymi wspólnie z miejscowymi społecznikami i pracownikami kultury, ale każdy indywidualnie i bez ściślejszej więzi organizacyjnej. Nie stworzyli więc środowiska, ale rozbudzili środowiskowe ambicje kulturalne wśród egzystującej już wtedy w mieście licznej inteligencji humanistycznej, przeważnie lokalnego już rodowodu z klasy robotniczej i rzemieślniczo-urzędniczej.

W takiej właśnie atmosferze społecznej i kulturalnej naszego miasta mogła się pojawić pierwsza w jej dziejach świadoma swej roli artystycznej grupa poetów, rodowitych łodzian, o proweniencji robotniczej i inteligenckiej. Mogła się ona pokusić o przełamanie pokutującej dotąd tradycji „złego miasta" i stworzenie w Łodzi żywego ośrodka inspiracji twórczej. Tą grupą był „Meteor" powstały w roku 1928.

Grupa „Meteora" nie mogła by zrealizować swych ambitnych zamierzeń, gdyby nie życzliwa aprobata i konkretne współdziałanie wybitnych przedstawicieli miejscowej inteligencji humanistycznej. Wspólne ambicje kulturotwórcze na terenie naszego miasta pokrywały się z sobą i dodawały siły naszemu oddziaływaniu społecznemu oraz budziły szeroki rezonans i uznanie opinii publicznej. Wymienić tu wypada przede wszystkim najczynniejszych przedstawicieli ówczesnego nauczycielstwa łódzkiego, jak prof. **Stefanię Skwarczyńską**, prof. **Jana Zygmunta Jakubowskiego, Tadeusza Czapczyńskiego** i **Ludwika Stolarzewicza**, wspierających bezinteresownie wszelkie imprezy „Meteora", a w następnych latach aż po tragiczny wrzesień 1939 działalność „Prądów", „Wymiarów" i „Odnowy", również przedstawicieli ówczesnej postępowej prasy łódzkiej, życzliwie popierającej imprezy „Meteora", fundującej nam coniedzielne kolumny, jak w „Głosie Porannym" przez red. **Gustawa Wassercuga**, jak w „Kurierze Łódzkim" przez red. **Czesława Gumkowskiego**, i zamieszczającej liczne recenzje, omówienia imprez i wywiady z „meteorytami" red. **Mieczysława Jagoszewskiego**. Na osobną i wdzięczną pamięć zasługuje tutaj dr **Jan Augustyniak**, założyciel i wieloletni dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej, w której lokalu znalazł swą gościnną siedzibę Łódzki Klub Literacki, przedwojenny zalążek dzisiejszego Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich.

Miałem zaszczyt być inicjatorem i pierwszym prezesem Łódzkiego Klubu Literackiego, pod którego egidą odbywały się liczne imprezy literackie, odczyty i występy autorskie pisarzy także spoza Łodzi. Klub utrzymywał żywe kontakty z innymi środowiskami twórczymi, jak Warszawa, Kraków, Lublin, Lwów, Poznań i Wilno. Tej działalności klubowej sprzyjali czynnie znani działacze kulturalni i społeczni w naszym mieście, jak **Przecław Smolik, Aleksy Rżewski, Eugeniusz Ajnenkiel, Roman Kaczmarek** i wielu innych. Również ożywione kontakty z łódzkimi plastykami, jak **Konstanty Mackiewicz, Karol Hiller, Władysław Strzemiński, Franciszek Walczowski** i **Wacław Dobrowolski**, także z łódzkim światem teatralnym w osobach **Stanisławy Wysockiej, Leona Schillera, Kazimierza Wroczyńskiego, Henryka Szletyńskiego, Jadwigi Chojnackiej, Jerzego Ronarda Bujańskiego, Hugona Morycińskiego, Władysława Krasnowieckiego** i wielu innych poszerzały znacznie krąg naszych wpływów i skuteczność naszego oddziaływania.

Myślę, że pod koniec lat trzydziestych można już było mówić o Łodzi, jako o bardzo ciekawym, bo naocznie rodzącym się nowym środowisku twórczym w kraju. Proces ten przerwała druga wojna światowa.

Była to straszliwa cezura w kulturalnych dziejach Łodzi, aczkolwiek samo miasto nie zostało zniszczone, prócz kilku połaci północnych w okolicach Rynku Bałuckiego. Rewolucja socjalna dokonana zaraz po wojnie w skali całego kraju odmieniła z gruntu dotychczasowy charakter miasta: stało się społecznie i narodowościowo jednolite. To ułatwiło w znacznym stopniu i przyspieszyło proces instytucjonalnego rozwoju miasta, tudzież wzmocniło jego rolę jako samodzielnego ośrodka kulturotwórczego. Jeśli chodzi o samo środowisko literackie, zwiększone teraz o nowe siły z różnych stron kraju, jako artystyczny wykładnik tego procesu, to musiało ono, chcąc nie chcąc, nawiązać do prekursorskich wysiłków organizacyjnych przedwojennej Łodzi.

W okresie dwudziestu pięciu tuż powojennych lat pełniłem różne funkcje w Łódzkim Oddziale Związku Literatów Polskich: jako kurator Koła Młodych, jako vice-prezes, wreszcie jako prezes zarządu w kilku z rzędu kadencjach. W swej działalności świadomie nawiązywałem do praktyk i doświadczeń

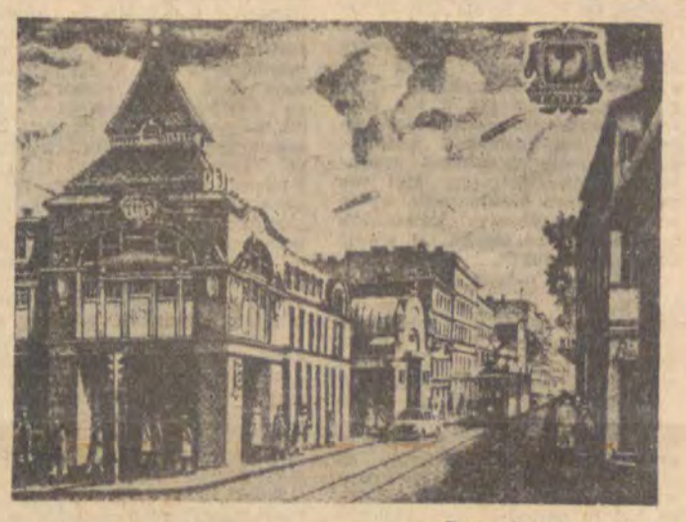

Rys. Teofil Jóźwiak

przedwojennej grupy „Meteora" i Łódzkiego Klubu Literackiego. Chodziło mi nie tylko o ciągłość tradycji — tradycji walki ze zmorą opinii „złego miasta" — lecz przede wszystkim o skuteczność jednoczącego oddziaływania skupiska łódzkich literatów na całość życia artystycznego w naszym mieście. Celowi temu służyły otwarte zebrania dyskusyjne Koła Młodych i powstałe z inicjatywy **Anny Pogonowskiej** i **J. M. Kononowicza** comiesięczne tzw. „Gawędy intelektualne", na które zapraszani byli zarówno prelegenci jak i słuchacze z różnych dziedzin specjalności naukowych i artystycznych, przy czym prelegenci zapraszani byli często z innych ośrodków twórczych w kraju. Wymiana zdań i poglądów na aktualne tematy, wyeksponowane w referatach, przyczyniały się walnie do integrowania różnych ośrodków myśli i praktyk artystycznych na terenie naszego miasta.

Zadaniu integracyjnemu łódzkiego środowiska twórczego pod egidą Związku Literatów służyć miało także czasopismo „Osnowa". Jako jego inicjator i redaktor naczelny starałem się, by przybrało ono postać organu, reprezentującego wszystkie dziedziny myśli i praktyki twórczej w naszym mieście. „Osnowa" w ambitnym założeniu zespołu redakcyjnego, do którego należeli **Stanisław Brucz, Stanisław Kaszyński** i **Jan Koprowski**, a w późniejszym okresie **Jan Huszcza** i **Mirosław Ostoja-Ochocki**, miała być artystyczną legitymacją poziomu intelektualnego łódzkiego środowiska. Niestety, po moim wyjeździe z Łodzi trudności wydawnicze położyły kres temu czasopismu.

Łódzkie środowisko literackie zasługuje obecnie na czasopismo bardziej nawet reprezentatywne, niż była „Osnowa". Szczęśliwej inicjatywie i wytrwałym zabiegom **Stanisława Czernika** zawdzięcza swoje powstanie Wydawnictwo Łódzkie i almanach „Rzecz poetycka". Usilne starania kolejnych zarządów Łódzkiego Oddziału Związku Literatów, których byłem członkiem, uwieńczone zostały pojawieniem się najpierw skromnego periodyku „Łódź Literacka", a później dwutygodnika społeczno-literackiego „Kronika", którego naczelnym redaktorem został **Jan Koprowski**, a po nim tygodnika „Odgłosy" pod energiczną redakcją **Wiesława Jażdżyńskiego**. W okresie mojego udziału w pracach zarządów łódzkiego oddziału Związku Literatów poważny swój wkład inicjatywy i energii wnieśli koledzy, z którymi mnie wiązała bliższa wspólnota porozumienia i zamiarów. Nie skrzywdzę chyba reszty kolegów, jeśli wymienię przede wszystkim **J. M. Kononowicza, Tadeusza Papiera, Stanisława Brucza, Władysława Rymkiewicza, Leona Gomolickiego, Wandę Karczewską, Igora Sikiryckiego, Jana Huszczę, Horacego Safrina, Stanisława Kaszyńskiego, Wacława Bilińskiego, Tadeusza Chróścielewskiego** i **Jana Czarnego**. To, że Łódź liczy się obecnie na ogólnopolskiej arenie literackiej, jest ich zasługą. I następnych, młodszych od nich nierzadko członków dawniejszych Kół Młodych, których miałem przyjemność być kuratorem, a z których wyfrunęły szerszym lotem w przestrzeń naszej literatury takie nazwiska, jak **J. M. Rymkiewicz, Bohdan Drozdowski, Bernard Sztajnert, Jerzy Waleńczyk** i **Marek Wawrzkiewicz**. A po nich jeszcze młodsi, którzy z maksymalną rzetelnością i surową miarą wymagań wobec swych talentów dobijają się własnego wyrazu w trudnej sztuce artystycznego wiązania słów znaczących społecznie, godnie tym samym reprezentując wysokie ambicje twórcze łódzkiego ośrodka literackiego. Myślę tutaj o niezwykle sprawnej intelektualnie młodej ekipie utalentowanych poetów i zarazem eseistów: **Andrzeju Biskupskim, Mieczysławie Kucnerze, Zbigniewie Kosińskim, Ziemowicie Skibińskim, Sławomirze Świontku, Henryku Pustkowskim, Jerzym Poradeckim i Jerzym Tyneckim**. A iluż nie wymieniłem, choć mam ich utwory w pamięci!

Nie, Łódź nie jest punktem tranzytowym ani miejscem czasowego zamieszkania literatów i artystów, ale żywym i bogatym w swej różnorodności środowiskiem twórczym. Jestem dumny, że byłem u początku jego narodzin i że w jakiejś tam części jest ono poniekąd także i moim dziełem.

★ „ŁÓDŹ LITERACKA”

★ „KRONIKA”

★ „Rzecz poetycka”

Pierwszy numer **„Łodzi Literackiej”** ukazał się z datą lipiec — sierpień 1954. Miał to być miesięcznik — Łódź jak widać od dwudziestu lat cierpi na kompleks miesięcznika i jakoś nic z tego nie wychodzi — ale **„Łódź Literacka”** ukazywała się nieregularnie.

Jan Koprowski wspomina w swoim szkicu **(„Prace Polonistyczne” seria XVIII)**, że „w zespole redakcyjnym żartowaliśmy wówczas, iż jest to miesięcznik pojawiający się co kwartał, raz na pół roku”.

Ogółem ukazało się pięć numerów **„Łodzi Literackiej”** — ostatni z datą luty — marzec 1955. Czyli pięć numerów miesięcznika na dziewięć miesięcy istnienia. Ale fakt powstania **„Łodzi Literackiej”** po latach posuchy w tym mieście miał ogromne znaczenie: był zjawiskiem, bez przesady, rewolucyjnym.

Na łamach pięciu numerów **„Łodzi Literackiej”** znalazły się nazwiska prawie wszystkich pisarzy tego miasta, którzy publikowali zarówno swoje utwory oryginalne, jak też tłumaczenia z języków obcych. **„Już wówczas jednak było rzeczą jasną — wspomina Jan Koprowski — że pismo ukazujące się w tak nieregularnych odstępach czasu nie jest w stanie uchwycić wartkiego strumienia aktualnych wydarzeń, nade wszystko zaś nie może twórczo i skutecznie wpływać na poczynania kulturalne, ani kształtować smaku i opinii odbiorców sztuki”.**

Wydaje się jednak — z perspektywy czasu — że zbyt surowa była ocena ówczesnego redaktora i współtwórcy pisma. Rzecz nie tkwiła wcale w nieregularności ukazywania się pisma, nie była też **„Łódź Literacka”** wcale pismem akademickim, oderwanym od istotnych problemów swojego czasu. Przeglądając to pismo po latach dwudziestu nasuwa się nam nieodparta opinia, że był to periodyk niezwykle żywy, redagowany na wysokim poziomie, z ambicjami integracji wszystkich środowisk twórczych — literackich, naukowych, plastycznych, teatralnych...

Nota wystawiona **„Łodzi Literackiej”** po dwudziestu latach może być tylko bardzo wysoka.

Wróćmy jednak do programu i założeń, jakie realizowali twórcy i redaktorzy pisma.

„Zgodnie z tytułem czasopisma pragnęliśmy ujawnić i kształtować procesy kulturotwórcze Łodzi, ale nie w oderwaniu i nie w izolacji od całokształtu poczynań kulturalnych kraju. Pragnęliśmy na mapie ogólnonarodowej kultury utrwalić i umocnić pozycję Łodzi — w miarę naszych sił i możliwości. Już w pierwszym numerze **„Łodzi Literackiej”**, oprócz ogłoszonych wierszy, fragmentów prozy, recenzji i omówień, sporo miejsca poświęcono zagadnieniom teatru, plastyki, filmu i muzyki. W artykule otwierającym numer („Rzut oka”) **Lech Budrecki** podjął próbę oceny rozwoju życia kulturalnego Łodzi powojennej ze szczególnym uwzględnieniem literatury. Starał się nazwać i określić cechy aktualnie istniejącej sytuacji, która — po okresie przytłumienia i depresji — znamionowała się znacznym ożywieniem twórczym i perspektywą wzrostu. **Stanisław Brucz** w obszernym eseju „Dziesięć lat teatru łódzkiego” dokonał sumiennego przeglądu osiągnięć głównych scen dramatycznych Łodzi: Teatru Nowego, Teatru im. Jaracza i Teatru Powszechnego, dowodząc, że poziom produkcji teatralnej jest „nieskończenie wyższy od normy przedwojennej”. **Henryk Anders** o plastyce, dwugłos **Henryka Jakubczyka i Poli Wert** o filmie, rozważania **Feliksa Wiesenberga** o muzyce łódzkiej, wiersze, proza, głosy krytyczne o najnowszych książkach pisarzy łódzkich, notatnik kulturalny, kolumny satyry — wszystko to składało się na zawartość pierwszego numeru **„Łodzi Literackiej”**, którą ogół społeczeństwa przyjął życzliwie i z aprobatą.

Redakcja w stałym dążeniu do poszerzania problematyki pisma zwróciła się o współpracę do prof. **Jana Szczepańskiego**, który już w następnym numerze **„Łodzi Literackiej”** opublikował artykuł o problemach łódzkiego środowiska naukowego, postulując ścisłą łączność Uniwersytetu z życiem miasta i pracownikami sztuki i kultury. Jeden z numerów **„Łodzi Literackiej”** poświęcono w części pamięci Juliana Tuwima i jego związkom z Łodzią — w opracowaniu **Mariana Piechala**. W styczniu 1955 roku najistotniejszą część numeru poświęcono Łodzi z okazji rocznicy wyzwolenia miasta.

(...) **„Łódź Literacka”** nie ograniczała się wyłącznie do piór miejscowych, choć głównie i przede wszystkim z nich korzystała. Warto przypomnieć, że właśnie na łamach **„Łodzi Literackiej” Adolf Rudnicki** ogłosił po raz pierwszy swój piękny szkic o Leonie Schillerze — „Gwiazdy nad Łodzią”, a specjalną kolumnę pisma poświęcono pamięci zmarłej w grudniu 1954 roku Zofii Nałkowskiej. Z autorów pozałódzkich drukowali m. in.: **Mieczysław Jastrun, Jerzy Ficowski, Andrzej Kijowski, Seweryn Pollak, Artur Sandauer, Tadeusz Różewicz i Gustaw Morcinek.** Z pola widzenia redakcji nie umknęły sprawy młodzieży literackiej. Na łamach **„Łodzi Literackiej”** debiutowali **Bohdan Drozdowski, Jarosław Marek Rymkiewicz**, a **Jerzy Panasewicz** stawiał pierwsze kroki jako recenzent literacki i teatralny”.

Dziś, po latach dwudziestu, choć zdajemy sobie sprawę, że **„Łódź Literacka”** była krótkim epizodem w literacko-kulturalnym czasopiśmiennictwie Łodzi — to jednak znaczenia tych pięciu numerów nie sposób przecenić. Po latach marazmu, jaki nastąpił po Wielkim Exodusie do stolicy — Łódź literacka i artystyczna zaktywizowała się, aby zapisać swoją obecność w mieście.

* * *

„Łódź Literacka” przestała się ukazywać w marcu 1955 roku, aby ustąpić miejsca **„Kronice”**, której pierwszy numer znalazł się w kioskach w maju tego roku. **„Kronika”** przeżyła swoją poprzedniczkę o półtora roku — ukazywała się od maja 1955 do listopada 1957. Ogółem wydano 61 numerów pisma.

Redaktorem naczelnym był **Jan Koprowski** — trzon zespołu pozostawał w zasadzie bez zmian. Odwołajmy się jednak do świadectwa szefa pisma: „Zespół **„Kroniki”** stanowili: **Stanisław Brucz, Lech Budrecki, Jan Huszcza, Wiesław Jażdżyński, Jan Koprowski, Tadeusz Papier, Stanisław Piętak i Edward Szuster.** Po odejściu Piętaka i Szustra na ich miejsce weszli do redakcji: **Stanisław Czernik i Wacław Biliński. Gdy po jakimś czasie** dwaj ostatni zrezygnowali z udziału w pracach redakcyjnych, dokooptowaliśmy do zespołu **Mariana Piechala i Jerzego Waleńczyka”.**

W pierwszym numerze **„Kroniki”** w artykule „Od redakcji” czytamy: **„Będziemy się starali skupiać wokół „Kroniki” twórców i działaczy kultury: pisarzy i naukowców, plastyków i muzyków, aktorów i filmowców, nauczycieli, pracowników świetlic i bibliotek w mieście i na wsi oraz tych wszystkich, którym troska o rozwój kultury leży na sercu, by z ich pomocą dać pełny obraz przemian i życia w naszym kraju”.**

I tak się stało. Mimo późniejszych sceptycznych ocen **„Kronika”** stała się głośna w kraju jak żadne wcześniejsze (poza „Kuźnicą”) i żadne późniejsze (włącznie z „Odgłosami”) pismo łódzkie. Sprawiły to głównie publikacje łódzkich naukowców — prof. prof. **Henryka Serejskiego, Jana Szczepańskiego, Gryzeldy Missalowej i Zygmunta Izdebskiego.**

Dużym osiągnięciem było pozyskanie do współpracy ówczesnego prezesa Polskiej Akademii Nauk, prof. **Tadeusza Kotarbińskiego.** Publikowali tu tacy naukowcy jak **Józef Chałasiński, Remigiusz Bierżanek, Zygmunt Gostkowski, Konrad Jażdżewski, W. L. Karwacki, Antonina Kłoskowska, Stefania Skwarczyńska czy Mieczysław Wallis.** „Wydaje się — pisze Jan Koprowski — że w tym zakresie **„Kronika”** nieźle wypełniła swoje zadania, w każdym razie o wiele lepiej niż w innych działach pisma”.

Ale i w innych działach nie było źle. Literatura prezentowana była bogato i różnorodnie. Ukazywały się wiersze młodych wówczas poetów łódzkich — **Bohdana Drozdowskiego, J. M. Rymkiewicza, Jerzego Waleńczyka.** Prozę publikowali uznani już pisarze: **Leon Gomolicki, Stanisław Czernik, Jan Huszcza, Antoni Kasprowicz, Wanda Karczewska, Władysław Machejek, Stanisław Piętak, Władysław Rymkiewicz, Seweryna Szmaglewska, Jan Józef Szczepański.** Reportaże drukowali: **Waldemar Babinicz, Wacław Biliński, Zbigniew Nienacki, Tadeusz Papier, Jerzy Urbankiewicz, Edward Szuster, Jerzy Waleńczyk, Henryk Worcell.**

Po tym sprawozdawczym i nieco protokolarnym wyliczeniu nazwisk wróćmy może do uwag redaktora naczelnego **„Kroniki”**, który tak określa założenia pisma:

„Kronika” nie zamierzała stać się pismem masowym. Odbiorcą naszym miała być szeroko pojęta inteligencja Łodzi i województwa łódzkiego przede wszystkim, ale nie wyłącznie i nie jedynie. Nie uśmiechała się nam dola pisemka prowincjonalnego. Chcieliśmy być pismem łódzkim, ale zarazem ogólnopolskim w myśl zasady, że wszystko „co łódzkie jest ludzkie”. Toteż, korzystając obficie z piór miejscowych literatów, naukowców, plastyków i innych ludzi sztuki i kultury nie zrezygnowaliśmy z zapraszania do współpracy autorów zamiejscowych — przeważnie z Warszawy i Krakowa, ale także z Kielc i Poznania.

Wydawanie **„Kroniki”** przypadło na okres, który przybrał później nazwę „odwilży”. Był to czas burzliwych i gwałtownych dyskusji, próba „przewartościowywania wartości” i wytyczania nowych dróg we wszelkich dziedzinach życia i twórczości. Nie był to więc okres szczególnie sprzyjający urodzajowi dzieł literatury pięknej. Raczej publicystyka, eseistyka, krytyka literacka i formy pokrewne święciły wówczas wielkie triumfy. **„Kronika”**, mająca w podtytule napis: dwutygodnik społeczno-kulturalny, starała się sprostać zapotrzebowaniom chwili”.

„Kronika” — jak to dziś można ocenić — chyba sprostała tym zapotrzebowaniom dnia. Przyszły badacz dziejów życia kulturalnego Łodzi w latach 1955—1957 nie będzie mógł pominąć roczników **„Kroniki”**. Cokolwiek dałoby się powiedzieć o poszczególnych publikacjach i kryteriach oceny różnych zjawisk — nie było w owych latach spraw, które by na łamach pisma nie znalazły swego odbicia.

I znów — jak sądzę — ocena „Kroniki” przez jej redaktora jest zbyt dla pisma surowa. Pisze **Jan Koprowski**, że **„Kronika”** nie miała określonego jasno profilu i określonego dokładnie adresata. Myślę, że po prostu nie dano pismu czasu do adaptacji na trudnym czytelniczo łódzkim rynku. Ale te dwa i pół roku istnienia **„Kroniki”** są i tak jednym z najjaśniejszych znaków na czasopiśmienniczej mapie Łodzi.

* * *

Właściwie trudno mówić o tym cyklu antologii poetyckich jako o „rzeczy” zamkniętej. Aktualnie ukazał się kolejny — ósmy — tom. Inny niż pozostałe, ale przecież kontynuujący czernikowskie tradycje „Rzeczy poetyckiej” z końca lat pięćdziesiątych.

STANISŁAW CZERNIK stworzył bowiem tę „Rzecz” i był redaktorem trzech pierwszych tomów: „TWORZYWO”, „STO WIERSZY” i „MŁODZI”. Debiutowali tu wówczas i drukowali poeci dziś uznani — tak ich wielu, że nie sposób nawet wymienić części. Ale start w „RZECZY POETYCKIEJ” okazywał się najczęściej dobrym startem.

Od roku 1960 redakcję objęli: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ i MARIAN ZDROJEWSKI. Wówczas to wydano tom „KONWENCJE” zawierający kilkadziesiąt wierszy (m. in. M. JASTRUNA, T. RÓŻEWICZA, M. PIECHALA, A. POGONOWSKIEJ) oraz recenzje z tomików łódzkich poetów.

Rok później ta sama redakcja (z tym, że Zdrojewskiego wymienił STANISŁAW KASZYŃSKI) wydaje tom „TYGIEL”. Jest to już publikacja dwa razy obszerniejsza — oprócz wierszy oryginalnych zawiera sporo przekładów — oprócz recenzji prezentuje (w dziale „Czas”) wspomnienia o grupach poetyckich międzywojnia. Oraz — podobnie jak w „Konwencjach” — przynosi bibliografię książek poetyckich ostatnich lat.

Potem następuje paroletnia przerwa. Kolejny tom „RZECZY POETYCKIEJ” pt. „INSPIRACJE” ukazuje się w roku 1967. Redaktorzy tym razem nie ujawnili się na tytułowej karcie. „Inspiracje” jednak nie odbiegają charakterem od tomu poprzedniego. Zawierają zatem wiersze, przekłady, eseje oraz bibliografię poezji lat 1961—1965.

Po trzech latach, w roku 1970, ukazał się kolejny tom „FESTIWALE”, mający charakter podsumowania czterech Festiwali Poezji w Łodzi. Wydawnictwo to redagował nie żyjący już poeta, ROMAN ŁOBODA. „FESTIWALE” są zbiorem wypowiedzi wybitnych krytyków polskich oraz znanych poetów na temat „stanu poezji”.

No i wreszcie tom ostatni — wydany w roku bieżącym nosi tytuł „ŚRODOWISKO”. Redagowali go ANDRZEJ BISKUPSKI, JERZY JARMOŁOWSKI i MIECZYSŁAW KUCNER. Tom najnowszy jest publikacją najobszerniejszą i — kto wie — czy dokumentacyjnie nie najciekawszą. Jest to bowiem zapis stanu poezji w Łodzi poprzez wiersze i eseje na temat twórczości poszczególnych poetów.

Tom „Środowisko” jest więc ósmą publikacją „Rzeczy poetyckiej” na przestrzeni siedemnastu lat. Czy ostatnią — czas pokaże.

Na koniec jeszcze jedno. Niezależnie od ocen i analiz poszczególnych zeszytów „Rzeczy poetyckiej” trzeba stwierdzić, że była to pierwsza w powojennej Polsce cykliczna (choć nieregularna) publikacja poświęcona poezji. W czasach, gdy jeszcze nikomu nie śniło się o miesięczniku „Poezja”, w czasach gdy wiersz występował w czasopiśmiennictwie literackim najczęściej w charakterze ubogiego krewnego, „Rzecz poetycka” była pierwszym salonem poezji.

JERZY WILMAŃSKI

◆ „KUŹNICA”

◆ „OSNOWA”

Społeczno-literacki tygodnik „Kuźnica“ związany jest, mimo swoich późniejszych przenosin do Warszawy, z Łodzią pierwszych powojennych lat, kiedy awansowała ona na kulturalną stolicę kraju stając się ośrodkiem najżywszego w jej dziejach ruchu intelektualnego. Były to lata żarliwych sporów ideowych i bezkompromisowej walki politycznej, na którą nie mogło zostać obojętne środowisko pisarskie. Trzeba było dokonać nie tylko obrachunku z dziedzictwem okupacji. Trzeba było jednocześnie ustosunkować się do zachodzących w Polsce przemian ustrojowych i dać im wyraz w twórczości. Z niepokojów o kształt rewolucji społecznej, w której nie powinno zabraknąć intelektualistów, już w 1945 roku narodził się z inicjatywy Stefana Żółkiewskiego, wieloletniego redaktora naczelnego pisma tygodnik „Kuźnica“.

„Kuźnica” narodziła się w opozycji do zbyt liberalnego i eklektycznego, jak uważano wówczas krakowskiego „Odrodzenia” i w stanie wrogości do kulturalno-społecznej prasy katolickiej z „Tygodnikiem Powszechnym” na czele. Przeciwstawiając się „Odrodzeniu” **„Kuźnica“** uważała, że w tym momencie dziejowym, jakim była budowa nowej rzeczywistości, nie wystarcza aktywizacja środowisk twórczych, a nawet wciągnięcie ich do udziału w kulturalnej odbudowie kraju. Uważając się za wyrazicieli poglądów autentycznej lewicy zespół **„Kuźnicy”** atakuje pozostałości mentalności mieszczańskiej stawiając sobie jako naczelne zadanie radykalizację przekonań polskiej inteligencji. Do niej też adresuje swoje publikacje, w których stara się popularyzować marksistowską myśl społeczną i kulturalną. Przyczyniły się one w poważnym stopniu do reorientacji politycznej części środowisk twórczych, które z entuzjazmem przyjęły nową ideologię.

Chociaż trzon pisma stanowili pisarze i publicyści stosunkowo młodzi udało im się przyciągnąć do współpracy pisarzy cieszących się dużym autorytetem już w Polsce międzywojennej. Tak np. w początkowym okresie działania **„Kuźnicy“** w składzie kolegium redakcyjnego znalazła się **Zofia Nałkowska** i znany podróżnik **Antoni Bolesław Dobrowolski.**

Tygodnik atakowany niemal przez wszystkie orientacje polityczne nie ustrzegł się w swych praktykach bolesnych pomyłek. Charakterystyczny jest tutaj przykład **Tadeusza Borowskiego**, który po powrocie do kraju, gdzie już wcześniej opublikował na łamach „Twórczości“ swoje pierwsze obozowe opowiadania, spotkał się ze zmasowaną napaścią prasy katolickiej wszystkich odcieni. Jest rzeczą niemal zrozumiałą, że **„Kuźnica”** bierze go w obronę. Już wcześniej zresztą przeciwstawiła się komentarzowi miesięcznika „Twórczość“, który krajowy debiut Borowskiego określił mianem „świadectwa deprawacji moralnej wyniesionej z obozu“. Borowski odpłaca się drukiem na łamach **„Kuźnicy“** opowiadania „Śmierć powstańca“, bierze udział w redagowaniu jej specjalnego numeru poświęconego literaturze młodych (ogłasza w nim „Bitwę pod Grunwaldem“), w kilka miesięcy później publikuje „Pożegnanie z Marią“. Ale następnie nie uniknie surowej nagany także ze strony krytyki marksistowskiej. Żółkiewski napisze o nim: „W młodzieńczej jeszcze twórczości Borowskiego odwaga rewizjonistycznego sądu moralnego miesza się z przerażeniem drobnomieszczańskim przejętym wraz z tradycją chwytów Celineowskich. „Niedługo później „Kuźnica“ odrzuci tom nowel „Kamienny świat“, co zrazi Borowskiego do niej ostatecznie i pisarz ten zwiąże się z przeniesionym już z Krakową do Warszawy „Odrodzeniem“.

Podobne pomyłki zdarzały się **„Kuźnicy“** częściej, co brało się i z werwy polemicznej publicystów tygodnika, których ponosił temperament i z bezkompromisowej linii programowej wymagającej ostrych i zdecydowanych wystąpień. Może dlatego właśnie niektóre artykuły **„Kuźnicy“**, mimo upływu tylu lat, wywołują żywą reakcję do dziś. Jakkolwiek się sprawy mają była to dobra szkoła dziennikarstwa zaangażowanego, krytyki wartościującej. Dlatego też na firmamencie czasopiśmiennictwa literackiego w Polsce Ludowej żaden tytuł nie zostawił po sobie tak wyrazistego śladu jak wyklinana, zwalczana, to znów dla odmiany wynoszona pod niebiosa **„Kuźnica”**.

Mając ambicje naprawy literatury w Polsce zespół **„Kuźnicy“**, w skład którego wchodzili tacy pisarze i krytycy jak **Kazimierz Brandys, Paweł Herz, Mieczysław Jastrun, Ryszard Matuszewski, Seweryn Pollak, Adam Ważyk, Jerzy W. Żuławski**, sformułował swój program „wielkiego realizmu“ identyfikując go z wymaganiami dokonującej się socjalistycznej rewolucji kulturalnej. Sztandarowymi postaciami historycznymi takiego modelu literatury miała być twórczość pisarzy francuskich XVIII i XIX wieku: Denisa Diderota oraz Honoriusza Balzaka. W ich sposobie wyrazu upatrywali publicyści **„Kuźnicy“** inspirację dla poszukiwań godnej tego miana literatury współczesnej.

Program ten, który przygotował grunt pod szczeciński zjazd Związku Literatów Polskich, musiał zrodzić zarazem cały nurt publikacji zwalczających poszukiwania odmienne, które na łamach **„Kuźnicy“** określono mianem amorficznych“. Atakowano zresztą może po doświadczeniach nieborowskiego zjazdu młodych pisarzy, którzy wydrwili konserwatyzm i warsztatową sztywność wierszy publikowanych na łamach **„Kuźnicy“**, głównie zjawiska współczesnej polskiej prozy.

Na szczęście konsekwentny zazwyczaj tygodnik wyłączył ze swego programu naprawy najwybitniejsze ówczesne zjawiska literatury zachodniej jak też Związku Radzieckiego dzięki czemu stała się możliwa ich popularyzacja w Polsce. Publikacje o literaturach obcych mają głównie charakter informacyjny, ale nawet ta zawoalowana forma wypowiedzi sprzyjała poszukiwaniom formalnym i włączała naszą kulturę do światowego obiegu wartości artystycznych.

W roku 1949 redaktorem naczelnym **„Kuźnicy“** zostaje **Paweł Hofman.** Jest to już okres odpływu z Łodzi instytucji centralnych. Fala migracyjna porywa z sobą wkrótce także **„Kuźnicę“**. W rok później pismo przestaje się ukazywać łącząc się wraz z „Odrodzeniem“ w tygodnik „Nowa Kultura“, z którym związane są już warszawskie dzieje łódzkiego, przez cztery lata, zespołu **„Kuźnicy“**.

* * *

Pierwszy zeszyt **„Osnowy“**, wieńczącej długie starania łódzkiego środowiska pisarskiego o własny periodyk, ukazał się w roku 1963. Nosi charakterystyczny podtytuł: „Almanach literacki“. Zawiera także informację, że publikacja wydana została z funduszów ówczesnego Wydziału Kultury Prezydium RN m. Łodzi. Mecenat ten był niezbędny wobec nie sprecyzowanego statusu nowego czasopisma kolportowanego przez księgarnię „Domu Książki“, co znacznie ograniczało jego społeczny rezonans. A przecież od samego początku była to publikacja ambitna, prezentująca nie tylko dorobek pisarzy zamieszkałych w Łodzi, ale także czołowych piór krajowych. Przeważała eseistyka, obok niej znaczną ilość miejsca w numerze zajmowała proza artystyczna oraz poezja, nie stroniono także od przekładów.

Almanachowy okres **„Osnowy“** trwał trzy lata, podczas których, mimo nieustannych zmian redakcji, wydawnictwo okrzepło na tyle, że można się było pokusić o zwiększenie jego częstotliwości. Taką przełomową datą był rok 1966, kiedy to po raz pierwszy **„Osnowa“** zaczęła się przymierzać do kwartalnika. Zmianie tej towarzyszy nowy format zeszytów i bardziej staranna szata graficzna. Dzięki nowym możliwościom technicznym czasopismo zaczyna sporo uwagi poświęcać sztukom pięknym ilustrując swoje publikacje reprodukcjami prac plastyków. W ten sposób czytelnik mógł poznać za pośrednictwem „Osnowy“ linoryty **Karola Hillera**, obrazy **Benona Liberskiego, Stanisława Fijałkowskiego, Władysława Strzemińskiego, Konstantego Mackiewicza**, grafikę **Leszka Rózgi i Henryka Płóciennika.** Interesujące eseje z wartościową ikonografią poświęcone były scenografii teatralnej i grafice użytkowej, a przecież to cząstka tego, co znajdziemy w rocznikach rozwijającej się nieustannie **„Osnowy“**.

W czasach swej prosperity ma już ona jednego tylko najwytrwalszego mecenasa. Jest nim Wydawnictwo Łódzkie, którego hojnej ręce zawdzięcza „Osnowa“ swoją ekspansję. Ale opieka oficyny książkowej ma swoje zalety, ma też niestety wady. Na konto aktywów przyjdzie nam zapisać wysoki poziom edytorski poszczególnych numerów. Do pasywów zaliczyć trzeba długi, wielomiesięczny cykl produkcyjny i ograniczone możliwości nakładowe. I te przede wszystkim względy zadecydowały o tym, że **„Osnowa“**, mimo wartościowych tekstów, nie zyskała sobie szerszych rzesz czytelniczych szukając odbiorców głównie w środowiskach artystycznych i naukowych, a więc w kręgu swych potencjalnych współpracowników. Jej ewolucja polegała bowiem głównie na tym, że rozpoczynając swoją działalność od formuły almanachu literackiego stosunkowo szybko poszerzyła profil tematyczny o zagadnienia społeczne i gospodarcze o szeroko pojętą problematykę humanistyczną i stała się wyrazicielem tego wszystkiego, czym na styku literatury, sztuki i nauki żyły działające w Łodzi środowiska artystyczne i naukowe. W ten sposób na łamach „Osnowy“ dokonywała się rzeczywista integracja kultury.

Od roku 1969, kiedy to **„Osnowa“** ponownie zmienia szatę graficzną i format, jej zeszyty, po raz pierwszy w historii tego periodyku, zaczynają się wreszcie ukazywać regularnie w odstępach trzymiesięcznych. Sygnowane są, wobec braku ciągłej numeracji, nazwami pór roku. Nie wiem jak te „wiosny“, „lata“, „jesienie“ i „zimy“ wpływały na samopoczucie redaktorów, zapewne przypominały im jednak o wciąż nie rozstrzygniętym statusie wydawniczym. Ale mimo tego braku stabilizacji do ich pracy nie zakradła się nerwowość. Kolejne numery wskazują na konsekwentnie realizowaną myśl edytorską.

Trudno choćby pobieżnie przedstawić zawartość wszystkich dziewięciu roczników **„Osnowy“**. Przy wydłużonym cyklu produkcyjnym (niekiedy numer zsyłano do drukarni na rok przed ukazaniem się go w sprzedaży) pismo nie mogło oczywiście zainicjować żadnej kampanii publicystycznej ani włączyć się do nurtu dyskusji, którymi żyły środowiska kulturalne. Toteż ograniczyło się do rzetelnego prezentowania dorobku środowiska literackiego i doprawdy trudno byłoby w Łódzkim Oddziale ZLP wskazać pisarza, którego teksty przynajmniej raz nie pojawiły się na łamach **„Osnowy“**. Z tych samych technicznych względów również ambitna przecież eseistyka kwartalnika ma charakter eklektyczny, dotyczy szerokiej panoramy zagadnień, ale trudno wtłoczyć ją w jakiś jednolity nurt. Można co najwyżej wskazać działy, stanowiące szkielet kolejnych numerów. I jeśli za twórczość oryginalną uznać prozę, poezję i eseistykę to trzeba przyznać, że **„Osnowa“** mając w tych dziedzinach największe zasługi jest także wartościową kroniką wydarzeń kulturalnych, którym poświęciła sporo uwagi w swych notach.

Gdybym chciał wymienić z nazwiska najważniejszych tylko autorów „Osnowy“ artykuł ten przekształciłby się w listę wybitnych twórców polskiej (i nie tylko, ze względu na rozbudowany dział przekładów), kultury. Sądzę, że jest to zbędne i uczynię jeden tylko wyjątek. Otóż w zeszycie „Lato 1969“ bibliograf **Michał Kuna** opublikował nie znane listy **Emila Zegadłowicza** do pisarza i tłumacza **Pawła Hulki-Laskowskiego**, autora głośnej w okresie międzywojennym książki „Mój Żyrardów“. Podobnych odkryć, choć może już nie tak spektakularnych, ma „Osnowa“ na swoim koncie więcej, że wspomnę artykuły „Polonica Beethovenowskie“, „O zaginionej sztuce Szaniawskiego“, „Polacy i Polska w życiu Hercena“. Można by się więc o sukcesach **„Osnowy“** rozpisywać bez końca.

Unikając nazwisk musimy uczynić wyjątek dla redaktorów pisma. Lista to wcale pokaźna, ale też zmieniali się często w ciągu dziewięciu lat. W każdym razie na kształt **„Osnowy“** wywierali wpływ: **Stanisław Brucz, Stanisław Kaszyński, Jan Koprowski, Wanda Karczewska, Wiesław Jażdżyński, Tadeusz Mrozowski, Tadeusz Papier, Mirosław Ostoja Ochocki.** Niemal przez cały czas istnienia periodyku pracami redakcyjnymi kierował **Marian Piechal.** W roku 1970 ster „Osnowy“ przejął **Jan Huszcza.**

Opiekę nad szatą graficzną **„Osnowy“** sprawowali kolejno: **Roman Prokulewicz, Krystyn Zieliński oraz Zdzisław Głowacki.**

Ostatni numer kwartalnika ukazał się wiosną 1971 r. I chociaż jest już ona zjawiskiem zamkniętym, to sądzę, że rola, jaką odegrała w dziejach łódzkiej kultury ma swoje aktualne przedłużenia. Jej dorobek, nawet teraz, po latach wchodzi do krwiobiegu kultury polskiej i staje się jej znaczącą cząstką. Czego **„Osnowa“** z różnych przyczyn nie mogła osiągnąć w dniach swego rozkwitu, dokonuje się wprawdzie z opóźnieniem, ale potwierdzającym wartość tamtejszych zabiegów i wysiłków.

KONRAD FREJDLICH